



ANNA KARNICKA

PARADOKS
MARIONETKI

SPRAWA
ZEGARMISTRZA

ANNA KARNICKA

**PARADOKS MARIONETKI:
SPRAWA ZEGARMISTRZA**

Paradoks marionetki: Sprawa Zegarmistrza
Copyright © Anna Karnicka
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-146-8
epub ISBN 978-83-7995-147-5
mobi ISBN 978-83-7995-148-2

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: Marta Kładź-Kocot
Skład, typografia i digitalizacja: proAutor.pl
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Projekt okładki: Marcin A. Dobkowski

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna
Dedykacja

Pieśń Obrzeży
Adepci
Wyjątkowo deszczowy wrzesień
Atramentowy smok
Prezent
Złota Uliczka
Płomień
Transformacje
Freddie
Kobold
Taniec Lalkarzy
Tancerze tańczą
Zimowa opowieść
Gdy przestaną bić zegary
Darmodziej
Golem
Chochlik
Życzenia noworoczne
Pan Pieśni
Mistrz Marionetek
Młoda

*Dla Ady i Sonii za wieloletnie i nieocenione wsparcie,
bez którego ta książka by nie powstała
(teraz będziecie musiały to przeczytać, ponieważ presja).*

*Dla Michała i nieformalnej grupy literackiej Leniwa
Biedronka za dużo wspólnie postawionych literek.*

PIEŚŃ OBRZEŻY

Kobieta śpiewała. Jej mocny, głęboki głos niósł się po korytarzach stacji Mústek. Stała w przejściu między peronami, całkowicie ignorowana przez tłum zmierzających do wyjścia przechodniów. Nie widzieli jej, Martin jednak dostrzegł ją od razu. Twarz zasłaniała jej biała maska zakończona ptasim dziobem, a długie włosy przyozdobiła wieńcem z czerwonych bluszczowych liści. Przyspieszył kroku, by uciec jak najdalej od tego śpiewu. Od melodii, która zdawała się pochodzić z samego serca Drugiej Strony.

Bezskutecznie. Śpiew ścigał go, wdzierał się do uszu i serca, nadawał rytm krokom.

Nagle Martin zamarł. Był pewien, że już dawno wyminął śpiewaczkę, kiedy jednak podniósł wzrok, stała tuż przed nim. Nawet jeśli wcześniej miał jakiegokolwiek wątpliwości, teraz był już pewien.

Demon.

Istota musiała pochodzić z drugiej strony, jak inaczej mogłaby się przemieścić tak szybko? Zaczęła do niego mówić, dokładnie w momencie gdy przechodził obok. Wcześniej jej słowa były obce, nonsensowne, pozbawione znaczenia. Kiedy jednak spojrzął jej prosto w oczy, zaczął rozumieć. Każde słowo.

– Spójrz na moją piękną koronę z liści i weź mnie za

rękę, Podpalaczu Drzew – zaśpiewała, wyciągając do niego dłoń zakończoną długimi szponami. – Chodź ze mną. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce, nikt nas już nigdy nie znajdzie. Chodź, możesz jeszcze uciec, możesz teraz odejść wraz ze mną.

– Nie – wyszeptał. Stał w podziemnym korytarzu, patrząc na zjawę. Przechodnie potrącali go, mrużąc coś, żeby się przesunął. – Nie pójdę z tobą. Nie ma mowy.

– Pójdiesz prędzej czy później, Podpalaczu Drzew. – W jej pieśni pojawiły się fałszywe nuty. – Przyjdiesz do mnie, gdy już podpalisz cały świat. Przyjdiesz, bo nic innego ci nie zostanie. Nie lepiej już teraz? Po co czekać? To wszystko i tak wkrótce zapłonie... Już to widzę! – Zaśmiała się i nagle zaczęła śpiewać na znajomą Martinowi nutę. Pieśń o ogniu, którą w czasie wakacji usłyszał od Aislinga. – Skradający się niepostrzeżenie, podpalający korony drzew. Widzę ogień w powietrzu, w słońcu odbijającym się w szybach, powietrze jest przesycone dymem. Wszystko tutaj będzie płonąć. Wszystko! Zegary staną, budynki obrócą się w proch. Wszystko zajmie się od jednej iskry – oświadczyła, zniżając głos do szeptu. – Ale to ty będziesz tym, który skrzese iskrę. To ty rozpoczniesz taniec płomieni, więc może... Może zatańczymy już teraz?

– Z-zamknij się! – wykrztusił Martin. Rozejrzał się wokół, by się upewnić, że nikt inny nie słucha. Jednak najwyraźniej wciąż był jedyną osobą zwracającą uwagę na śpiewaczkę. Dotarło do niego, że znów przestaje ją

rozumieć. Słowa traciły sens, były coraz bardziej obce i odległe. No tak, zerwał kontakt wzrokowy. To wystarczyło, by wyrwać się spod jej uroku. Dziwny, pozbawiony słów śpiew towarzyszył mu aż do wyjścia z metra. Umilkł dopiero zagłuszony ulicznym szumem.

<MartinL> Jesteś koleżanką Klary Berg?

<Roti> Zależy.

<MartinL> Zależy od czego?

<Roti> Od tego, kto pyta.

<MartinL> Jestem przyjacielem Klary. Skontaktowałem się z tobą, bo...

<Roti>?

<MartinL> Klara nie żyje. Została zamordowana.

<Roti> Rękopisy nie płoną. Bułhakow tak powiedział.

<MartinL> Co ma jedno do drugiego?

<Roti> Nie zadawaj głupich pytań.

<MartinL> Słuchaj, to naprawdę ważne. Spotkaj się ze mną albo chociaż zadzwoń. Tu masz mojego maila i numer.

<Roti> ...

<użytkownik Roti wylogował się>

– Hej, poczekaj – krzyknął Martin. – Wróć tu jeszcze. Odpisz mi. Porozmawiaj ze mną. Proszę! No cholera!

– Jeśli chcesz wyrwać laskę w Internecie, musisz się trochę bardziej postarać. – Inga z ciekawością zajrzała mu przez ramię.

– Ej, nieładnie jest czytać cudze wiadomości! – Szybko zamknął laptopa.

– Czy mi się wydaje, czy bez twojej małej asystentki dochodzenie stanęło w martwym punkcie? – Nawet nie starała się ukryć złośliwej satysfakcji. Nie mógł zaprzeczyć – tajemnicza Roti była pierwszą osobą – jedną z wielu z listy kontaktów ściągniętej z komputera Klary – która odpowiedziała na jego wiadomość. Zanosilo się jednak na to, że i ją mógł spisać na straty. Miał tylko nadzieję, że śledztwo idzie Canelle o wiele lepiej niż jemu.

– Inga: specjalistka od zagadywania ludzi w Internecie – zakpił Greem, stając w drzwiach kuchni. Podobnie jak Martin i Inga miał na sobie czarne spodnie i szarą bluzę z kapturem. Strój manipulatora czynił go jeszcze wyższym i chudszy. Jasne włosy sterczały mu nieskładnie na wszystkie strony.

Dziewczyna obdarzyła go wyjątkowo lodowatym spojrzeniem.

– Założę się, że nie potrafiłabyś nawet tego z powrotem włączyć – ciągnął Greem, wskazując na zamknięty laptop.

– I nawet bez tego byłabym bardziej skuteczna niż on. Mówiłam ci, że tak będzie. Przecież to na nic, musimy...

– Martin, jesteś gotowy? – zapytał Walt, który wszedł do kuchni zaraz za Greemem. Również miał na sobie szkolny uniform. – Musimy iść na rozpoczęcie roku.

– Już, już. – Martin wsunął laptopa do torby. – Tylko

odniosę to do pokoju – zdecydował, upijając po drodze łyk chłodnej już herbaty. – A wy? – zwrócił się do pozostałych. – Idziecie?

Inga przełożyła gruby czarny warkocz przez ramię.

– Ja i Greem – popatrzyła znacząco na dziedzica alchemików – musimy pogadać. Wy idźcie.

– Dołączymy do was później – dodał z rezygnacją chłopak.

Walter pokiwał głową w sposób, który obudził w Martinie dziwne przeczucie, że cała trójka wie coś, o czym on sam nie miał pojęcia.

– Co knujecie? – zagadnął, kiedy schodzili po schodach wyłożonych nieco wytartym, czerwonym dywanem. Klatka schodowa na niższych kondygnacjach budynku była odnowiona, a ściany pomalowano na biało. Tylko poręcze pozostały bez zmian: drewniane i misternie rzeźbione.

– Knujemy? – Walt zmarszczył brwi. Błada cera i cienie pod oczami mówiły same za siebie: tej nocy też nie przespał nawet kilku minut. Od śmierci Ely bardzo mało sypiał.

– Ty, Inga i Greem. Nie myśl, że nie widzę. Czy to ma coś wspólnego z... – W porę powstrzymał się, żeby nie wspomnieć o wakacyjnych spotkaniach. O planach obalenia Kolegium. O spisku. Nie wspomnieli o tym ani razu od śmierci dzikiej księżniczki i zniknięcia Canelle, ale nie wierzył, że tak po prostu porzucili temat. Nie wierzył, że zapomnieli.

– Martin... – Księżę popatrzył na niego zmęczony. – Nie mam pojęcia, co kombinują Greem i Inga i nie chcę się w to mieszać. Nie mam siły – przyznał. Poprawił zsuwający się z ramienia pasek torby, przy okazji przypadkiem odsłaniając przesiąknięty krwią bandaż na dłoni. – Zresztą... Pamiętaj, że zaczyna się rok akademicki, a oni są w jednej grupie.

– No i?

– Greem jest jej konkurentem do tytułu Mistrza Marionetek – wyjaśnił księżę, spoglądając w ślad za dziewczynami, które właśnie wyminęły ich na schodach. – W wakacje mogła się z nim kumplować, ale w Kolegium to co innego. Co prawda Greem nie ma jakiegoś straszego ciśnienia na to, żeby koniecznie zdobyć tytuł, niemniej... Może nie zauważyłeś, ale ona podchodzi do rywalizacji bardzo poważnie.

Martin musiał przyznać mu rację. Z tego co zdążył zauważyć do tej pory, Inga należała do osób, które po długich namowach godzą się na grę w chowanego, a później ścigają uczestników na drugim końcu świata.

– Wiesz, skąd to się bierze? – zapytał.

Walt wzruszył ramionami.

– Szkoła przygotowawcza – odparł z rezygnacją. – Była pod wpływem Kolegium dłużej niż ja i Greem, trochę bardziej przesiąkła. Oni są tam wszyscy tacy narwani.

Martin zmarszczył brwi. Ciekawe, jak bycie pod wpływem Kolegium ma się do udziału Ingi w spisku? Angażowała się, dość otwarcie okazywała sprzeciw

wobec polityki uczelni. Na ile to było szczere?

– W naszej grupie chyba nie ma zbyt wielu osób z przygotowawczej, prawda? Podróżny coś wspominał.

– Tak czy inaczej ktoś będzie – przyznał Walter. – Zawsze ktoś jest. Nie liczyłbym na nawiązanie zbyt zażyłej przyjaźni – dodał. – Greem mówił, że oni raczej trzymają się razem i nie mieszają się z tymi z zewnątrz. Byłeś wczoraj w sklepie? – zapytał, kiedy wyszli na dziedziniec. Z gęstych chmur siąpił zimny deszcz.

Jak zdążył zauważyć Martin, umiejscowienie uczelni dla adeptów manipulacji w budynku, po którego dziedzińcu ciągle ktoś się kręcił, miało istotną wartość edukacyjną. Już od pierwszego dnia musieli robić wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi i nie przyciągać zbyt wielu spojrzeń. Martin wypracował dwie metody radzenia sobie z pracownikami ekipy remontowej: „bardzo zajęty pracownik obiektu” oraz „zabłąkany turysta, niemający pojęcia, że nie wolno”. Teraz zdecydował się na drugą opcję. Widząc nieprzychylnie spojrzenia panów w pomarańczowych kamizelkach, wyszedł razem z Walterem na ulicę Karlovą.

– Tak, zajrzałem do sklepu, bo i tak musiałem coś załatwić w okolicy – odpowiedział na zadane wcześniej pytanie. – Jest zamknięty, pani Althan nadal nie ma.

– Pewnie wciąż szuka.

– Byłem też w herbaciarni – ciągnął Martin. W zmęczonych, odległych oczach Waltera pojawił się błysk

zainteresowania.

– I co?

– Cathy jest zła. – Westchnął. Ruszyli w stronę mostu. Główne wejście do kaplicy znajdowało się za rogiem, wystarczyło skręcić. – W ogóle nie chciała ze mną gadać. Wiem tylko, że Widmokot wciąż nie wrócił – powiedział. Podobno tajemniczy koci demon też przyłączył się do poszukiwań Canelle i od tamtej pory nikt go nie widział. – To zły znak, prawda?

– Trudno powiedzieć – odrzekł Walt. – Widmokot to esencja bycia kotem, chadza swoimi drogami. Może jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Oby. Jest coś jeszcze – dodał Martin. Opowiedział o dziwnej śpiewaczce w metrze.

Walter tylko westchnął i spuścił głowę.

– Jesienny demon. Zwichrowana dusza. Też jednego ostatnio spotkałem. A będzie ich coraz więcej. Jesień to ich pora roku, chętnie się wtedy pojawiają. Przyciągają ludzi, zabierają ich ze sobą do swojego schronienia po drugiej stronie i już nie wypuszczają.

– Ale czy... Czy one zawsze tak sobie biegają po ulicach? – dopytywał Martin. – Nikt z tym nic nie robi?

– Teoretycznie to działka Kolegium, ale różnie z tym bywa. Zazwyczaj są dość nieszkodliwe, więc dają im spokój. Najgorsze, co taki robi, to stanie na rogu i będzie wabił swoją pieśnią. Znajdzie ofiarę, to zabierze ją ze sobą i więcej nie wróci.

– Zawsze wabią w ten sam sposób? – Martin chciał

wiedzieć, czy istniała szansa, że ktoś jeszcze wiedział o ogniu pożerającym Pragę i o zatrzymaniu się zegarów.

– Och, nie! Nic z tych rzeczy. Wtedy byłyby przecież całkowicie nieskuteczne. Wiedzą o tym i dlatego każdemu śpiewają o czymś innym. Na każdego inna przynęta, nie?

– Czym próbowały zwabić ciebie? – spytał Martin, zanim zdołał się ugryźć w język. Odpowiedź była krótka i bardzo treściwa.

– Ely. Podobno czeka na mnie w miejscu, z którego przybywają. – Księżę uśmiechnął się gorzko i pokręcił głową. – Chodź. Spóźnimy się na rozpoczęcie roku.

– Jestem częścią Kolegium, Kolegium to ja – oświadczył człowiek, który chwilę wcześniej przedstawił im się jako Mistrz Johan. – Ofiaruję Kolegium moje dłonie, mój głos, moje serce i duszę.

Martin rozglądał się po kaplicy. Był już tutaj kiedyś z rodzicami, podczas koncertu. Teraz atmosfera była inna, podobnie jak sytuacja. Cholera, wszystko było inne!

W pomieszczeniu rozległ się szmer niepewnych głosów, powtarzających formułkę. Martin również poruszał ustami, ale bezgłośnie, nieuważnie. Patrzył na zebranych w kaplicy adeptów. Wiatr musiał rozwiać kłębiące się na niebie chmury, bo na bladych twarzach odbijały się promienie słońca, wpadające przez kolorowy witraż. Nie potrafił na nich patrzeć tak, jak na nowych

znajomych z uczelni. Nie mógł przestać się zastanawiać. Co zrobili, żeby się tu dostać? Kogo zabili, kogo zdradzili, kogo oszukali? W jaki sposób zostali zmuszeni do udziału w egzaminie wstępnym?

On sam stracił przyjaciółkę. Próbując odkryć prawdę o jej śmierci oszukał jednego z kandydatów i wyeliminował go, a na koniec wmówił przedstawicielom Rady, że wie o wiele więcej niż w rzeczywistości. A przecież podobno tylko on był ochotnikiem. Pozostali nie mieli wyboru. Wcale nie chcieli oddawać Kolegium swojego serca ani duszy. Stali ramię w ramię w nim, spoglądali na siedzących na podwyższeniu wykładowców, powtarzali recytowane przez Mistrza Johana regułki.

– Przysięgam przestrzegać reguł, którymi rządzi się życie w Kolegium – ciągnął wykładowca. Adepti powtarzali. Ci pierwszoroczni głośno i z przejęciem, ci starsi od niechcienia.

– Bez względu na okoliczności dochowam lojalności Kolegium.

– Będę posłuszny wykładowcom.

– Nie będę używać kluczy do otwierania innych drzwi niż drzwi mojego pokoju.

– Będę unikać wszelkiego rodzaju intymnych relacji z wykładowcami Kolegium.

– Nigdy, przenigdy i pod żadnym pozorem nie stworzę ludzkiej marionetki.

Martin wzdrygnął się, zerkając na stojącego dwa rzędy

dalej Greema, który recytował, uśmiechając się przy tym szyderczo i samym wyrazem twarzy podkreślając, jak niewiele sobie robił z tych reguł. Ciemnowłosa Inga o oliwkowej cerze i zmarszczonych brwiach uparcie milczała. Poza nimi w tej samej ławce stało jeszcze trzech adeptów. Tylko tylu zostało z drugiego roku. Za nimi stał rudowłosy, brodaty Aisling w towarzystwie dwóch dziewcząt o śródziemnomorskiej urodzie. Brodacz spoglądał wyzywająco na Mistrza Johana, świadom tego, że zdążył już złamać całkiem sporo punktów złożonej przysięgi. W tej grupie powinna być jeszcze jedna osoba – Iskra. Ale Iskra odeszła z Kolegium i została za to ukarana.

Dopiero po dłuższej chwili Martin zorientował się, że Mistrz Johan umilkł. W ciszy dało się słyszeć niedaleki stukot obcasów. Ciężkie wierzeje kaplicy otworzyły się i w progu pojawiła się jeszcze jedna osoba.

W pierwszym momencie Martin pomyślał, że to spóźniona adeptka albo młoda nauczycielka. Mogła mieć dwadzieścia pięć lat, może trochę więcej. Wysoka, szczupła, w szarej, dopasowanej sukni sięgającej kostek i pantofelkach na obcasach. Jej oczy były ciemnoniebieskie, odległe i zmrożone smutkiem. Zdecydowanie nie była jedną z mówiących lalek, chociaż w jej ruchach i kroku było coś, co bardzo lalkę przypominało. Przeszła wzdłuż ławek uczniów i stanęła na podeście dla nauczycieli.

– Pani Dyrektor. – Mistrz Johan przysunął jej obity

czzerwonym aksamitem fotel. Kobieta usiadła, zakładając nogę na nogę. Przesunęła wzrokiem po uczniach, przyglądając się każdemu z osobna i przyzwalając pokiwała głową. Nie powiedziała ani słowa i milczała aż do końca spotkania.

W takich właśnie okolicznościach Martin po raz pierwszy ujrzał dyrektorkę Praskiej Szkoły Lalkarzy, Erikę Ekhart.

ADEPCI

– Moi studenci! – przemówił opiekun roku, kiedy znaleźli się na schodach prowadzących na ulicę.

Mortimer. Podróżny. Londyński Klucznik.

W czasie tych wakacji Martin miał okazję poznać go nieco lepiej. Jednak do tej pory nie był w stanie wyrobić sobie zdania na jego temat.

– Proszę jeszcze na chwilę za mną, kwestie organizacyjne.

Niepewnie ruszyli za Manipulatorem, spoglądając po sobie. Deptali mu po piętach, przemierzając kolejne korytarze i jednocześnie słuchając jego wyjaśnień dotyczących budynku. Klucznik Pragi – kimkolwiek właściwie był – naprawdę musiał się napracować. Wszystkie wykorzystywane przez Praską Szkołę Lalkarzy pomieszczenia połączone były ze sobą sprytnym systemem ukrytych przejść dostępnych dla studentów. Tak naprawdę można było przez cały dzień przemieszczać się między salami wykładowymi, biblioteką a częścią mieszkalną, nie natykając się ani na robotników, ani na turystów. Tak jakby będąc w tym samym budynku jednocześnie funkcjonowali w całkiem innej przestrzeni, zaledwie graniczącej ze współczesną Pragą.

– Vic... Vic! – Ciemnowłosa dziewczyna przepchała się

obok Martina, żeby dołączyć do idącego przed nim chłopaka. Martin poznał ją od razu. To ona i jej koleżanka mijaly ich rano na schodach. – Vic, poczekaj na nas!

Chłopak odwrócił się i przystanął. Nagle dostrzegł Waltera i Martina. Podszedł do nich, uśmiechając się pogodnie.

– Walt! – Klepnął chłopaka w ramię. – Kopeć lat, co?

– Cześć, Victor – odparł Walter, odruchowo robiąc krok w tył. Martin spoglądał pytająco to na księcia, to na nowego znajomego. – Co słyhać?

– Wczoraj przyjechałem do Pragi. Spędziłem noc u cioci, później zostawiłem swoje bagaże w pokoju i oto jestem. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię tu widzę. Już się bałem, że nie dasz rady.

– Niepotrzebnie, jak widać – odparł książę. Wciąż traktował chłopaka dość podejrzliwie, jakby nie wiedział, czego się po nim spodziewać.

– A ty... – Błękitne oczy Victora rozbłysły. – Ty musisz być Martin! W pierwszym momencie pomyślałem, że jesteś dziewczyną, więc to na pewno ty. Kuzyneczka Canelle mi o tobie pisała.

Martin poczuł dziwny ucisk w gardle.

Canelle. Dziewczyna z kluczem na szyi. Jego samozwańcza partnerka w wakacyjnym prywatnym śledztwie. Ostatni raz widział ją, kiedy znikala za drzwiami prowadzącymi w nieznane.

– Canelle? – powtórzył niepewnie.

– To moja kuzynka, nie mówiła ci?

Martin pokręcił głową. Nie miał pojęcia, że Canelle ma kuzyna. Skąd miałyby wiedzieć?

– Przez całe wakacje pisała do mnie długie maile – ciągnął Victor. – Szkoda, że się tak minęliśmy i wyjechała akurat wtedy, gdy dotarłem do Pragi. Spędzilibyśmy razem trochę czasu. Wczoraj zaliła mi się w mailu, że bardzo nie chce wracać do szkoły. Biedaczka, źle znosi bycie z daleka od Obrzeży.

Martin zerknął ukradkiem na Waltera. Księżę również wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– W mailu? – Martin przełknął ślinę.

– W mailu. Do ciebie nie pisała?

Martin pokręcił głową. A jeśli właśnie tak to się skończyło? Jeśli sama zarzuciła śledztwo i po prostu bezpiecznie wróciła do domu? Tylko dlaczego się z nim nie skontaktowała? Dlaczego nie dała znaku życia?

– Dziwne – mruknął Victor, pocierając palcem nos. – Odniosłem wrażenie, że... jesteście sobie dość bliscy. Ale cóż, najwyraźniej się myliłem. – Rozłożył ręce. – Skoro nawet nie pochwaliła się, że ma kuzyna... Cóż za rozczarowanie.

– Może byście się tak ruszyli? – rzuciła dziewczyna, która wcześniej biegła za Victorem. – Blokujecie przejście.

– Tak, tak – mruknął Vic. – Już idziemy, Jo. Już idziemy.

Podróżny zaprowadził ich do jednej z sal wykładowych i gestem zachęcił, żeby zajęli miejsce przy

jednoosobowych stolikach.

– Zatem... Raz jeszcze dzień dobry i moje uszanowanie – powiedział i ukłonił się. – Naprawdę, za samo dostanie się tutaj zasłużyliście na mój szczerzy podziw i szacunek. – Zakłaskał w dłonie. – Nazywam się Mortimer Burton, chociaż część z was może znać mnie także pod pseudonimem „Podróżny”. Oficjalnie nie jestem Mistrzem Marionetek, więc możecie mówić do mnie po prostu „Morty”. Jak pewnie zdążyliście zauważyć, strój adepta Kolegium składa się z czarnych spodni oraz szarej bluzy – powiedział, znacząco spoglądając na siedzącą w pierwszym rzędzie blondynkę ubraną w czarną gotycką suknię. – I radziłbym o tym pamiętać podczas zajęć. Nie tolerujemy także spóźniania się – dodał, kiedy do sali wpadła rudowłosa dziewczyna, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Również nie miała na sobie regulaminowego stroju; wyglądało na to, że zaledwie przed chwilą przybyła na uczelnię. Martin zastanawiał się, jakim cudem w ogóle udało jej się znaleźć drogę, skoro ominęły ją wcześniejsze wyjaśnienia dotyczące rozkładu sal. – Co prawda była o tym mowa już podczas oficjalnego rozpoczęcia, ale powtórzę jeszcze raz dla naszej spóźnialskiej: cisza nocna obowiązuje od północy do godziny siódmej, także w weekendy. W tym czasie drzwi Klementinum są zamknięte. Oczywiście wolno wam angażować się we wszelkiego rodzaju zajęcia dodatkowe oferowane przez lokalne instytucje i jak najbardziej was do tego zachęcamy. Oczywiście pod

warunkiem, że nie będzie to kolidować z programem kursu i nie będzie was zmuszało do późnych powrotów. Jeśli nie zdążycie wrócić na czas, cóż... czeka was noc w mieście, a w obecnej sytuacji raczej bym tego nie polecał.

Siedząca w pierwszej ławce ciemnowłosa adeptka podniosła dłoń do góry.

– Ale dlaczego? – zapytała, gniewnie odrzucając warkocz na plecy. – Starsze roczniki mówiły, że...

– Starsi adepci podlegają obecnie podobnym ograniczeniom i prawdopodobnie ich opiekunowie właśnie prowadzą z nimi taką samą rozmowę – odparł Mortimer. – Czasy się zmieniły, panienko. Jeśli nie wrócicie na czas, nikt nie będzie mógł zagwarantować wam bezpieczeństwa.

Adepci spoglądali po sobie, zaskoczeni i zbici z tropu. Po chwili dziewczyna znów podniosła rękę do góry.

– W szkole przygotowawczej mieliśmy dostęp tylko do wybranych sekcji biblioteki. Czy tutaj też są takie ograniczenia?

Morty popatrzył na nią z odcieniem niepokoju i współczucia. Jakby idea zakazywania dostępu do części zbiorów w ogóle nie mieściła mu się w głowie.

– Nie ma działu ksiąg zakazanych, jeśli o to chodzi. Wszystko w bibliotece jest dla was i do waszego użytku, nie widzę sensu umieszczania zakazanej wiedzy w ogólnodostępnej przestrzeni – skomentował. – Co do planu zajęć... Oczywiście wisi on zarówno tutaj, w holu, jak i na waszym korytarzu. W każdej chwili możecie na

niego spojrzeć. Jak pewnie zauważycie, także adepci starszych roczników – powiedział i puścił oko do dociekliwej adeptki – mają w tym roku dodatkowe dwie godziny treningów kondycyjnych z Mistrzem Taro. Biegi, ćwiczenia, gimnastyka. Dobrze wam zrobi trochę ruchu.

Martin jęknął cicho. Podobnie zareagowała większość grupy. Tylko spóźnialska adeptka – mimo dość dużych rozmiarów – wydawała się zadowolona z tego stanu rzeczy. Zdobyła się nawet na drobny, triumfalny uśmiech.

– Nie radzę tego kwestionować i opuszczać zajęć – ostrzegł Morty, widząc ogólny brak entuzjazmu. – Poza tym... Cóż! Przygotujcie się na to, że to nie będzie dla was łatwy rok. Będziecie się bać, będziecie się wściekać i przeklinać, będziecie wątpić i myśleć o ucieczce. Najlepszą radą, jaką mogę wam dać, jest to, byście jak najwięcej przebywali razem, rozmawiali, uczyli się od siebie nawzajem. Nie musicie się przyjaźnić, ale musicie umieć na sobie polegać. Chciałbym wam uświadomić coś jeszcze, przyjaciele. – Spojrzał na ich twarze. – Reguły tej uczelni istnieją nie po to, żeby testować waszą przebiegłość i zdolność naginania zasad. Zostały stworzone dla waszego bezpieczeństwa. Oczekuję, że będziecie ich przestrzegać. Szkoda, żeby taki potencjał się zmarnował – dodał, bardziej do siebie.

Dłoń dziewczyny z warkoczami znów znalazła się w powietrzu.

– Tak, panno...? – Przesunął wzrokiem po liście

obecności.

– Jo – odparła. W tym momencie Martin był niemal pewien, że jeśli trzeba będzie wybrać starostę roku, właśnie ona będzie pierwszą kandydatką. – Po prostu Jo. Wcześniej wspominał pan, że nikt nie może zagwarantować nam bezpieczeństwa. A teraz ten wykład o regułach. Dlaczego pan tak to podkreśla? Coś się stało? Coś, o czym nie wiemy?

Twarcz Mortimera była nieprzenikniona.

– Pani Erika Ekhart uważa, że nie jest to coś, co powinno obecnie zaprzętać wasze głowy. – Zdobył się na krzywy uśmiech. – Od siebie mogę dodać, że będzie dość czasu i okazji, by się pomartwić.

Tym razem nie było już więcej pytań.

Pierwszymi wyzwaniem, z jakim przyszło im się zmierzyć, były – ku pewnemu zaniepokojeniu Martina – zajęcia z językoznawstwa. Nie miał pojęcia, że program kursu przewiduje coś takiego.

Po prawdzie nie wiedział wielu rzeczy o Praskiej Szkole Lalkarzy, gdy do niej aplikował.

Przerwa była tak krótka, że właściwie opuszczanie sali nie miało sensu. Martin zdołał jedynie szeptem zapytać Waltera, czy pogrążony w rozmowie z Jo i jej koleżanką jasnowłosy Victor rzeczywiście jest kuzynem Canelle. O ile po niej i pani Althan od razu widać było bliskie pokrewieństwo, chłopak prezentował zupełnie inny typ

urody.

– Tak, jest krewnym Canelle – potwierdził ksiązę, ku pewnemu rozczarowaniu Martina. Mniej martwiłby się, wiedząc, że chłopak kłamał we wszystkim, co miało związek z zaginioną. – Chociaż to nie jest tak, jak on przedstawia. Nie przepadają za sobą. A w każdym razie ona nie przepada za nim i szczerze wątpię, żeby prowadziła z nim korespondencję.

– Wyglądacie na dobrych znajomych.

– Znamy się. – Walter westchnął. – Po prostu. Już nawet sam nie pamiętam skąd. Pewnie ze sklepu pani Althan.

Zanim Martin zdołał zapytać o coś jeszcze, drzwi do sali otworzyły się z cichym skrzypnięciem.

– Cześć, dzieciaki! – powitała ich Amy Dot.

Martin zwrócił na nią uwagę już podczas ceremonii inauguracyjnej. Niepozorna, uśmiechnięta blondynka w okularach, z włosami zebranymi w nieporządny, artystyczny kok wydawała się zaprzeczeniem wizji zimnego, wyrachowanego pracownika Kolegium. To wrażenie potwierdzał niezobowiązujący strój – sprane jeansy, bluzeczka w kropki i sweterek z kokardkami. Martin zdziwił się, kiedy Walter szeptem uświadomił go, że kobieta jest jednym z najlepszych i najbardziej wpływowych Manipulatorów.

– Czy mamy w tym roku jakichś uczniów spoza Obrzeży? – zapytała wesoło. Zgłosił się Martin, czerwonowłosa dziewczyna oraz drobny, ciemnowłosy

chłopak siedzący w ostatniej ławce. Miał ostre rysy i krzywy uśmiech szkolnego cwaniaczka, któremu wszystkie przekręty uchodzą płazem.

– Trzy sztuki, no, no! – Wykładowczyni zatarła ręce. – Nieźle. Powiedz mi, moja droga – zwróciła się do dziewczyny – w jakim języku teraz rozmawiamy?

– No... po niemiecku?

Martin popatrzył na nią podejrzliwie. W jakimś stopniu znał niemiecki, zorientowałby się. Owszem, dziewczyna miała silny akcent, ale był pewien, że mówi po czesku. Ciemnowłosy chłopak również wydawał się zdziwiony. Uczniowie ze szkoły przygotowawczej spoglądali na nich z politowaniem.

– Zaskoczeni, co? – Amy wybuchnęła śmiechem. – Każde z was automatycznie założyło, że skoro rozumiecie rozmówcę, to porozumiewa się z wami w waszym języku. A tu proszę, niespodzianka! – Przysiadła na brzegu ławki. – Zapytam jeszcze raz, tym razem wszystkich. W jakim języku się porozumiewamy?

Dłoń Jo – zgodnie z oczekiwaniami Martina – natychmiast wystrzeliła w górę.

– W języku Obrzeży, to chyba dość oczywiste – odparła, mrużąc oczy.

Amy klasnęła w dłoń.

– Język Obrzeży, tak, świetnie! – Uśmiechnęła się. – A możesz wyjaśnić, co to za język i na czym ta cała zabawa dokładnie polega? Dlaczego wszyscy jesteśmy w stanie się nawzajem zrozumieć, chociaż pochodzimy z różnych

miejsc i na co dzień na pewno mówimy innymi językami?

– No... – Tym razem Jo nie była już taka pewna. – To jakby ułatwienie dla nas, żebyśmy nie musieli się dodatkowo jeszcze męczyć z barierą językową...

– Owszem, ale to nie do końca odpowiedź na pytanie, moja droga. Sądziłam, że szkoła przygotowawcza jednak dokładniej wyjaśnia te kwestie. No dobrze! – Wstała i rozejrzała się po auli. – Ktoś ma jakiś pomysł?

Nikt się nie odezwał.

Martin przeklinał się w myślach. Walter, Inga, Iskra, Aisling... Poznał ich już w wakacje i na pierwszy rzut oka widział, że są innej narodowości, a jednak ani przez chwilę nie zdziwiło go, że jest w stanie się z nimi dogadać. Potraktował to jak oczywistość.

– Cała druga strona utkana jest z opowieści – powiedziała Amy. – Z legend, strasznych historii, baśni... Z czegoś, co w takiej lub innej formie jest znane większości ludzi; jest częścią większej całości. Języki mogą się różnić, ale historie opowiadane w różnych kulturach mają zaskakująco wiele wspólnych elementów. Pasują do siebie. Powtarzają się w nich pewne struktury, symbole. Wrażenia, przeczucia i lęki, które na poziomie nieświadomości są wspólne dla wszystkich. I dlatego właśnie jesteśmy w stanie się porozumiewać! Przekraczając granicę i przechodząc na drugą stronę wszyscy obracamy się w świecie tych samych opowieści, lęków i symboli. To język najbardziej

podstawowy, najbardziej instynktowny, nie uczycie się go. Po prostu jeśli jesteście w stanie przejść na drugą stronę, możecie go też rozumieć. W pewnym sensie staje się waszą mową ojczystą. Czy to nie cudowne?!

Oczy kobiety jaśniały dziwnym blaskiem. Widać było, że uwielbia dzielić się ze studentami pasją, jaką był dla niej język Obrzeży.

Adepci cały czas spoglądali na nią podejrzliwie. Chyba tylko Walter i jasnowłosa dziewczyna w czarnej sukience zdawali się rozumieć, co chce przekazać wykładowczyni.

– Niektórzy z was zastanawiają się teraz pewnie nad tym, po co wam te zajęcia, skoro tak naprawdę wszyscy tutaj mówimy jednym i tym samym językiem, prawda? – Nie mogli zaprzeczyć. Martin również się nad tym zastanawiał. – Owszem, język Obrzeży najzupełniej wystarcza, jeśli chcecie zostać szeregowymi manipulatorami pracującymi głównie po drugiej stronie, zajmującymi się pilnowaniem porządku, rozstrzyganiem drobnych sporów, szpiegostwem. Do tego wystarcza jednak zwykle ukończenie szkoły przygotowawczej. Wy zamierzacie zostać Mistrzami Marionetek, a Mistrz musi być ambitny. Mistrz musi szkolić się z myślą, że kiedyś będzie pociągał za sznurki przyczepione do ramion największych światowych przywódców. Do tego język Obrzeży może nie wystarczyć – ostrzegła. – Język to najprostszy sposób, żeby na kogoś wpłynąć, żeby zmienić jego decyzje, jego światopogląd.

– A tak w praktyce? – rzuciła śmiało Jo. – Jak pani to

wykorzystuje?

– Och, złotko. – Amy uśmiechnęła się pobłaźliwie. – Na co dzień jestem tłumaczem.

Martin słuchał reszty wykładu, mechanicznie robiąc notatki. Cały czas myślał o tym, co o języku Obrzeży powiedziała Amy: o tym, że po przejściu na drugą stronę stawał się językiem ojczystym. Czy to był ten język, który słyszał wczoraj w podziemiach metra? Czy to tym językiem dziwna kobieta zapraszała go do tańca? Zadrzał na samo wspomnienie. Ukradkiem zerknął na Waltera, który po prostu słuchał wykładowczyni, od czasu do czasu kiwając głową. Te informacje na pewno nie były dla niego nowością.

Martin miał dziwne przeczucie, że myśli księcia błędzą gdzieś bardzo daleko. Podróżował do krain jesieni z tym demonem, który wabił go obietnicami o czekającej na niego Ely. Zamyślił się tak bardzo, że nawet nie zauważył, kiedy Amy wyszła i zastąpił ją Mistrz Johan. Dopiero gdy Martin lekko szturchnął go w łokieć, księżę wstał i się uklonił.

Martin zmrużył oczy. Ze słów Greema oraz z informacji przekazanych podczas porannego spotkania w kaplicy dowiedział się, że Mistrz Johan pełnił funkcję wicedyrektora i najbliższego współpracownika Eriki Ekhart. Jak dotąd nie było mowy o tym, że będzie ich czegokolwiek uczyć.

– Wielu osobom tu obecnym wydaje się, że skoro tutaj trafiły, to potrafią manipulować innymi. – Mistrz zabrał

głos, z lekceważeniem rozglądając się po sali. – Że skoro udało im się owinąć sobie wokół palca kolegów z dawnej klasy, wyłudzić od kogoś pieniądze albo nakłonić rodziców, by dali więcej wolności, niż to jest wskazane – powiedział i popatrzył prosto w oczy Martina, który zamrugał zdziwiony – to mogą uznawać się za geniuszy. Nic nowego. Co roku mamy tu takich i co roku uświadamiamy im, jak bardzo się mylą. Wiele osób to potrafi. Co drugi niestabilny emocjonalnie, narcystyczny gówniarz potrafi podporządkować sobie ofiarę, osaczyć ją, zastraszyć i wykorzystywać ją do podbudowania ego. Nie takiej manipulacji będziemy się tutaj uczyć – zapowiedział. – Nikt nie pokaże wam, jak krzywdzić ludzi, uzależniać ich od siebie i wykorzystywać do waszych celów. Egzamin wstępny aż za dobrze pokazał, że to macie już opanowane. Zabawa się skończyła. Czas wejść na wyższy poziom i osiągnąć nieubłaganą, mistrzowską precyzję. – Uśmiechnął się. Rudowłosa adeptka skuliła się na widok tego uśmiechu. Martin miał ochotę zrobić to samo.

Po przerwie obiadowej przyszedł czas na zajęcia z Podróżnym – pierwsze prawdziwe ćwiczenia z marionetkami. Bez wątpienia właśnie to ciekawiło wszystkich najbardziej. Warsztat był największym szkoleniowym pomieszczeniem w Klementinum. Jedną część zajmowały stoły warsztatowe, drugą kilka ław dla

widzów. W równych odstępach stały blaty wyposażone we wszystkie potrzebne narzędzia do obróbki drewna, pod ścianami ustawiono maszyny do szycia oraz sztalugi. Martin ledwie powstrzymał się od chodzenia po sali i dotykania znajdujących się na półkach przedmiotów. Czerwonowłosa adeptka prychnęła cicho, kiedy drobny brunet wszedł na moment na scenę i zaczął udawać przemówienie.

Podróżny pojawił się na stryżku niemal w tym samym momencie co jasnowłosa dziewczyna, tym razem przyodziana już stosownie do regulaminu.

– Witajcie ponownie, przyjaciele! – Wykładowca zaklaskał. – Mam nadzieję, że Amy was za bardzo nie wymęczyła. To pierwszy dzień, dlatego poprosiłem, żeby traktowała was ulgowo.

Kilka osób roześmiało się niepewnie.

– Weźcie krzesła i usiądźcie w kręgu – nakazał.

– Nie wiem, czemu czuję się jak na terapii grupowej – mruknął drobny brunet, zajmując miejsce obok Victora. Blondyn odpowiedział bladym uśmiechem.

– Proszę, wyjmijcie swoje marionetki – polecił Mortimer.

Po raz pierwszy Martin miał okazję zobaczyć lalki swoich kolegów z grupy, podobnie jak Daimon pozbawione włosów i ubrania. Większość z nich była całkowicie nowa, pewnie dopiero co kupiona w jednym z drogich sklepów w centrum Pragi. Lalki Victora, Waltera oraz drobnej blondynki wyglądały jednak na pochodzące

z drugiej ręki, podobnie jak lalka Martina.

„Oddam go komuś, kto udowodni, że potrafi odpowiednio pociągać za sznurki” – tak powiedziała pani Althan, oferując mu ją. Czy naprawdę umiał? To miało się dopiero okazać.

– A teraz poproszę każdego z was, żeby się przedstawił i powiedział, na jakim gra instrumencie i jak nazywa się jego marionetka. Na razie tylko tyle. W porządku?

Wszyscy pokiwali głowami,

– Będę was pytał jedno po drugim. Zaczniemy od ciebie – powiedział, uśmiechając się do siedzącej po jego prawej stronie dziewczyny.

– Nel – przedstawiła się. Podobnie jak jej brat bliźniak, siedzący po drugiej stronie Mortimera, miała szare oczy i charakterystyczne, lekko pociągłe rysy twarzy z wysokimi kośćmi policzkowymi. Bardzo jasne, prawie białe włosy opadały jej na czoło, nadając wyraz twarzy sennej, zamyślanej hipiski z lat sześćdziesiątych. Kiedy sięgając po lalkę niechcący podwinęła rękaw bluzy, Martin dostrzegł cienką sieć tatuaży. Celtyckie wzory okalały cały nadgarstek, niemal zachodząc na dłoń. – A to jest Freja. Nie gram na żadnym konkretnym instrumencie – dodała. Znacząco przesunęła dłonią po swoim gardle. Miała przyjemny, melodyjny głos. Martin zrozumiał, że jej specjalnością jest śpiew.

– Nie chcesz ujawnić kolegom z klasy swojego pełnego imienia? – zasugerował Morty.

Z namysłem pokręciła głową.

– Będzie obco brzmieć dla ich uszu. Nie lubię, gdy ktoś źle je wymawia – wyjaśniła, uśmiechając się pogodnie.

– Jest to jakieś wytłumaczenie. – Morty pokiwał głową.

– Panienska Po Prostu Jo, tak? – Zerknął na sąsiadkę Nel i natychmiast rozpoznał szczególnie aktywną podczas wcześniejszego spotkania adeptkę. Z wyraźnym zadowoleniem pokiwała głową.

– Tak, Jo. To nie jest żadne zdrobnienie – uprzedziła.

– Naturalnie! – Skinął głową. – Jaki wybrałaś sobie instrument, Po Prostu Jo?

– Trąbkę.

– A jak nazwałaś marionetkę?

– Ismena. A marionetka Any nazywa się Antygona – kontynuowała Jo, zanim jej towarzyszka zdążyła się odezwać.

– Interesujące – przyznał Mortimer, przenosząc wzrok na dziewczynę z krótkimi, kręconymi włosami w odcieniu mysiego blondu.

Ana się zaczerwieniła, najwyraźniej skrepowana sytuacją. Martin wcale się jej nie dziwił. Też czułby się skrepowany, gdyby siedzący obok Walter wyreczał go w autoprezentacji.

– Gram na harfie – wymamrotała, zdając sobie sprawę z tego, że wykładowca wciąż się w nią uważnie wpatruje.

Podróżny pokręcił z pobłażaniem głową i wskazał następną osobę.

– Victor Althan – odezwał się jasnowłosy chłopak siedzący obok Any. Zgodnie z tym, co rano zapowiedział

Walt, uczniowie ze szkoły przygotowawczej konsekwentnie trzymali się razem. Martinowi nie umknęło, że Victor był pierwszą osobą, która przedstawiła się imieniem i nazwiskiem. – Gram na skrzypcach. Moja marionetka nazywa się Cato. Plotka głosi, że została wykonana przez Mistrza Corneliusa i...

– Ach tak. – Mortimer wzrokiem wskazał na następnego w kolejności bruneta.

– Nazywam się Augustus La Fayette – powiedział tamten spokojnie. Założył nogę na nogę, a ramię przerzucił przez oparcie krzesła. W jasnoszarych oczach czaiła się arogancja. – A moja małeńka to Marie Antoinette. – Wskazał na dość zużytą, łysą marionetkę. – Niestety wymaga odnowienia. – Westchnął. – Za często zdarza jej się tracić głowę.

Przez salę przetoczyła się fala wesołości, gdy Augustus zademonstrował, jak przy najmniejszym ruchu główka lalki po prostu odpada.

– Będziesz potrzebował pomocy przy naprawie – ocenił Morty. – Ale zajmiemy się tym. – Loretto – zwrócił się do jasnowłosej dziewczyny siedzącej z marionetką na kolanach. Dopiero teraz Martin miał okazję lepiej przyjrzeć się adeptce. Była zdecydowanie młodsza od pozostałych. Mogła mieć jakieś szesnaście lat, tak jak Canelle.

– Lotta – powiedziała, spoglądając Mortimerowi w oczy. Martin zorientował się, że oczy wykładowcy i adeptki mają niemal identyczny, intensywnie zielony

kolor. – Mojra – dodała, wskazując na lalkę. Wyglądało na to, że Mortimer nic więcej z niej nie wyciągnie.

– Nasza spóznialska – zwrócił się do następnej osoby. Dziewczyna odgarnęła za ucho pasemko intensywnie czerwonych włosów. – Na przyszłość staraj się jednak skupiać na sobie uwagę w inny sposób niż spektakularne wpadanie do sali po czasie.

Dziewczyna pobladła, zaczerwieniła się i znów pobladła. – Frederika Kruger. – Uniosła dumnie głowę. – Freddie. Gram na perkusji – poinformowała wszystkich zebranych, unosząc brwi, jakby chciała się upewnić, czy ktoś z obecnych ma z tym problem. – A to jest Alecto – dodała, wskazując na lalkę.

Morty spojrział na Martina.

– Bardzo proszę – zachęcił.

– Martin Lubovic. Gram na basie. Marionetka ma na imię Daimon – dodał.

– Wasza wysokość? – Podróżny spojrział na Waltera.

– Walter, księżę Żelaznego Dworu. Moja marionetka nazywa się Ely.

Martin jęknął w duchu. Nie był nawet specjalnie zaskoczony, wręcz się tego spodziewał.

Nagle poczuł, że ktoś się w niego wpatruje. Podniósł wzrok i napotkał spojrzenie pełne głodu i nienawiści. Błękitne oczy Victora. Potrzaskał głową i zerknął na kolegę z grupy raz jeszcze, ale na twarzy blondyna było wymalowane znudzenie i pobłażliwość wobec wszystkich pozostałych adeptów.

Martin był jednak pewien – nie wydawało mu się!

Ostatni w kolejce Ned – brat bliźniak Nel – również odmówił podania swojego pełnego imienia, pod tym samym pretekstem co siostra. Zbyt skomplikowane, obce dla uszu, nie zniósłby przekręcania go. Również miał długie jasne włosy, nieco nieobecne spojrzenie i tatuaże. Również tylko śpiewał. Jego marionetka miała na imię Frey.

– Skoro już wszyscy jesteście w komplecie i się znacie – powiedział Morty – to czas brać się do pracy. Każdy z was podejdzie teraz do swojego stołu. Możecie je sobie wybrać wedle uznania, ale nie możecie ich już zmienić aż do końca roku. Macie dużo pracy, musicie uczynić wasze marionetki... waszymi. Nadać im charakter. Uszyć ubrania, dobrać peruki, poprawić to i owo. Nie traćcie czasu, trzy godziny to nie tak dużo, a już dość czasu poświęciliśmy na gadanie. Przed następnym spotkaniem chcę zobaczyć ich charakter. Chcę wiedzieć, kim są. I kim jesteście wy sami!

WYJĄTKOWO DESZCZOWY WRZESIEŃ

Pierwszym zaskoczeniem był fakt, że nagle stracił kontrolę nad Daimonem. Podczas wakacji udało mu się już częściowo opanować technikę poruszania marionetką. Kosztowało go to sporo trudu – Daimon był dużą lalką o dużej ruchomości stawów i wielu żyłkach. Kiedy jednak przyszedł na drugie zajęcia i przebrał lalkę w przygotowany przez siebie strój, nagle całkowicie stracił nad nią kontrolę. Była nieruchoma, całkowicie oporna na jego próby poruszania cienkimi, przezroczystymi żyłkami. Nie on jeden miał problemy. Nawet Victor, który cały poprzedni wieczór przechwalał się, że ma za sobą lata praktyki, teraz nie potrafił wprawić Cato, swojej marionetki, w ruch.

– No co jest, do cholery? – mamrotała pod nosem Frederika, z każdą chwilą coraz bardziej sfrustrowana.

Podróżny siedział na biurku, palił fajkę wodną i obserwował ich, najwyraźniej świetnie się przy tym bawiąc. Smugi dymu z nargili snuły się pod sufitem. Deszcz bębnił o dach i o szyby warsztatowych okien.

– Chyba nie myśleliście, że będzie łatwo, hmm? – zapytał.

– No właściwie... – odparł Gus, łypiąc na niego ze złością. Jego lalka właśnie po raz kolejny straciła głowę pod wpływem zbyt gwałtownego ruchu. – Dopóki tutaj

nie trafiłem, radziłem sobie z nią całkiem nieźle.

– Bo wtedy była po prostu używaną marionetką – wytłumaczył Podróżny. – Nie istniała między wami żadna więź. Nie było magii Manipulatorów.

– A teraz jest?

– Na pierwszych zajęciach poprosiłem was, żebyście usiedli w kręgu i przedstawili siebie i swoje lalki. Żebyście uszyli im ubrania, nadali im charakter, określili, kim są według was. Dopiero wtedy zaczęliście mieć z nimi problemy, prawda?

Adepci popatrzyli na siebie i niechętnie pokiwali głowami.

– No właśnie! – Podróżny się uśmiechnął. – Otóż to!

– Otóż co? – Gus popatrzył na niego zrezygnowany.

– Dzięki temu narodziła się więź między wami i waszymi marionetkami. Jesteście ich właścicielami.

– Ale to nie ma sensu! – krzyknęła Jo. – Skoro jesteśmy właścicielami, to powinny nas słuchać, czy tak?

Morty znów się roześmiał. Szczerze, naturalnie. Jakby powiedziała coś niezwykle zabawnego.

– Czego oni was uczą w tych szkołach przygotowawczych? – Westchnął, wciąż kręcąc głową. – Marionetka ma obowiązek słuchać wyłącznie swojego stwórcy. Nikogo więcej. Jeśli chcecie mieć absolutnie posłuszną marionetkę, musicie zbudować ją od podstaw. Zaczniecie się jednak uczyć tej sztuki dopiero wtedy, kiedy zapanujecie nad tymi maleństwami. One mają imiona, mają dusze, mają swój charakter i wolną wolę.

Musicie przekonać je, żeby słuchały właśnie was. Musicie im pokazać, że jesteście tego warci, że macie dość siły, by nad nimi zapanować. Byle idiota ze szkolnego kółka teatralnego potrafi wziąć pierwszą lepszą marionetkę z wystawy i poruszać nią tak, żeby pomachała ręką – ciągnął Podróżny, gestykulując z przejęciem i nie zwracając najmniejszej uwagi na gniewne spojrzenia Martina. – Ale nakłonić do tego marionetkę, z którą jesteście związani magią Manipulatorów... Właśnie to będzie wasze zadanie na ten rok!

Właściwie każdy ranek spędzali w auli na pierwszym piętrze, słuchając, jak sędziwy wykładowca, profesor Septim, opowiada o historii dramatu. O starożytnych greckich tragediach i regule trzech jedności. O maskach. Martin słuchał uważnie, chociaż dla niego było to głównie powtórzenie znanych wiadomości. Profesor Septim nie był Mistrzem Marionetek, zaś jego wywody i rozważania brzmiały czysto akademicko. Oprócz Martina tylko trzy osoby zdawały się zdradzać pewne zainteresowanie tematem: nieśmiała Ana i jasnowłose bliźniaki o rozmarzonych spojrzeniach. Znacznie ciekawsze były wykłady Amy Dot. Po wstępie dotyczącym Mowy Obrzeży kobieta kontynuowała temat językoznawstwa. Skupiała się głównie na wykorzystaniu języka do manipulacji ludźmi.

– Kiedy już musicie kogoś szantażować, starajcie się z tym nie przesadzić – pouczała. – Starajcie się, żeby wasz głos nie brzmiał tak, jakbyście zastraszaali i grozili.

Odwołujcie się do faktów. Do tego, że dane zachowanie przewiduje konkretne konsekwencje. Przypominajcie o tym, że świat jest bezlitosny. Już samo zwrócenie na to uwagi sprawi, że obiekt waszej manipulacji zacznie się zastanawiać. Ze nie będzie mógł was oskarżyć, a jednocześnie zostanie zmuszony do konfrontacji z faktami, do przemyślenia swoich decyzji.

Martin musiał przyznać, że po każdym takich zajęciach przyglądał się podejrzliwie swoim kolegom z grupy, próbując wybadać, czy żadne z nich nie próbowało wykorzystywać podsuniętych przez wykładowczynię pomysłów.

Zajęciami, które wzbudzały w nich najwięcej lęku, były te prowadzone przez Mistrza Johana. Miał on przykry zwyczaj zapraszać na środek dwóch wybranych adeptów i zmuszać ich do odgrywania wymyślonych przez niego scenek – na przykład kłótni albo próby nakłonienia do czegoś – tylko po to, by następnie bezlitośnie komentować wszelkie niedociągnięcia i słabości. Po tym, jak Mistrz Johan kilkakrotnie nakrył Martina na penetrowaniu korytarzy w pobliżu gabinetu dyrektorki, adept szybko stał się jego ulubionym materiałem pogładowym. Może to sama Erika nakazała podwładnemu, by miał na niego oko? Albo osobiście postanowił pokazać adeptowi, gdzie jego miejsce?

Jakimś sposobem Mistrz Johan wiedział podejrzanie dużo o jego umowach z rodzicami oraz dawnych szkolnych problemach i z lubością wykorzystywał to,

przydzielając mu role i komentując poszczególne scenki. Po kilku zajęciach Martin spostrzegł, że jego strefa dyskomfortu stała się nową strefą komfortu i czuł się nieswojo, gdy Mistrz Johan akurat niczego od niego nie chciał. Poza nim ulubieńcami wykładowcy bardzo szybko zostali też Frederika, Gus i Victor.

Musieli też rozwijać swoje zdolności muzyczne. Te zajęcia Martin polubił od razu. Jako że każdy z adeptów zgłosił umiejętności w zakresie gry na innym instrumencie, ćwiczenia odbywały się w trybie indywidualnym. Martinowi przypadł w udziale Mistrz Cyril, bardzo pogodny człowiek o wyglądzie podstarzałej gwiazdy rocka. Wydawał się – jak na standardy Kolegium – względnie nieszkodliwy i miał zaskakująco dużo cierpliwości. Mimo tego już w środę Martin nie mógł doczekać się weekendu.

Zajęcia praktyczne przeplatały się z wykładami wymagającymi nieustannego notowania. Martin musiał dodatkowo starać się, by pismo było w miarę wyraźne i nadające się do odczytania przez Waltera. Zraniona dłoń chłopaka zagoiła się tylko powierzchownie i teraz – po wielu godzinach ćwiczeń z marionetką – rana otworzyła się na nowo. Po każdej sesji ćwiczeniowej bandaż nasiąkał krwią. Tak jakby marionetka, dla której zrobił rudą perukę i uszył zieloną sukienkę, wysysała z niego krew. Nikt oprócz Martina nie zwrócił na to większej uwagi. Tylko jasnowłosa, rozmarzona Nel i Freddie czasem zerkały uważnie na księcia, niepewnie

odwracając wzrok, gdy tylko ten zdawał sobie sprawę, że jest obserwowany.

Wszyscy wściekali się na dodatkowe ćwiczenia kondycyjne. Dwie godziny biegów, skakania i wspinania się po ścianach były ostatnią rzeczą, której potrzebowali i tak już zmęczeni adepti. Mistrz Taro nie był szczególnie wybredny w kwestii czasu i miejsca ćwiczeń. Otwierał im przejścia do nieużywanych magazynów i starych poligonów czy nieużytków i tam kazał ćwiczyć bez względu na warunki atmosferyczne. Na wietrze, w deszczu i we mgle.

– I myślałby kto, że jesteśmy talentami – syczała przez zęby Jo, po raz kolejny podnosząc się z niezbyt efektownego padu. – Że jesteśmy elitą i po egzaminach będziemy spokojnie siedzieć i rozkazywać ludziom, zmuszać ich, by zrobili to, czego chcemy, i kontrolować ich jednym słowem. Nie po to spędziłam tyle lat w przygotowawczej, żeby teraz taplać się w błocie. Co to ma w ogóle być? Zabawa w wojsko?!

Mistrz Taro pochylił się nad dziewczyną. Był dość młody, drobny i niski. Długie jasne włosy związywał w kitkę. Prawie nieustannie musiał poprawiać zsuwające się z nosa druciane okulary.

– Owszem. Szkolimy was po to, byście zostali elitą – przyznał. Mżawka i mgła unosząca się nad łąką najwyraźniej nie robiły na nim wrażenia. – Posiadacie przecież unikatowy zestaw cech, które być może pozwolą wam osiągnąć wielkość i rządzić tym miastem. Ale

rządzić znaczy także bronić i ochraniać. I dlatego jeśli Praga kiedykolwiek znajdzie się w niebezpieczeństwie, to wy staniecie na pierwszej linii frontu.

– I dlatego chce pan nas na to przygotować, tak? – domyśliła się Freddie. W ciemnych oczach pojawił się wojowniczy błysk. Błoto spływało z włosów wraz z czerwoną farbą.

– A kto powiedział, że nie będziemy walczyć? – zapytała Jo, nie podnosząc się z ziemi. Ewidentnie korzystała z każdej możliwej chwili odpoczynku. – Mamy przecież nasze marionetki. Mamy techniki iluzji, których wkrótce się nauczymy. Mamy ludzi, których możemy...

– Słuszna uwaga! – Mistrz Taro niby przypadkiem nastąpił jej na palce. Dziewczyna skrzywiła się z bólu, jednak nie krzyknęła. – Tyle że nie zawsze i nie w każdym przypadku będziecie mieć marionetki, iluzje i chętnych ludzi – powiedział. – Nie przeciw wszystkiemu, z czym przyjdzie wam się zmierzyć, będzie to skuteczne. A nawet jeśli, to żeby utrzymać iluzję, marionetkę i kontrolę nad człowiekiem, potrzeba siły, także tej fizycznej. Dlatego będziecie przychodzić do mnie na zajęcia i będziecie się szkolić. Będziecie do mnie przychodzić tak długo, jak Erika Ekhart uzna to za konieczne.

Były chyba tylko dwie osoby, które zdawały się nie mieć nic przeciwko temu: Inga i Freddie. Ingę gnała pałaca, niepowstrzymana ambicja, Freddie była zaś – z tego, co Martin zdążył zauważyć – maniaczką zdrowego

trybu życia.

– Nie mam pojęcia, jak jedząc taką trawę i tak się wyrrywając u Mistrza Taro można mieć taki wielki tyłek – powiedziała któregoś dnia Jo.

– Też nie rozumiem – przyznała w zadumie Freddie, wkładając do ust kawałek pomidora. – Swoją drogą ciekawe, że wczoraj Ana to samo mówiła o tobie. Prawda, Martin?

Martin przyglądał się całej trójce z politowaniem. Nie miał czasu na przedszkolne, dziecinne intrygi Freddie.

Mimo że minął już niemal miesiąc, wciąż trzymał się głównie z Walterem oraz z Greemem i Ingą, którzy teraz spędzali czas głównie na sprzeczkach i dogryzaniu sobie. Kłótnie urywały się w pół słowa, gdy tylko Martin pojawiał się w zasięgu wzroku. Nie był pewien, co o tym myśleć. Cały czas pamiętał wakacje, spotkanie w sklepie i później w Starej Sprawie. Nie mógł uwierzyć, że tak po prostu dali sobie spokój ze spiskiem i skupili się na rywalizacji o tytuł Mistrza Marionetek, dokładnie tak, jak chciała Erika Ekhart. Alternatywą było potajemne knucie za plecami Martina. Nie mógł zdecydować, która wersja była bardziej denerwująca.

– Nie sądziłam, że nasz Gus potrafi być taki miłutki! – stwierdziła Nel, obracając się na barowym stołku i spoglądając w głąb Knajpy Morderców. Wraz z siedzącym obok bratem oraz Martinem obserwowali, jak

Augustus La Fayette bez większego powodzenia próbuje poderwać nieśmiałą, małomówną Lotte. Dziewczyna znów porzuciła szkolny uniform na rzecz czarnej sukienki z koronkami i kokardkami.

Reszta ich grupy kręciła się po lokalu. Na razie obyło się bez żadnych incydentów i morderstw. Victor jak zwykle siedział w towarzystwie Jo, Any oraz Freddie. Najwyraźniej również obserwując i komentując wysiłki Gusa.

– On chyba jeszcze nie wie – zawyrokował Ned, przekrzywiając głowę.

Martin zmarszczył brwi.

– O czym nie wie?

Nel i Ned wymienili porozumiewawcze, pełne politowania spojrzenia. Stina zachichotała.

– Lotta – mruknęła. – Czy to przypadkiem nie ta cała... Loretta z Millhaven?

– Dokładnie ta sama – powiedział Ned. Martin wciąż spoglądał na nich zdezorientowany. – No wiesz, z tej piosenki Nicka Cave'a, „Przekleństwo Millhaven”. All god's children have to die. Wymordowała jakieś pół miasteczka, zanim ją zamknęli.

Martin się wzdrygnął. Zdawał sobie sprawę z tego, że na tej uczelni mroczne sekrety są codziennością, ale coś takiego?

– Ale... skoro ją zamknęli, to co ona tu robi?

– Och, to przecież nie wydarzyło się naprawdę, głupku!

– Stina się roześmiała. – To tylko piosenka. Piosenka, w

którą ktoś uwierzył na tyle, że przybrała realne kształty. Stała się prawdziwa. Lotta, którą widzisz, to Istota z Cienia. Demon z samego serca drugiej strony, który jakimś sposobem przedostał się na Obrzeża. Skoro Kolegium uznało, że spełnia warunki rekrutacji i skoro przeszła egzamin wstępny, nie było powodu, żeby jej nie przyjąć.

– Ale... seryjna morderczyni?!

– Cicha woda brzegi rwie. – Ned opróżnił swój kufel i odstawił go na blat.

– Freddie twierdzi, że ona jest w porządku – stwierdziła Nel. – Chyba mają sztamę. Znaczy... gdyby się pokłóciły, chyba byśmy zauważyli, nie?

– Chociażby na podstawie stanu liczbowego grupy – dodał jej brat.

– Gus sobie poradzi – orzekła Stina, przyglądając się ciemnowłosemu chłopakowi. – Wygląda na takiego, co z niejednego pieca jadał chleb.

– Ma lalkę, której odpada głowa – przyznał Martin. – Nazwał ją Maria Antonina.

– No, i widzisz! – Stina klasnęła w dłonie. – On i Lotta będą któregoś dnia piękną parą.

Martin rozejrzył się po lokalu.

– No ale wygląda na to, że wszyscy całkiem nieźle się bawią – orzekł. – Nie rozumiem, czemu Greem stwierdził, że to głupi pomysł.

– Greem? – zapytała Stina, przekrzywiając głowę. Napełniała właśnie kolejny kufel. – Próbuje zniechęcić

do nas klientów?

– Coś ty! Bardziej mu chodziło o to, że idziemy całą grupą. Ma jakieś dziwne przekonanie, że powinniśmy unikać integracji jak ognia, bo to wszelkie zło tego świata.

– Ach, to... – Westchnęła. Odstawiła pełny kufel na bok i sięgnęła po następny. – Wiesz, Greem miał dość nieprzyjemne zakończenie zeszłego roku. Nie chcę wchodzić w szczegóły, ale ma prawo być trochę zgorzkniały. Nie przejmuj się nim – poradziła. – Ale... tak swoją drogą, wolałabym, żebyś uprzedził mnie o tym, że zamierzasz tutaj robić imprezę.

Martin popatrzył na nią pytająco.

– Widzisz... Mogłeś odnieść wrażenie, że skoro Greem i Inga przesiadywali tutaj w wakacje niemal codziennie, jest to coś w rodzaju oficjalnego lokalu Kolegium. Nie jest. Pełnoprawni pracownicy Kolegium nie przekraczają tych progów i nie mają żadnego wpływu na to, kto tu przychodzi i w jakiej sprawie. Wolelibyśmy, żeby tak pozostało, zwłaszcza że wielu klientów nie życzy sobie inwigilacji. Jeśli chodzi o Kolegium, to wstęp mają tylko zaprzyjaźnieni adepci. Marek nie wywalił twoich kolegów tylko dlatego, że są z tobą.

– Przepraszam – bąknął Martin, czując, że się czerwieni. – Będę pamiętał.

– Swoją drogą – dodała łagodniej – podziwiam, że udało ci się ich wszystkich zwerbować. Wyglądają na indywidualistów.

Wzruszył ramionami.

– To ich sprawka. – Ruchem głowy wskazał na bliźnięta. Nel przerwała rozmowę i popatrzyła na niego pytająco. – Nic, nic. Mówiłem tylko, że właśnie wam zawdzięczamy to, że udało nam się jakoś zorganizować i wyjść razem na miasto.

Nel uśmiechnęła się, jakby nieobecna.

– Słyszeliśmy o Knajpie Morderców, ale do tej pory podstępny los jakoś nie pokierował nas w jej kierunku – wyjaśniła.

– Dokładniej rzecz ujmując, kuzynek Aisling nie chciał nam powiedzieć, gdzie znaleźć wejście, żebyśmy nie zeszli na złą drogę – sprecyzował Ned.

– Ale oczywiście kiedy Martin się wygadał, że wie, jak trafić, nie mogliśmy odpuścić.

– W takim razie cieszę się, że wam się podoba – powiedziała kelnerka, wciąż rzucając Martinowi ostrzegawcze spojrzenia. – Kolejne piwo na koszt firmy?

– Pewnie – zgodził się Ned. – Czemu nie.

Barmanka przesunęła w ich stronę dwa pełne kufle ciemnego piwa. Szarozielone oczy Nel rozbłysły na sam widok.

– No, a ty? – zapytała Stina, opierając się łokciami o ladę i spoglądając na Martina. – Jak ci się podoba uczelnia?

– W porządku – odparł bez wahania. – Myślałem, że w ogóle nie ogarnę i że będę miał straszne tyły. Wiesz, ja, Freddie i Gus nie wychowaliśmy się na Obrzeżach, ale...

jednak ogarniam. A w każdym razie nie odstaję zbyt od innych. – Piwo rozwiązało mu język. Wrażenia ostatnich tygodni domagały się uzewnętrznienia.

Nagle poczuł, że czyjaś ręka targa mu włosy.

– Uroczy jest, co nie? – Dobiegł go tubalny śmiech Aislinga. Postawny, rudowłosy brodacz musiał przysłuchiwać się ich rozmowie od dłuższej chwili. – Szczególnie kiedy się tak ekscytuje.

– Uroczy – przyznała Stina. Oparła głowę na splecionych dłoniach i wyszczerzyła zęby w uśmiechu godnym kota z Cheshire. Martin zaczerwienił się. Zdecydowanie za bardzo się rozgadał. Można by pomyśleć, że naprawdę dobrze się czuje w Praskiej Szkole Lalkarzy. Że wcale nie wolałby wraz z Mortimerem i Widmokotem szukać Canelle, i że wcale nie jest zakładnikiem własnego marzenia.

Nel i Ned poruszyli się niespokojnie i wbili wzrok w swoje kufle. Starali się nie rzucać Aislingowi w oczy. Adept pogroził im palcem.

– Będą dzisiaj chłopaki?

– Sid i Sin pojechali z tym swoim cyrkiem w trasę – odparła barmanka. Ewidentnie nie podobało jej się to, że na razie musi obyć się bez asystentów. – Szukaj wiatru w polu. Wrócą na wiosnę, jeśli w ogóle.

– W trasę? – zdziwił się Martin. – Teraz? Jest jesień...

– No właśnie – powiedziała ze złością. – Ze wszystkich wędrownych cyrków, które są po tej i po tamtej stronie, oni musieli przyczepić się do takiego, który ma jakiś

zaburzony cykl pór roku i sobie jeździ w trasę zimą. I kto ich niby ogląda? Bałwany?

– Mieszkańcy krain lata – odparł ze śmiechem Aisling.
– Tyle już tu pracujesz i nie wiesz, że po drugiej stronie są miejsca, w których liście nigdy nie opadają z drzew? Podobnie jak są miejsca, w których panuje wieczna zima lub wieczna jesień. Mieszkają w nich...

– Jesienne demony – powiedział Martin, zanim zdążył się ugryźć w język. Aisling przekrzywił głowę i popatrzył na niego z ciekawioną miną. – Spotkałem jednego na mieście – wyjaśnił szybko Martin.

– Strasznie ich teraz dużo – przyznał Aisling. – Ciekawe dlaczego... – Popatrzył znacząco na Stinę. – Dobra, skoro nie ma Sida i Sin, nic tu po mnie. Nie spijcie się za bardzo! – zawołał do Neda i Nel. – Bo powiem o tym waszemu ojcu.

Bliźnięta popatrzyły najpierw na niego, później na siebie, jakby próbowały ustalić, jak bardzo poważna była groźba. Natychmiast poderwały się z miejsc i ruszyły za nim.

– Szkoda, że nie udało ci się przyprowadzić Waltera – powiedziała Stina, kiedy Aisling już zniknął, ścigany przez Neda i Nel. – Dawno go nie widziałam. Jak w ogóle z nim?

– Nie za dobrze – przyznał Martin. – On po prostu... – Urwał i rozejrzał się, upewniając, że pozostali koledzy z roku go nie usłyszą.

Gus wciąż flirtował z Lottą, wytrwale ignorującą jego

awanse. Nel i Ned cały czas próbowali przebłagać Aislinga. Jo, Ana i Freddie rozmawiały cicho, czekając na Victora, który najwyraźniej poszedł do toalety.

Zaczął szeptem opowiadać o tym, co go niepokoiło. O tym, jak bardzo Walter był zamknięty w sobie i wycofany. O tym, jak nazwał swoją lalkę. O ranie na jego ręce, niemającej nawet szansy się porządnie zagoić przy tylu godzinach treningów z marionetką. – I do tego jak tylko mamy wolne, on cały czas siedzi i wpatruje się w ten okropny czerwony bluszcz za oknem – zakończył. – Jakby na coś czekał.

– Wpatruje się w okno, mówisz? – mruknęła Stina. – To niedobrze.

– Hmm? – rzucił roztargniony Martin.

– Też miałam kiedyś kumpla, który spędzał całe dni, wpatrując się w czerwone liście za oknem.

– I co się z nim stało?

– Och, nic. Okazał się być zaledwie Królem Demonów.

Król Demonów.

Martin próbował pozbierać sobie w głowie wszystko, co przez wakacje wspomniano na jego temat. Opowieści Greema i Canelle. Historie o strachu na wróble, który zdołał zdobyć kontrolę nad wszystkimi demonami drugiej strony i zaatakował granicę między dwoma światami. Co jakiś czas powracał i zostawał odepchnięty. Ostatni raz uderzył pięć lat temu i wtedy walczył z Podróżnym. Nie wiadomo, co się z nim stało. Mortimer zniknął z Obrzeży, zaś Stina...

Stina miała kumpla, który okazał się być Królem Demonów? Zgodnie ze słowami Canelle, barmanka z Knajpy Morderców była jedynym świadkiem tego, co wydarzyło się pięć lat temu. Czyżby właśnie zupełnie niechcący uchyliła rąbka tajemnicy? Zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, reflektor na scenie rozbłysnął.

– Występujesz dzisiaj? – zdziwił się Martin. Stina jak zwykle miała na sobie gorset i krótką sukienkę, nie były jednak tak efektowne jak jej dotychczasowe sceniczne kostiumy. Nie miała też wstążek we włosach – po prostu związała je w niechlujny warkocz.

– Nie, dzisiaj nie – odparła. – Nie mogę cały czas występować bez Sida i Sin. Raz na jakiś czas – w porządku, ale nie co wieczór! Klienci zaczynają się nudzić. Całe szczęście, że zgłosiło się zastępstwo. – Wzruszyła ramionami. – Wędrowni artyści. Bardzo się upierali, że chcą, a publika domaga się zabawy, więc... czemu nie?

Martin pokiwał głową ze zrozumieniem. Podążył wzrokiem za jej dłonią i dostrzegł siedzącą pod sceną nad wyraz oryginalną zbieraninę. Przypominali bardziej grupę cyrkową niż muzyków. Podarte i sfatygowane stroje z barwionych ręcznie tkanin zamiatały podłogę przy każdym ruchu, płaszcze z pozszywanych pasów materiału mieniły się feerią barw i szeleściły poprzyszywanymi wszędzie kolorowymi piórami. Niektórzy pomalowali czoła i policzki kolorowymi farbami. Jedna z dziewcząt miała nawet intensywnie

różowe włosy.

– Ci wędrowni muzycy... Co to za jedni? – zapytał, marszcząc brwi. – Wyglądają trochę jak banda obszarpańców.

Kelnerka ukryła twarz w dłoniach.

– Matko, ale przypał! Ale to będzie przypał! Dlaczego ja się na to zgodziłam?! Nie chcę na to patrzeć! – mruzczała, zasłaniając oczy i uszy.

– Ej, spokojnie – powiedział Martin. Przechylił się, żeby lekko poklepać ją po ramieniu. – Nie jest tak źle.

Wędrowni muzykanci, którym Stina zezwoliła na występ, byli chyba czymś w rodzaju wędrownego chóru gospel. Klaskali, uśmiechali się i śpiewali razem o jakimś Panu Pieśni, który jest ich wybawicielem, a oni jego ptakami. Martin nie należał do fanów tego typu muzyki, musiał jednak przyznać, że zarażali entuzjazmem. Byli weseli. Szczerzy. Autentyczni. Zazwyczaj lubił i doceniał wszystko, co było szczerze i autentyczne, więc siłą rzeczy nie potrafił być specjalnie krytyczny. Spozrzegł, że Frederika co chwila przerywa rozmowę z Jo i z Aną i wpatruje się w śpiewających tęsknym wzrokiem.

– Stina. – Drgnął, gdy usłyszał głos Nel. Nie zauważył nawet, kiedy bliźnięta znów pojawiły się przy barze. Obydwoje bladzi i bardzo nieswoi. – Jest taka sprawa.

– No? – zapytała barmanka.

– Chodzi o to, że...

– Nie powinnaś tu więcej zapraszać tych ludzi – powiedział Ned. – Nie powinnaś pozwolić im tutaj

śpiewać. To nie jest dobry pomysł.

– Ale... – dziewczyna zmarszczyła brwi – dlaczego?

– Po prostu – upierała się Nel. – Zaufaj mi. W ich muzyce jest coś... coś dziwnego. Coś jest nie tak.

– Ale to tylko jacyś nieszkodliwi wariaci. – Martin wzruszył ramionami. – Śpiewają o jakimś swoim bóstwie, niech sobie śpiewają.

– Niby tak – powiedział cicho Ned. – Tylko tym razem tym bóstwem jest Król Demonów.

ATRAMENTOWY SMOK

W połowie października Martin z rezygnacją uznał, że śpiewaczka rozgościła się w metrze na dobre. Walt mówił, że jesienne demony polowały na ofiary i zabierały je ze sobą. To oznaczało, że ta konkretna Istota z Cienia miała wyjątkowego pecha albo antytalent, skoro wciąż była w okolicy. W przeciągu tego miesiąca napotkał podobnych demonów już kilka, były to jednak znajomości bardzo krótkie i jednorazowe. Śpiewaczka w metrze powoli stawała się elementem codzienności.

– Hej. – Klepnął w ramię dziewczynę, która zatrzymała się, by posłuchać śpiewu szalonej artystki. Zrobił to, by nie dać demonowi szansy na upolowanie ofiary. – Nie stój tak, metro ci ucieknie.

Nie spodziewał się, że może w ten sposób ocalić kogoś znajomego.

– Martin?

Twarz dziewczyny natychmiast rozjaśniła się na jego widok. Również się uśmiechnął. Magda Moravec – koleżanka z kółka teatralnego. Śmiertelny wróg Klary, właściwie już od pierwszej klasy podstawówki. Ścięła włosy i ufarbowała je na blond, zrezygnowała też z okularów o grubych oprawkach, ale to z pewnością była ona.

– To taka miejscowa wariatka – wyjaśnił, łapiąc

dziewczynę za ramię i lekko popychając w stronę ruchomych schodów. – Mieszkam teraz niedaleko, więc często ją tu widzę. Strasznie namolna.

– W takim razie dziękuję za ocalenie. – Roześmiała się, nie mając pojęcia, jak bliska jest prawdy. – Dejvicka czy Depo Hostivař? – zapytała.

– Dejvicka. – Wciąż oglądał się za Istotą z Cienia. Teraz, kiedy nieco się oddalił, jej śpiew znów wydawał się dziwny i niezrozumiały. Odetchnął z ulgą.

– Ja też. Znaczy właściwie nawet jeszcze dalej, ale autobus mam z Dejvicki – wyjaśniła Magda. – No ale opowiadaj, jak tam? – zachęciła, gdy wsiedli do wagonika. – Jak Chicago?

– W porządku – odparł. – Z tego co wiem, to nadal stoi – dodał, zachodząc w głowę, czemu właściwie wypytuje go o miasto, w którym mieszkają i pracują jego rodzice.

– Szczerze mówiąc, nie dziwię ci się, że postanowiłeś jednak odwiedzić swoich w wakacje – orzekła. – Nie lubiłam tej całej Berg, ale gdyby to moja kumpela została zamordowana przez jakiegoś psychola, też bym wiała i to jak najdalej. Swoją drogą – odwróciła wzrok – moje kondolencje.

– Dziękuję.

– W ogóle dziwnie się porobiło po tym, jak wyjechałeś. Chyba tydzień po Klarze mieliśmy drugi pogrzeb. Alex, ten z językowego, co zawsze urządzał takie ostre imprezy. Tym razem samobójstwo, ale i tak jakoś tak dziwnie, zwłaszcza, że oni się ponoć znali... Różnie

gadają.

Martin nie dopytywał. Nie miał też zamiaru dementować plotek o swoim rzekomym wyjeździe. Były mu jak najbardziej na rękę i doskonale tłumaczyły nieobecność na pogrzebie Klary i brak kontaktu z kimkolwiek ze znajomych. Cieszył się, że żadna z dwóch przypadkowo spotkanych koleżanek Alexa nie wypaplała, że widziały go w Pradze. Może za bardzo się bały?

– A co słyhać u ciebie? – zmienił temat.

– Właśnie wybieram się na uczelnię – odparła. – Dostałam się ostatecznie na rolniczy i muszę dowieźć jakieś papiery. Nudy. A ty jak? Skoro wróciłeś tutaj zamiast zostać u rodziców, to chyba ostatecznie załapałeś się na DAMU, co?

– Nie na DAMU – sprecyzował, obawiając się, że ktoś może kiedyś próbować to sprawdzić. Musiał być ostrożny. – Będę studiować prywatnie, ale przynajmniej ten kierunek, który chciałem, więc chyba warto.

– Naprawdę? Teatr lalkowy? Udało ci się znaleźć taką uczelnię?

Pokiwał głową.

– Super! Cieszę się, że ci się udało. Artysta z ciebie, widać na pierwszy rzut oka. – Magda znacząco spojrzała na charakterystyczny, podbity wzorzystą podszewką kaptur jego szkolnej bluzy. – I to taki ostro alternatywny. – Roześmiała się. I nagle zupełnie niespodziewanie spoważniała. – Właściwie dobrze, że udało mi się na

ciebie wpaść. I tak miałam się z tobą kontaktować, ale po prostu nie wiedziałam, czy jesteś w kraju. Nie chciałam dzwonić, bo... No, strefy czasowe i w ogóle, nie wiedziałam, czy się wstrzele. Mam do ciebie sprawę. – Martin rzucił jej pytające spojrzenie. – A właściwie moja babcia ma.

Martin uniósł brwi jeszcze wyżej. Znał babcię Magdy głównie z opowieści. Wiedział, że jest dystygowaną starszą damą, po mistrzowsku grającą w brydża i piszącą poezję. Nigdy nie przejawiała specjalnego zainteresowania szkolnymi znajomymi Magdy, chociaż dziewczyna mieszkała u niej przez ostatnie dwa lata. – Chodzi o Klarę Berg – powiedziała Magda. – No bo... może nie wiedziałeś, ale udzielała mi korków z niemieckiego.

– Co?!

Ze wszystkich rzeczy, które zdążyła mu już wyjawic Magda, ta była największym zaskoczeniem. Owszem, wiedział, że Klara wychowywała się w czesko-niemieckiej rodzinie i ze względu na swoją dwujęzyczność nie miała problemów z nielubianym przez większość uczniów przedmiotem. Zdarzało jej się pomagać znajomym w kryzysowych sytuacjach. Jemu też kilka razy uratowała skórę. Ale Magda? Magda, z którą od pierwszego wejrzenia kłóciła się o wszystko?

– No, normalnie. Moi starzy dogadali się z jej starymi. Dość, że uczyłyśmy się zawsze w mieszkaniu babci, bo przecież rodzice szaleli z tym nowym domem i nie było

warunków. No i moja babcia ją zaangażowała w te swoje poezje. Wiesz, ma ostatnio fazę, że tłumaczy na inne języki i wrzuca w sieć. No i właśnie Klara jej pomagała z tymi niemieckimi wersjami. Skumplowały się, wyobraź sobie. I nawet grały razem w brydża czy coś tam. Nie wnikałam.

– Nie miałem pojęcia – przyznał Martin, z każdą chwilą coraz bardziej zaskoczony rewelacjami koleżanki. Naprawdę nie wiedział wiele o ostatnich miesiącach życia Klary. Zupełnie pochłonęły go próby dostania się na wymarzoną uczelnię.

– Rzecz w tym – podjęła Magda – że one podobno w wakacje też się spotykały, nawet po naszych egzaminach. – Ściszyła głos. – Podobno Berg była u niej kilka dni przed... – Urwała i zerknęła niespokojnie na Martina. – No wiesz. Praktycznie w tym samym tygodniu. Była bardzo zdenerwowana, kompletnie rozwalona, nie nadawała się do tej całej poezji. Babcia próbowała ją uspokoić i wyciągnąć z niej, co się dzieje, ale chyba bez powodzenia. Berg zostawiła jakąś kopertę, która babcia miała ci podobno przekazać. Nawet poszła na pogrzeb, żeby to zrobić, ale wyjechałaś.

– Co za koperta? – zapytał szeptem Martin. W metrze było zdecydowanie zbyt tłoczno. – Policja o niej wie?

– Coś ty. Babcia nic im nie powiedziała. Zarzeka się, że jej nie otworzyła i tylko ty możesz to zrobić. Powiedziała, że ci ją da, jak przyjdiesz do nas na herbatkę. Co ty na to? Może nawet dzisiaj, jakoś pod wieczór?

– Dzięki ogromne, naprawdę – powiedział. Minęli już Hradczańską, trzeba było zacząć przepychać się do wyjścia.

Klara coś dla niego zostawiła. Kopertę, o której nie wiedział. Nowy trop. Postęp w śledztwie. Musiał natychmiast powiadomić Canelle, chociaż nie miał pojęcia, jak to zrobić. Może odpisze na maila, tak jak rzekomo odpisywała Victorowi?

– Muszę lecieć – powiedziała, kiedy wyszli już na ulicę przy stacji Dejvicka. Rzeczywiście, autobus w kierunku uniwersytetu rolniczego stał na pętli, grzejąc silnik. – Zdzwonimy się później, mam twój numer.

– Jasne. – Machnął jej ręką. – Do zobaczenia.

Sam ruszył w stronę sklepu ze starociami.

– Martin! – zawołała za nim. Odwrócił się i popatrzył na nią pytająco. – Jeszcze raz gratulacje. Musisz być szczęśliwy, że udało ci się dostać na tę uczelnię.

– Otóż to – przyznał Martin, gorzko się uśmiechając. – Muszę.

– No, no – powiedziała babcia Magdy, odsłaniając kolejną kartę. – Gdybyś był kobietą, byłbyś prawdziwą femme fatale – zadrwiła. Papieros w jej ustach zadrzał, a odrobina popiołu opadła na obrus i talię kart. – Zresztą, wyglądasz tak, że ktoś mógłby się pomylić.

Martin po raz kolejny przeklął się w duchu za to, że pozwolił starszej pani, by powróżyła mu z kart. Upierała

się jednak, że dopóki tego nie zrobi, on nawet nie ma co marzyć o kopercie od Klary. Ogromny jednooki kot przeparadował przez pokój i zręcznie wskoczył Martinowi na kolana. Jego futro było zmierzwiene, miejscami wręcz powyrywane. Miał naderwane ucho i chociaż był rasowy, wyglądał jak ucieleśnienie kociego nieszczęścia.

– Znalazłyśmy go u nas na wycieracze, kilka tygodni temu – wyjaśniła babcia Magdy, patrząc, jak Martin nieśmiało głaska kota. – Był w strasznym stanie, cały pogryziony i podrapany, pewnie właściciele wyrzucili go z domu i miejscowe koty chciały dać mu nauczkę. Co miałam zrobić, trzeba było przygarnąć. Ma jedno oko, dlatego nazywa się Odyn.

Zastanawiał się, czy skoro Widmokot jest jednocześnie każdym i żadnym kotem, to czy może być też tym? A jeśli tak, to co mu się przydarzyło? Miał wielką ochotę spytać, ale uznał, że próba nawiązania konwersacji z kotem może okazać się nietaktem. Poza tym w towarzystwie osób niepowiązanych z drugą stroną Widmokot i tak nic by nie powiedział.

– Widzę wokół ciebie wiele kobiet – ciągnęła babcia Magdy, ku zażenowaniu Martina. – Kobiety traktowane przez ciebie jak przyjaciółki, uparcie i zawzięcie podejmujące walkę, którą powinieneś podjąć ty. Nic tylko pozazdrościć.

– To wcale nie jest tak! – obruszył się Martin. W głębi jednak wiedział, że babcia ma rację. – To ile jest tych

kobiet? – zapytał. Jeśli ktoś jeszcze zamierzał się dla niego narażać, wolał wiedzieć o tym od razu, by zdusić takie zapędy w zarodku.

– Cztery – odparła zdecydowanie staruszka. – Ta nie żyje, ale wciąż idziesz po jej śladach. – Odwróciła kartę z rysunkiem damy trefl obrazkiem do dołu. Wyciągnęła jeszcze jedną kartę. Tym razem była to dama pik. Miała rude włosy i zielony kapelusz. – Ta... – Zmarszczyła brwi. – Mściwa dusza. To nie na tobie chce się zemścić, ale dokonując swojej zemsty odbierze ci coś bardzo cennego. Uważaj na nią. Ta – popukała palcem w kolejną z kart, tym razem damę kier – powróci, ale zmieniona. Możliwe, że zwróci się przeciw tobie, nie jestem pewna – dodała, odsuwając kartę z damą kier nieco na bok. – Zaś ta – wskazała na ostatnią kartę, damę karo w postaci blondynki z czarnym kapeluszem – jest inna niż tamte pozostałe. Skrywa tajemnicę, która jest kluczem. Nie będzie toczyć twojej walki za ciebie. Możesz przyjść do niej po wsparcie i radę, ale ostatecznie to ty będziesz musiał pomóc jej. Inaczej nie poznasz jej sekretów.

Martin przypatrzył się obrazkowi nieco zaskoczony. Kogo babcia Magdy mogła mieć na myśli? Którąś z dziewczyn z jego grupy? Może własną wnuczkę?

– A zatem... – Babcia Magdy zatarła rękę. Martin popatrzył na nią z nadzieją. – Co powiesz na jeszcze trochę herbaty? I czytanie moich wierszy?

Kiedy Martin wrócił, Walter był już u siebie. A właściwie to u Martina. Siedział na szerokim parapecie, wpatrując się w pograżony w mroku dziedziniec.

– Tak długo byłeś u pani Althan? – zapytał, odwracając się do współlokatora. Daimon jak zwykle wisiał na swoim krzyżaku na ścianie, przyglądając się uważnie im obu.

– Pani Althan znów nie było – odparł Martin. Pospiesznie opowiedział, jakim sposobem doszło do tego, że wylądował na Černým Moście, w mieszkaniu babci koleżanki. – Dwieście stron wierszy w trzech językach – podsumował, ziewając. – A ciebie gdzie nosiło?

Może mu się wydawało, ale Walter wyraźnie się zmieszał.

– Victor wyciągnął mnie na piwo. Ta dziewczyna od Klary nadal nie odpisuje? – zmienił temat.

Martin wzruszył ramionami. Podeszedł do okna i usiadł naprzeciwko Waltera, opierając się o framugę.

– Canelle też nie – powiedział. – Pani Althan ciągle nie ma. Victor nadal utrzymuje, że wszystko w porządku i nocuje sobie w domu ciotki pod jej nieobecność – zakpił. Vic w przeciągu ostatniego miesiąca uczynił z dogryzania Martinowi na temat jego zażyłości z Canelle coś w rodzaju hobby.

– A ty nadal mu wierzysz? – zapytał Walt, wciąż wyglądając przez okno.

– Nie wiem. Ale nie podobało mi się, że wiedział o mojej znajomości z Canelle i o tym, że nie mamy ze sobą

kontaktu. Nie podoba mi się, że od razu wiedział, gdzie uderzyć. Musiał mieć jakieś źródło, więc może ona rzeczywiście... – Martin zabębnił palcami o parapet.

– Zapomniała o tobie i Klarze? – podchwycił Walter. – Nie sądzę. Nie mam pojęcia, gdzie jest, ale jestem pewien, że nie zrezygnowała. A już na pewno nie chwaliłaby się tym Victorowi.

Martin milczał przez dłuższą chwilę. Może i się nie chwaliła, ale to nie wyjaśniało tego, jak właściwie Victor odkrył, że to drażliwy temat.

– Mam dla niej nowe wiadomości – powiedział wreszcie. – Takie, które mogą mieć znaczenie dla śledztwa.

Walter pokiwał głową. W jego oczach błysnęło coś na kształt zaciekawienia, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– To całkowicie zmienia postać rzeczy – oświadczył. – Poczekaj chwilę, zaraz przyjdę – poprosił, zeskakując z parapetu. Zniknął w swoim pokoju, po czym wrócił, niosąc ze sobą staroświecki kałamarz, pióro ze stalówką i czystą kartkę pożółkłego papieru.

– Napiżemy list do Canelle – zdecydował Walter. Położył przed Martinem papier i pióro wraz z kałamarzem. Chłopak już od jakiegoś czasu nie widział go tak ożywionego. Co najmniej od wakacji. – No dajesz. Tylko krótko i na temat. I nie rozpisuj się, na wypadek gdyby miało wpaść w niepowołane ręce.

Martin wzruszył ramionami. Wziął pióro do ręki i

zaczął pisać:

Drogi inspektorze Ciastko,

U mnie wszystko w porządku, właśnie zaczęliśmy rok akademicki. Greem i Inga mają się dobrze, Walt też. Zastanawiamy się, co u Ciebie? Mam nadzieję, że dotarłaś bezpiecznie do domu i przygotowujesz się do powrotu na uczelnię. Wiesz, że wyszedł nowy tom Twojego ulubionego komiksu?

– No już, już, tyle właściwie wystarczy – ponaglił go Walter. Zapalił małą świeczkę zazwyczaj stojącą na biurku i przestawił ją na parapet. Martin dopisał pospiesznie:

Martwię się i tęsknię, daj znać, że żyjesz.

Inspektor Kot

Podał list przyjacielowi. Książkę naskrobał jeszcze pospiesznie jedną czy dwie linijki, po czym złożył kartkę na czworo.

– Teraz uważaj – powiedział. Zbliżył kartkę do świecy i pozwolił, by zajęła się jasnym płomieniem. Martin otworzył usta, ale Walt gestem nakazał mu milczenie. Papier zaczął się zwijać pod wpływem ciepła. Martin przyglądał się temu coraz bardziej zafascynowany. Obserwował, jak list czernieje i przybiera dziwne kształty. Jakby zaczynał żyć. Jakby w coś się zmieniał. Nagle rozpostarł skrzydła i uniósł się w powietrze.

Smok.

Martin wydał z siebie pełen niedowierzania okrzyk.

Prawdziwy smok. Malutki, smoliście czarny. Zatoczył kilka kręgów po pokoju, po czym wylądował na ramieniu Waltera i wysunął różowy, rozwidlony język.

– Co... Co to jest?!

– Atramentowy smok – odparł Walter, głaszcząc stworzenie po łebku. – Służy do przekazywania wiadomości. Wszepcze treść listu napisanego tym atramentem wyłącznie adresatowi. – Wskazał na kałamarz. – Pomoże też stworzyć odpowiedź i przyniesie nam ją.

– Ale... Jest twój?

Walter skinął głową.

– Dostałem go, kiedy byłem jeszcze mały. Był ze mną przez cały czas mojej tułaczki, pomagał też dostarczać listy do rodziny. – Smok znów zerwał się do lotu, najwyraźniej ucieszony wolnością. – Niewiele osób na Obrzeżach ich używa. Już kiedy go dostałem, był unikatowy. Nie wiem, czy teraz nie jest jednym z ostatnich.

– Cudowny – przyznał Martin.

Smok zatoczył koło po pokoju i usiadł na wyciągniętej dłoni Walta. Księżę podszedł z nim do otwartego okna.

– Leć, przyjacielu – powiedział. – Leć, znajdź Canelle i przynieś nam jej odpowiedź

Posłaniec zmienił się w czarną plamkę przypominającą płatek sadzy i zniknął.

Walter odwrócił się do Martina.

– Gdyby coś mi się stało, zanim zdąży wrócić, chciałbym, żebyś się nim zaopiekował. Będzie twój.

Martin pokiwał powoli głową, zastanawiając się, co właściwie książkę mógł mieć na myśli.

Koperta od babci Magdy wciąż spoczywała w szkolnej torbie. Tym razem, nauczony wcześniejszymi doświadczeniami, postanowił zapoznać się z jej zawartością od razu, nie po kilku dniach.

Gdy tylko został sam w pokoju, pospiesznie rozerwał kopertę. Znalazł w niej – tak jak poprzednio – komiks Klary. Tym razem był też jednak list. Drżącą ręką otworzył kopertę. Pismo Klary było rozchwiane, jakby nerwowe:

Cześć, Kocie!

Skoro pani Moravec dała Ci ten list, wydarzyło się to, czego się obawiałam.

Staram się pomóc Ci tak bardzo, jak tylko się da, ale nie zostało mi już wiele czasu. Wiem, że uczelnia, na którą aplikowałeś, czyha na moje życie, dlatego postanowiłam przekazać Ci wszystko, co wiem ja oraz Kot i Ciastko. Dla bezpieczeństwa wolałam jednak nie zawierać wszystkiego w jednej paczce. Oprócz tego listu są jeszcze dwa. Jeden ukryty u mojej dobrej przyjaciółki, Philippy. Potwierdziła już, że dostała paczkę i że odda Ci ją, jeśli się po nią zgłosisz. Jeśli chodzi o drugą przesyłkę, musisz być cierpliwy. Trafi do twojego domu w święta. Nie próbuj

znaleźć jej wcześniej. Oprócz tego postaram się zostawić ci jeszcze jedną wskazówkę, ale nie wiem, czy zdążę, zanim mnie dopadną.

Tak czy inaczej pamiętaj: jeśli postanowisz zostać najlepszym z lalkarzy, cały świat będzie twoim wrogiem. Będziesz miał tysiące przeciwników. Jeśli zdołają Cię dopaść, zabiją. Nie pozwól im na to. Nasłuchuj, nie trać czujności, uciekaj, jeśli będzie trzeba. Bądź przebiegły i pamiętaj, żeby zawsze mieć jakiegoś asa w rękawie.

Powodzenia,

Klara

Cały świat będzie twoim wrogiem. Bądź przebiegły. No tak – pomyślał z przekąsem. To zawsze się przyda.

Zostawiła ten list u babci Magdy kilka dni przed śmiercią. To znaczy, że otrzymał listy w niewłaściwej kolejności. Jako pierwszy trafił do niego ten ostatni, który jej mama znalazła w pokoju i po prostu zapakowała w kopertę, żeby wysłać do Martina. Nie zawarła w nim informacji o poprzednich wiadomościach, bo nie zdążyła. Tutaj jednak... Na ten świąteczny rzeczywiście musiał po prostu poczekać.

Philippa... Szanse na to, że była to ta sama osoba, z którą rozmawiał kilka tygodni temu na czacie, były nikłe, teraz tym bardziej jednak zależało mu, żeby ponownie się z nią skontaktować.

Póki co zabrał się za czytanie załączonego komiksu. Tym razem odcinek był zatytułowany „Nieznana

przygoda Kota i Ciastka”. W samo sedno. Rzeczywiście jej nie znał i nie miał pojęcia, że Klara tworzy coś takiego. Kreska była jej, jednak bardziej delikatna, dopracowana. W tym komiksie Kot i Ciastko zostali rozdzieleni. Kot trafił do dziwnego, sennego miasteczka, w którym rozpracowywał tajemnicę zabójstwa swojego dawnego przyjaciela. Martin wzdrygnął się na tą makabryczną zbieżność tematów. Czyżby Klara wiedziała, że będzie próbował rozwiązać zagadkę jej śmierci? Co właściwie próbowała mu powiedzieć?

W nowym komiksie wszyscy byli podejrzani. Kot – przenikliwy jak zawsze - , nawet bez swojej nieodłącznej towarzyszki podejmował bezbłędne decyzje i bez trudu wpadł na trop złoczyńcy.

Czytał przez całą noc, coraz bardziej zaniepokojony tym, jak wiele zwrotów akcji zgadzało się z wydarzeniami rozgrywającymi się już po śmierci dziewczyny. Mimo wszystko po lekturze czuł się nieco podniesiony na duchu. Dalej nie wiedział, co dokładnie powinien zrobić, ale wiedział, że coś wymyśli. Był przecież Inspektorem Kotem. Potrafił sobie poradzić, nawet kiedy Ciastka nie było w pobliżu.

Pytanie, czy tak samo dobrze poradzi sobie Ciastko? Co Ciastko właściwie robi, gdy nie ma jej na stronach komiksu?

PREZENT

Na swoje dziewiętnaste urodziny Martin dostał kota. Konkretniej jednookiego Odyna, którego widział podczas wizyty u pani Moravec. Odyn sam go znalazł i zdecydował, że chce z nim iść, w jakiś sposób potwierdzając przeczucie, że okaleczony zwierzak istotnie może mieć coś wspólnego z Widmokotem.

Urodziny Martina wypadły w sobotę – tak samo ponurą i deszczową, jak większość dni od początku roku akademickiego. Z wcześniejszych maili wymienianych z rodzicami dowiedział się, że powinien jechać na Černý Most i odebrać z poczty wysłany przez nich prezent. Po załatwieniu sprawy postanowił iść jeszcze na cmentarz, do Klary. To oczywiste, że musiał pójść. Mieli urodziny tego samego dnia. Tak naprawdę od tego zaczęła się ich znajomość – rodzice postanowili urządzać im przyjęcie w tej samej restauracji i dzieci najpierw się ze sobą pokłóciły, a później postanowiły zawrzeć pakt wieczystej przyjaźni.

To zobowiązywało. Nie przyszedł na pogrzeb, nie potrafił też pójść na cmentarz przez wiele tygodni po jej śmierci, jednak w końcu musiał to zrobić. Ich wspólne urodziny były odpowiednią okazją.

Grób Klary znajdował się gdzieś pod samym murem cmentarza. Stały na nim świeże kwiaty. W sumie nic

dziwnego. To, że państwo Berg wyjechali, nie oznaczało, że przestali dbać o nagrobek córki, zwłaszcza w dniu jej urodzin.

– No... cześć – zagadnął, siadając na ławeczce. Paczka z Ameryki spoczywała bezpiecznie w torbie. – Rodzice kupili mi bardzo ładną marionetkę kościotrupa. Robiona na zamówienie przez jakiegoś Angoła. Zawsze doceniałem ich poczucie humoru. Wierzę, że ty też. – Westchnął. – Znasz moich starych. Cały czas im głupio za tamten rok w Cieszynie i ciągle im się wydaje, że muszą przeproszać. Dlatego więc... – Wyjął pudełko i potrząsnął nim. – Zostawiam go tutaj. Wygląda jak Zabieracz Skóry z jednego z twoich komiksów, więc na pewno ci się spodoba. Dziękuję za twoje listy. – Nerwowo splatał i rozplatał dłonie. – Zdobyłem już dwa. Pierwszy i ostatni, brakuje mi tych środkowych. – Przez chwilę milczał, zbierając się w sobie. – Nie lubię cię za to, co zrobiłaś, bo wciąż uważam, że to było kretyńskie i wciąż jestem na ciebie zły. – Na swój sposób cieszył się, że potrafi już o tym mówić nie podnosząc głosu i nie rzucając przedmiotami. – Ale dziękuję, że przynajmniej zostawiłaś ślad. Że pozwoliłaś mi się dowiedzieć. Pewnie obserwujesz mnie i zastanawiasz się, co ja wyprawiam. – Odgarnął za ucho wymykające się z kucyka pasemko włosów i poprawił kaptur bluzy. – Miałem... obiecałem, że dopadnę tę babę... Naszą Pajęczycę. Obiecałem, że ją zabiję. A tymczasem grzecznie chodzę na wszystkie zajęcia, przestrzegam regulaminu i takie tam. Proszę, nie

myśl, że zrezygnowałem. Po prostu... po prostu nic mi się nie udaje – wyznał. – Nie jest łatwo się do niej dostać, ma dobrą ochronę. Pewnie są wyczuleni po tej sprawie z tobą. List, który zostawiłaś u babci Magdy, to pierwsza wskazówka od chwili zniknięcia Canelle. Tej dziewczyny ze sklepu. Wcale nie chciała wyciąć moich organów, pomagała mi. Teraz pewnie też cię szuka, gdzieś tam, po drugiej stronie. Jesteśmy rozdzieleni jak Kot i Ciastko w twoim ostatnim komiksie – przyznał. – Nie mam pojęcia, jak udało ci się to tak dokładnie przewidzieć, ale... Po prostu chcę, żebyś wiedziała, że nie zapomniałem i nie zrezygnowałem. Zrobię to, co obiecałem, kiedy tylko znajdę sposób. To, co planuję, jest równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. – Zacisnął pięści.

Mówienie tego na głos pomogło. Nareszcie miał możliwość skonfrontować się z poczuciem winy, które dręczyło go od chwili zniknięcia Canelle.

– Sama powiedziałaś. Cały świat będzie moim wrogiem. Nie mogę iść na wojnę nieprzygotowany. Nie mogę walczyć z kimś, kto jest wszędzie i nie znać jego metod. Muszę chociaż na chwilę stać się jednym z nich. Słuchać tego, co mówią, uczyć się od nich.

Nagle umilkł. Wyraźnie usłyszał ciche miauknięcie, gdzieś bardzo blisko. Zerwał się z ławki i rozejrzał w poszukiwaniu kota. Zwierzę wyszło powoli zza nagrobka. Szło niepewnie, chwiejnie, utykając na jedną łapę. Martin od razu rozpoznał charakterystyczny pyszczek z jednym bursztynowym okiem. Ukucnął na

wilgotnej ziemi i wyciągnął dłoń w stronę zwierzaka.

– Widmokot? – zapytał, podejrzliwie marszcząc brwi. – To ty?

Kot podszedł do wyciągniętej dłoni i otarł się o nią. Bursztynowe oko spoglądało na Martina błagalnie.

– Znowu ktoś cię zaatakował? – domyślił się Martin. – Trzeba cię zabrać do domu, hm? – zapytał i wziął go delikatnie na rękę. Zwierzak natychmiast przylgnął do niego, garnąc się do ciepła. Martin się zdumiał. Nigdy nie miał kota, ale z tego, co wiedział, te zwierzęta raczej nie okazywały ludziom przesadnej czułości. Widmokot, który był esencją kota, podczas ich ostatniego spotkania zachowywał się wręcz oziębło. – Chodź, mordko. – Martin zarzucił torbę przez ramię. – Idziemy do pani Moravec.

Kiedy dotarł do mieszkania babci Magdy, uświadomił sobie, że jest już późny wieczór. Drzwi były zamknięte. Wyciągnął telefon i wybrał numer Magdy, ale dowiedział się tylko, że zarówno dziewczyna, jak i jej babcia są za miastem i prawdopodobnie wrócą dopiero w poniedziałek.

– A, chodzi o kota, co? – zapytała Magda. Martin z rezygnacją spojrział na zwierzaka mruczącego cicho w jego objęciach.. Miał brzydką, źle gojącą się ranę na łapie. – Miałam nadzieję, że już się nie znajdzie.

– Co?

– No... On niby taki chory, a cały czas gdzieś zwiewa i babcia się martwi. Nawet nie wiesz, ile razy w tym

miesiącu łąziłam po osiedlu, próbując go znaleźć. Ale babcia się ucieszy.

– No dobra, ale co ja mam z nim zrobić? Czekać tu na was do poniedziałku? Z tym kotem?

– Poczekaj, zapytam.

Przysiadł na schodach. Z telefonem przy uchu przysłuchiwał się rozmowom w tle. Ze znużeniem głaskał kota, który bez cienia protestu poddawał się pieścizotom. Martin zaczął wręcz mieć nadzieję, że zwierzę nie ma nic wspólnego z Widmokotem, bo obawiał się, że demon mógłby mu nigdy nie wybaczyć takiej poufałości.

– Słuchaj – odezwała się wreszcie Magda. – Babcia pyta, czy nie mógłbyś zabrać go ze sobą i przechować przez kilka dni? Dopóki ona nie wróci.

– Mieszkam w akademiku – odparł. Może określanie w ten sposób mieszkalnej części Klementinum było nieco na wyrost, ale zasadniczo idea była ta sama. – Nie wiem, jak oni się tam zapatrują na zwierzęta, nie sądzę, żebym... – W oku kota pojawił się dziwny błysk. Zwierzę polizało Martina po ręce szorstkim językiem. – Słuchaj, on chyba bardzo chce ze mną zostać. – Westchnął. – Niech będzie, spróbuję przetrzymać go przez kilka dni. Kiedy mam go oddać?

– Damy ci znać, dobrze? Jeszcze raz dzięki, że się nim zajmiesz. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Martin. Ode mnie i od babci.

– Dziękuję. Tylko błagam, nie zostawiaj mnie tak na

stałe z tym kotem, ja się na nich nie znam!

– Poradzisz sobie – zapewniła go Magda.

Martin popatrzył z rezygnacją na nowego towarzysza. Miał dziwne przeczucie, że obiecane „kilka dni” zmieni się w wieczność. Na dobrą sprawę jednak nie miał nic przeciwko temu. Miał dziwne przeczucia co do zwierzaka. Lepiej, żeby rzucił na niego okiem któryś z mieszkańców Obrzeży. W najlepszym razie okaże się, że trafi na ślad zaginionego Widmokota. W najgorszym spełni się jego dziecięce marzenie i nareszcie będzie miał zwierzątko.

– Chodź, mordko. – Podniósł go z kolan i przyjrzał mu się uważnie. – Wygląda na to, że teraz musimy współpracować. – Wsadził zwierzaka do pustej torby. – Tak ci będzie o wiele wygodniej.

Jakimś cudem udało mu się zdążyć na ostatnią kolejkę tego dnia. Było w niej najwyżej kilku pasażerów – w tym dość hałaśliwa grupa nastolatków. Martin usiadł i zacisnął dłonie na torbie. Kot miauknął cicho, wysuwając łepkę przez szczelinę. Łypnął na Martina swoim złocistym okiem.

Dwie stacje dalej do wagonu wsiadła dziwna parka. Dziewczyna była chyba mniej więcej w wieku Martina. Miała długie różowe włosy – najprawdopodobniej perukę, bo dziwnie błyszcząły w świetle – i strój pielęgniarki. Na króciutkim białym kitlu pełno było

czerwonych plam. Obok niej posłusznie szedł drobny starszy pan o długich białych włosach, niemal całkowicie zasłaniających mu twarz. Usiedli naprzeciwko Martina, który nie był w stanie dostrzec twarzy staruszka i z jakiegoś powodu z każdą chwilą coraz bardziej go to frustrowało i niepokoiło. Zdenerwował się jeszcze bardziej, kiedy po chwili dość bezczelnego przyglądania się dostrzegł, że dziewczyna trzyma w ręku smycz przyczepioną do skórzanej obroży na szyi mężczyzny. Martin zmarszczył brwi.

Przebierańcy? Amatorzy jakichś dziwnych seksualnych zabaw? Rozejrzał się dyskretnie, lustrując wzrokiem pozostałych pasażerów, nikt jednak nie dostrzegł nic dziwnego w tej sytuacji. Nastolatki wciąż śmiały się głupkowato, patrząc w swoje telefony. Ostatecznie niemal wszyscy – oprócz dziwnej pary – wysiedli na Křižíkovej, a pociąg wjechał do tunelu. Zbliżali się już do stacji, na której miał wysiadać Martin, gdy nagle wagonikiem szarpnęło. Światło zamigotało i zgasło zupełnie. Martin odruchowo zacisnął ręce na torbie, Jaśniej zrobiło się, dopiero gdy wagon wytoczył się na stację. Napis na tabliczce głosił: „King’s Cross/St. Pancras”.

Adept poczuł, że robi mu się na przemian zimno i gorąco. I trochę niedobrze. King’s Cross? Czy to nie w Londynie? Co on robi w Londynie? Jak...

Zanim zdążył choćby się zastanowić, pociąg ruszył. Jechali w całkowitej ciemności. Wagonik na pewno

przekroczył już przepisową prędkość. Szarpał wściekle, jakby miał zaraz wypaść z torów.

Tower of London.

Drzwi otworzyły się i do środka wszedł nieco pijany jegomość w czarnym płaszczu, z samurajskim mieczem przerzuconym przez plecy. W ręku beztrząsco ścisnął worek z czarnej folii, który zostawiał po sobie niepokojące, czerwone ślady. Martin nie uciekł tylko dlatego, że czuł się jak sparaliżowany. Oraz dlatego, że absolutnie nie miał pojęcia, co by zrobił, gdyby się okazało, że rzeczywiście znalazł się w Londynie.

Kolejny tunel. *Może to coś podobnego w działaniu do tego, co robią klucznicy – myślał gorączkowo, słysząc narastający szum w uszach. Może to nic takiego. Może to...*

City Hall Loop.

O ile to było możliwe, poczuł się jeszcze gorzej. Miejsce wyglądało znajomo. Nieczynna stacja metra o niebanalnej, bogatej architekturze. Czytał o niej w Internecie, kiedy w poszukiwaniu informacji o Klarze przeglądał strony miejskich eksploratorów. Cały problem w tym, że ta stacja znajdowała się w Nowym Yorku.

Jasna cholera!

Jegomość z plastikowym workiem wciąż siedział niewzruszony, a kałuża wokół niego powiększała się. Różowowłosa dziewczyna pociągnęła za smycz, zmuszając towarzysza do wstania. Peron był pełen ludzi, zanim jednak ktokolwiek postanowił wsiąść, wagonik

szarpnął i odjechał, sprawiając, że Martinowi zakręciło się w głowie. Miał ochotę krzyknąć, uciekać, ale niesamowity pęd i strach sparaliżowały go na dobre.

Targ Trolli.

Całkowicie nie wiedział już, gdzie się znajduje i co z tym faktem zrobić. Dobrą stroną było to, że jegomość z tajemniczym workiem uznał, że to jego stacja i wysiadł, niemal zderzając się w drzwiach z jesiennym demonem. Twarz stwora zasłaniała maska zrobiona z czaszki jakiegoś zwierzęcia. Demon rozejrzał się niespokojnie po przedziale. Widoczne zza maski atramentowoczarne oczy dostrzegły Martina. Ze wszystkich wolnych miejsc w przedziale demon postanowił wybrać to znajdujące się po prawej stronie adepta. Podszedł nawet do niego i grzecznie spytał, czy siedzenie jest wolne. Martin zamknął oczy i oparł czoło o chłodną szybę. Zaczął powoli godzić się z myślą, że już nigdy nie wróci do domu i że prawdopodobnie zaginął gdzieś po drugiej stronie. Jak Canelle.

– Jesteś jednym z nich – odezwał się demon, gdy wagonik metra ruszył, szarpiąc przy każdym zakręcie. Światła zapalały się i gasły, syczący głos Istoty z Cienia przebijał się przez hałas sunącego po szynach pojazdu. – Jednym z tych sukinsynów od manipulacji. Tych potworów.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, demon wyciągnął szponiaste, pokryte zaschniętą krwią ręce. Zacisnął je na ramionach Martina, zmuszając go do spojrzenia na

siebie. Ukryte w głębi maski oczy płonęły czystym szaleństwem.

– Nie boję się ciebie! – warknął stwór, wpatrując się w swoją zmartwiałą z przerażenia ofiarę. – Wiem, do czego jesteś zdolny, wiem, co mógłbyś mi zrobić. To takie proste, prawda? – Nachylił się nad Martinem, zniżając głos do złowieszczego szeptu: – Takie... odruchowe. Popatrzeć w oczy, wejść mi w głowę, poprzestawiać w niej wszystko według własnego widzimisie, zmusić do ubrudzenia rąk krwią i zniknąć, kiedy nie jestem już potrzebny. Żadnemu ze swoich byście tego nie zrobili, wasz kodeks tego zabrania – szept płynnie przeszedł w histeryczny śmiech. – Ale my się nie liczymy, jesteśmy dla was tylko robactwem. Z nami możecie robić, co chcecie. Możecie nas torturować, niszczyć, robić z nas swoje marionetki, kiedy zajdzie potrzeba, tak? Nie masz nade mną władzy! – wrzasnął niespodziewanie demon, wytrzeszczając na Martina oczy. – Nie będę już twoją zabawką! Ani twoją, ani żadnego z was, nie dam sobie mieszać w głowie! Przekaż swoim przyjaciołom, że uciekłem, że jestem wolny i zabiję każdego, kto spróbuje wejść mi w głowę! Zabiję! Rozumiesz?! Rozszarpię na strzępy! Zniszczę! Nie będę więcej zabawką Kolegium, słyszysz? Masz im to powtórzyć! Powtórzysz? Powtórzysz?!

– Jasne – odparł Martin, z trudem odzyskując panowanie nad głosem. – Przekażę. Wszystko przekażę, tak? Uspokój się, nic ci nie zrobię.

– Próbujesz na mnie swoich sztuczek? – Demon zmrużył oczy. – Próbujesz usmażyć mi mózg, jak tamci? Nie możesz, ta czaszka mnie przed wami chroni, żaden z was nie ma do mnie dostępu! Nic mi nie zrobicie, nie macie nade mną władzy, mogę was wszystkich pozabijać. Jednego za drugim, gołymi rękami! Tak jak tego, który śledził mnie na Targu Trolli!

I wtedy metro zajechało na stację Florenc. Martin wyrwał się z uścisku demona i wystrzelił jak z procy w stronę otwierających się drzwi. Różowowłosa dziewczyna i jej towarzysz poderwali się z miejsca niemal równocześnie z Martinem.

Wyszedł na zewnątrz miękkich nogach, słysząc, jak drzwi zamykają się za nim z cichym sykiem. Nie oglądał się na pociąg, który zniknął w ciemności tunelu. Czuł ucisk w żołądku. Podniósł na moment wzrok tylko po to, by zobaczyć, jak schodzący po schodach mężczyzna nagle zrywa się do biegu, przeskakując po kilka stopni. Martin w pierwszym momencie był przekonany, że nieznajomy biegnie prosto na niego. Prawie się z nim zderzył. Warknął coś na temat głupich gówniarzy i pobiegł dalej. Dziewczyna rzuciła się do ucieczki, ciągnąc smycz za sobą. Staruszek potykał się i słał na nogach, ale pielęgniarka nie dbała o to. Wraz z nim zeskoczyła z peronu i po torach pomknęła w głąb tunelu. Mężczyzna chciał chyba zrobić to samo, zanim jednak zdążył zeskoczyć na tory, z oszalamiającą prędkością przemknął obok niego kolejny pociąg. Nieznajomy stał na krawędzi

peronu, próbując utrzymać równowagę w starciu z gwałtownym podmuchem powietrza. Martin zamknął oczy, przekonany, że zaraz będzie świadkiem widowiskowej śmierci. Krew, krzyk i mózg na ścianie. Chyba wolał sobie oszczędzić tego widoku. Pociąg przejechał i zapadła cisza. W tej ciszy odgłos kroków na kamiennej posadzce brzmiał niczym dudnienie.

– Ej, dzieciaku, wstawaj! – Poczul, że ktoś łapie go za kaptur i stawia na nogi. Otworzył oczy. Teraz mógł przyjrzeć się nieznajomemu z bliska. Tamten miał krótko obcięte jasne włosy i szare oczy. Przez lewą powiekę i pół policzka przebiegała mu cienka, długa blizna. – Jesteś z Praskiej Szkoły Lalkarzy? – spytał mężczyzna, przyglądając się bluzie Martina, wystającej spod skórzanej kurtki. Chłopak w pierwszym momencie nie odpowiadał, wciąż jeszcze mając przed oczami ukryte za zwierzęcą czaszką oczy demona. Dopiero po chwili ochłonął na tyle, by dostrzec, że mężczyzna ma przy kołnierzu granatowego płaszcza srebrną przypinkę w kształcie dłoni. Odznaki Kolegium nie dało się pomylić z niczym innym. – Co tu robisz o tej porze, dzieciaku? Zaraz zamkną bramy Klementinum. Chodź, odprowadzę cię.

Martin otworzył usta, całkiem zdezorientowany i zagubiony. Torba na jego ramieniu wybrzuszyła się niespokojnie i dobiegło z niej pełne złości prychnięcie.

– Pociąg... Londyn... Nowy York... Demon...

Mężczyzna zaśmiał się, klepiąc go po plecach.

– Załapałeś się na ostatnią przejazdówkę żółtą linią, co nie? – zapytał, kręcąc głową. Stanowczo i konsekwentnie ciągnął zdezorientowanego chłopaka w stronę schodów.
– Nikt ci nie powiedział, że nocą ta linia trochę dziczeje i robi się nieco bardziej... międzynarodowa?

Międzynarodowa? – pomyślał z niedowierzaniem Martin. *Tak, „międzynarodowa” to dobre słowo.*

– Ale cię porobiło! – Jego nowy znajomy popatrzył na niego z politowaniem. Kot cały czas syczał i prychał. – Wyglądasz, jakbyś miał zaraz tutaj zemdleć. No chodź, chodź, śmiało, nie ma czasu.

– Tam był demon – wykrztusił Martin. Jak najdokładniej przedstawił rysopis spotkanej w wagonie Istoty Cienia.

– Kościany Jack. – Pracownik Kolegium westchnął. Najwyraźniej sprawa demona była mu znana. – Czułem, że będą z nim kłopoty.

– Kazał przekazać, że nas pozabija, jeśli będziemy mieszać mu w głowie. Wszystkich z Kolegium. Podobno już kogoś dorwał.

Mężczyzna zaklął siarczyście.

– No i mówiłem tym kretynom, że to się tak skończy – wymamrotał. – Dzięki za informacje, młody. Sprawdzę to.

– A... A oni? – Martin wskazał na tunel, w którym zniknęła pielęgniarka i jej podopieczny. – Ludzie, których próbował pan ścigać? Co z nimi? Czy ten pociąg ich...

– Och, nie martwiłbym się. Takie robactwo zawsze znajdzie jakąś drogę ucieczki. Istoty z Cienia – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie chłopaka. – Prawdopodobnie gdybyś się zaciekawiał i poszedł za nimi sprawdzić, co kombinują, nikt więcej nie ujrzałby cię wśród żywych. Erika Ekhart nie byłaby zadowolona, jesteś jednym z jej dzieciaków.

Martin przyglądał mu się w milczeniu, kiedy jechali w górę. Wciąż myślał o zbuntowanym jesiennym demonie i o tym, jak potraktowało go Kolegium.

– Nie powinniście się włóczyć po nocy, nie mówili wam w szkole? – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni płaszcza pozłacany zegarek z dewizką. – Pełno takiego paskudztwa się teraz płacze po ulicach. Ludzie sami je ściągają swoim negatywnym myśleniem, a później się dziwią, że ktoś znika bez śladu – mruzczał pod nosem, wyraźnie poirytowany. Jedną ręką wciąż trzymał Martina za kaptur bluzy, drugą otworzył zegarek. – Dobra, w dziesięć minut to raczej nie dobiegniesz do Klementinum, dzieciaku – ocenił. Wyciągnął z kieszeni coś jeszcze. Małe mosiężne kółko z kluczami. Martin naliczył ich pięć albo sześć. – Tak będzie znacznie szybciej.

Wybrali wejście od strony kaplicy. Drzwi otworzyła im blada i wyraźnie roztrzęsiona profesor Amy. Miała potargane włosy i zaczerwienione oczy. Do ust

przyciskała chusteczkę.

– Dieter – szepnęła na widok mężczyzny. W jej głosie napięcie walczyło z ulgą. – Dobrze, że jesteś. Skąd wiedziałeś, że...

– Przyprowadziłem wam zgubę – odparł mężczyzna nazwany Dieterem, popychając Martina do przodu. – Szwendał się po metrze, kiedy szukałem... – Machnął ręką. – Zresztą, sama wiesz. Jestem potrzebny? Wcześniej zaczynacie w tym roku.

Pokiwała głową.

– Musisz to zobaczyć – zdołała tylko powiedzieć. Adept zatrzymał się w progach, oglądając się na nich z niepokojem.

– Martin, idź do siebie – nakazała Amy. – Zdążyłeś w ostatniej chwili. Jeszcze chwila, a spędziłbyś noc w mieście, więc proszę, nie nadużywaj mojej cierpliwości.

Jej głos nie zachęcał do dyskusji, więc chłopak niechętnie ruszył po schodach na górę. Cały czas jednak ukradkiem oglądał się za siebie.

„Dobrze, że jesteś”, „Wcześniej zaczynacie w tym roku”.

Coś się wydarzyło w Klementinum? Poczł pierwsze ukłucie niepokoju. Drugie pojawiło się, gdy stwierdził, że pokój jego i Waltera jest pusty. Współlokator gdzieś wyszedł, zabierając ze sobą lalkę. Nigdzie nie było też Greema ani Ingi. Trzecie ukłucie było uformowane ze zdziwionych spojrzeń Jo i słów Victora:

– Walt powinien być chyba w warsztacie. Mówił, że chce popracować z marionetką.

Nie czekając na więcej ukłuć – a właściwie czując je już na całym ciele – wypadł z kuchni. Na korytarzach Klementinum nie napotkał nikogo. Sądząc po odgłosach, całe zbiegowisko miało miejsce właśnie na strychu.

Warsztat.

Pomknął na górę, przeskakując po dwa schodki.

W drzwiach pracowni zderzył się z Greemem.

– Martin – wykrztusił chłopak. Tak bladego i roztrzęsionego Martin go jeszcze nie widział. – Co ty tu robisz?

– Walter! – wydyszał Martin. Nie mógł złapać oddechu, mimo że bieg po schodach nawet go nie zmęczył. – Vic powiedział, że tu jest. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Greem powoli pokręcił głową.

– Lepiej tam nie wchodzić – poradził. Twarz miał napiętą, jakby nosił źle dopasowaną maskę.

– Dlaczego nie?

– To nie jest dobry moment. – Chłopak popatrzył na niego niemal błagalnie. – Mistrz Dieter tam jest i...

Dieter. Zapłakana profesor Amy. „Musisz to zobaczyć”.

– Odsuń się! – powiedział szorstko Martin. – Chcę tam wejść!

– Nie.

– Greem, do cholery! – Rzucił się do przodu, ale Greem przytrzymał go za nadgarstek.

Martin zdołał dostrzec kłębiący się w środku tłum wykładowców i Dietera w granatowym płaszczu.

Przewrócony stół, porozrzucone narzędzia. Krew. Lepką, czerwoną krew wypływającą spod stołu. A później dotarł do niego ból. Przerazający, otepiający ból wykręcanej ręki. Poczul, że miękną mu kolana, a jakaś siła ciągnie go ku ziemi. Z cichym jękiem opadł na kolana. Greem nacisnął mocniej, a Martin zacisnął zęby, opierając się skronią o posadzkę. Z tej perspektywy widział więcej, niżby chciał. Ktoś właśnie nakrywał prześcieradłem leżące przy przewróconym stole ciało. Zanim biała płachta opadła, dostrzegł zakrwawioną, grubą igłę zaciśniętą w dłoni ofiary. Marionetka oparta o stołową nogę miała rudą perukę i sukienkę z zielonego jedwabiu, a jej oczy patrzyły prosto w oczy Martina.

Marionetka Waltera. Ely.

Jednak to nie Walter leżał pod przesiakającym plamami krwi prześcieradłem. To był Ned. Bliźniaczy brat Nel. Nieruchomy, sztywny, z wypisanym na twarzy wyrazem skrajnego niedowierzania i poczucia, że został zdradzony. Ktoś zaszył mu usta grubą czarną nicią. Dopiero po chwili Martin zdał sobie sprawę, że to nie są zwłoki.

Ned zamienił się w posąg.

ZŁOTA ULICZKA

– Walter!

Nie potrafił w żaden logiczny sposób wytłumaczyć, jak znalazł się nad rzeką. Padało, a on biegł gdzieś przed siebie w ciemność, walcząc z mdłościami. Słyszał kroki – ktoś go ścigał. Ktoś podniósł go, kiedy Martin wreszcie się potknął i upadł. Ktoś się z nim kłócił i próbował do czegoś namówić, ale Martin nie miał pojęcia, kim był nieznajomy.

– WALTER!

Aisling. To był głos Aislinga!

– Walter, nie chowaj się, i tak cię znajdę! Pożałujesz tego!

Martin widział tylko cień przemykający uliczkami. Słyszał pewny krok mężczyzny, krzyk pełen wściekłości i desperacji. Rozdzierający. Rudowłosy Aisling szedł po swoją zemstę.

– Walt... – wyszeptał Martin i rozejrzał się niespokojnie. Zerwał się na równe nogi. Popatrzył na Greema, bo najwyraźniej to on próbował go złapać i zatrzymać. – Musimy go znaleźć, zanim Aisling... Przecież to brzmi, jakby on zamierzał go zabić!

– Bo pewnie zamierza. – Greem westchnął, kręcąc głową. – Ned i Nel to jego kuzyni. A on obiecał, że będzie ich pilnował.

– No to nie stójmy tak! – zirytował się Martin. Wykręcona ręka wciąż pulsowała bólem. – Zróbmy coś, poszukajmy go!

– Inga się nim zajmuje – odparł Greem. – Aislingiem. My lepiej wracajmy do Klementinum. Niebezpiecznie się tak włóczyć.

– Och, jeśli chcesz, żeby ktoś zabił Waltera, to może po prostu powiedz, co? – krzyknął wściekły Martin. – Oszczędzisz wszystkim fatygi!

Greem milczał. Nie zareagował w żaden sposób, nie próbował się bronić. Musiał wiedzieć, że Martin wciąż jest wobec niego podejrzliwy po tym, co przydarzyło się Walterowi w wakacje.

– To nie jest dobry moment – powiedział tylko. – Inga się nim zajmie. Przypomni mu, jakie tutaj panują zasady. Wracajmy, Martin. – Położył mu dłoń na ramieniu. – Miałeś ciężki wieczór. Musimy zdążyć przed zamknięciem bram.

Martin nie miał siły protestować. Spędził tego dnia kilka godzin, snując się po Černým Moście, by znaleźć opiekę dla kota, wszedł do wagonu metra, który wywiózł go do Nowego Yorku, spotkał pałającego nienawiścią do Kolegium demona, a po powrocie trafił wprost na miejsce zbrodni. Nie zaprotestował, kiedy Greem przerzucił sobie jego prawą rękę przez ramię i zaczął ciągnąć go w stronę uczelni.

Kiedy Martin obudził się rano, jego lewa ręka była spuchnięta i zesztywniała. Zaklął pod nosem. Na najbliższe kilka dni był wyłączony z wszelkich ćwiczeń. Na dodatek czuł, że ma startą skórę na skroni, bo pewien kot wpadł na genialny pomysł, że przez kilka godzin, gdy Martin spał, będzie lizał go w tym miejscu szorstkim językiem.

– Cześć, mordko – powiedział, spoglądając w złociste oko kota. Odyn chyba wyczerpał cały swój zapas sympatii do tymczasowego opiekuna w czasie gdy ten spał, bo teraz po prostu zaczął leniwie lizać skaleczoną łapę. Martin pokręcił głową i spojrzał na swoją zabandażowaną rękę. – Wygląda na to, że teraz obaj jesteśmy podobnie poharatani. – Westchnął, wstał i niechętnie poczłapał do łazienki. Po drodze spostrzegł, że pokój Waltera jest pusty. Księżę chyba w ogóle w nim nie spał. Po korytarzu niosły się jednak dźwięki fortepianu. Ktoś siedział w salonie muzycznym piętro niżej i grał „Dla Elizy”.

Walter! To przecież jego ulubiony utwór. Grał go, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Martin szybko wstał i, nawet się nie przebierając, zszedł na dół. Jak najszybciej musiał z nim porozmawiać. Szedł wyłożonym czerwonym dywanem korytarzem. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej tony wydawały się obce. Dziwne. Na granicy fałszu. Przechylił się przez balustradę. To nie Walter grał na fortepianie. To był Greem. Jego jasne, wiecznie potargane włosy znów sterczały na wszystkie

strony.

Nie zwrócił na Martina uwagi, zbyt pochłonięty grą. Nie potrafił – w przeciwieństwie do Waltera – grać i rozmawiać jednocześnie. Zauważył młodszego adepta dopiero wtedy, gdy ten podszedł i oparł się o fortepian.

– Jak twoja ręka? – zapytał Greem, wyraźnie dręczony poczuciem winy.

– Spuchła – odparł Martin, poruszając nią na próbę. – I zsiniała.

Greem skrzywił się na ten widok.

– Kiepsko wygląda – przyznał. – Pokaż to lepiej Podróżnemu, zwolni cię z warsztatów w tym tygodniu.

– Co to tak właściwie było? Myślałem, że mnie tylko złapałeś, a czułem się, jakbyś chciał złamać mi rękę.

– Dźwignia na nadgarstek. Taki mały prezent od Mistrza Taro. Na pierwszorocznikach tylko demonstruje, na drugim roku uczy nas już techniki. Pierwszy raz próbowałem, nie sądziłem, że zadziała.

– Och, czuję się zaszczycony – prychnął Martin. Wychowanek alchemików przyglądał mu się z ciekawością.

– Ale do tego już się nie przyznaję. – Wskazał na czerwony ślad na jego skroni. – Przewróciłeś się, czy...

– Kot mnie polizał.

– Że co?

– I powtórzył to jeszcze kilkadziesiąt razy jak spałem – sprecyzował zrezygnowany Martin. – Praktycznie zlizal mi skórę.

– Wierzę, ale... – Opuszki palców Greema zawisły tuż nad klawiszami fortepianu. – Od kiedy ty właściwie masz kota?

– Od wczoraj. Przyplątał się do mnie na Černým Moście. Wziąłem go ze sobą, bo chciałem, żeby obejrzał go ktoś z Obrzeży. – Wreszcie musiał komuś opowiedzieć o swoich przeczuciach, niezależnie od tego, jak szalone się wydawały. – Dziwnie się zachowuje. Nie wiem jak to wyjaśnić, ale... podejrzewam, że może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Widmokota. Może pozwoli go odnaleźć.

– Cathy by się ucieszyła – przyznał Greem. – Słyszałem, że prowadzenie interesów z nią stało się dość trudne, od kiedy Widmokot zniknął. Wiesz, przyjaciele z dawnych lat.

– Myślisz, że powinienem pokazać go Podróżnemu?

– To chyba najlepsze wyjście – odparł Greem. – Jeśli ktoś jest w stanie wykryć powiązania tego twojego zwierzaka z Widmokotem, to tylko on.

Martin pokiwał głową. Lekko zabębnił palcami zdrowej ręki w obudowę fortepianu.

– Skoro mowa o przyjaciołach... Walter wciąż nie wrócił.

– Tak sądziłem – odparł spokojnie Greem. – Jest w bezpiecznym miejscu. U moich ludzi. Nie pozwolą go skrzywdzić.

Jego ludzie. Greem wychował się na Złotej Uliczce, u alchemików. Gdyby nie list z Praskiej Szkoły Lalkarzy,

zostałby jednym z nich. Prascy alchemicy gościli już Waltera podczas wakacji. Zajęli się również Martinem, kiedy wrócił z rajdu.

Tak, Walt z pewnością był u nich bezpieczny.

– Ale wróci, prawda?

– Musi wrócić. Prędzej czy później. Macie sprawę, którą musicie załatwić.

Martin zmarszczył brwi.

– My czyli kto?

– Ty, Walter, cała wasza grupa. – Greem przesunął dłonią po klawiaturze pianina. – Znaleziono zwłoki. Trzeba rozstrzygnąć, kto jest za to odpowiedzialny.

– Ale... jak to? Dlaczego my? Przecież był tutaj ten cały Dieter! Zginął pierwszoroczny, to Kolegium powinno się tym zająć! A jeśli to ktoś z zewnątrz? Jakiś demon, albo...

– To ktoś z waszej grupy. – Greem wszedł mu w słowo.
– Zawsze tak jest.

– Jak to: „zawsze”?! – krzyknął Martin. Odpowiedziało mu ciche prychnięcie.

– Błagam, nie udawaj, że jesteś zaskoczony. – Greem nacisnął klawisz, wydobywając z fortepianu głęboki, żałobny ton. – Po tym, czego doświadczyłeś na egzaminach wstępnych, nie sądziłeś chyba, że później będzie inaczej? Że dziesięć osób, które zdradzały, oszukiwały i zabijały, żeby się tutaj dostać, spokojnie poczeka na egzamin końcowy? Że nikt nie ma żadnego szoku pourazowego, nikt nie ma socjopatycznych skłonności, że nikt się nie boi? Że ktoś wylatuje z uczelni,

bo nie zaliczył historii dramatu? To był tylko wstęp, Martin. – Greem podniósł się i spojrzał na chłopaka z góry. – Tylko początek tego, co z tobą zrobią, do czego się zmuszą, co będziesz musiał zrobić, żeby przetrwać. Nie rozumiesz tego?

Martin przypomniał sobie pierwsze spotkanie z Ingą i Greemem w sklepie. Teraz rozumiał, czemu byli wtedy tacy podenerwowani i niespokojni. To było krótko po zakończeniu poprzedniego roku akademickiego. Też musieli doświadczyć czegoś podobnego.

– Jak... jak to wygląda? – zapytał, przełykając ślinę. – No wiesz, tak czysto technicznie.

Otrzymana odpowiedź była prosta, konkretna i do bólu pragmatyczna:

– Jutro opiekun roku, w waszym przypadku Podróżny, zwoła was do pokoju na strychu. Przekaze wam protokoły, które spisał Mistrz Dieter. Powie wam, że morderca jest wśród was i przed końcem roku musicie go wskazać Radzie Kolegium. Nie sprawdzą, czy mieliście rację. Zdecyduje większość.

– I co się stanie z tym kimś?

– Opuszcza uczelnię. I zazwyczaj zostaje zabity przez Kolegium za najbliższym rogiem. Już kiedyś ci to tłumaczyliśmy: Kolegium jest krwiożercze. I nie chce, żeby ktoś biegał na wolności, rozpowiadając jego tajemnice.

Greem odwrócił się i ruszył w górę schodów.

– Ej, Greem! – zawołał za nim Martin. – Na drugim

roku też tak jest?

Wychowanek Alchemików wzruszył ramionami. W jego jasnych oczach błysnął strach.

– Ja i Inga nie wiemy jeszcze, co będzie na drugim roku – oświadczył. – Iskra i Aisling nie chcieli nam powiedzieć. Dzisiaj wieczorem idę spotkać się z Walterem i spróbuję zmusić go do powrotu tutaj – powiedział, odwracając się do Martina, gdy był już w połowie schodów. – Nieobecność na jutrzejszym zebraniu może mu bardzo zaszkodzić. Jeśli chcesz iść ze mną, bądź przy kaplicy około siódmej.

Przez cały dzień Martin nie rozmawiał z nikim ze swojej grupy. Siedzieli zamknięci w pokojach lub w bibliotece, jakby celowo unikali swojego towarzystwa. Może wiedzieli, co ich czeka, może zbierali siły. A może po prostu potrzebowali zostać sami, poukładać sobie wszystko w głowie? Niezależnie od tego, co mówił Greem, zginął ich kolega z roku.

Jak na złość po raz pierwszy od ponad miesiąca dzień był jasny i słoneczny, chociaż zdecydowanie wietrzny. Martin większość czasu spędził w pokoju, ze swoim nowym towarzyszem. Kot głównie spał – wciąż zbierał siły.

Martin kilka razy wychodził sprawdzić, czy Podróżny jest w swoim gabinecie. Drzwi pozostawały zamknięte.

– Jesteś – powiedział Greem, wyrzucając papierosa i

dogaszając go butem. Martin próbował przypomnieć sobie, w którym momencie chłopak zaczął palić i czy kiedyś widział go już z papierosem. Palenie pasowało do jego niedbałego wyglądu i nerwowości.

Ruszyli w drogę bez słowa. Wieczór był chłodny i rześki.

– Tak w ogóle to nie pytałem wcześniej, ale gdzie ty wczoraj łąził? – zapytał Greem, kiedy weszli już na zatłoczony most Karola. – Nie było cię cały wieczór.

– Odwiedzałem przyjaciółkę na cmentarzu – odparł zgodnie z prawdą Martin. – A po drodze jeszcze Londyn, Nowy York i coś, co nazywa się Targiem Trolli – dodał. – Podobno ostatnio metro dziczeje i robi się nieco... międzynarodowe.

– No tak – przyznał Greem. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony. – Zdarza się, chociaż to zależy od tego, jaki jest dzień miesiąca. Zazwyczaj zatrzymuje się na tych stacjach, które może i są z pozoru zamknięte, albo w ogóle nie istnieją, jak właśnie Targ Trolli. Jednak dla nas... to znaczy dla drugiej strony, te stacje są sprawne i całkiem istotne. – Wzruszył ramionami. – Ale właściwie nigdy nie wiadomo, gdzie pociąg akurat jedzie i gdzie cię wyrzuci, bo nikt nie zna rozkładu jazdy. Podobno kiedy zaczynasz ogarniać, jak to cholerstwo jeździ i gdzie się zatrzymuje, to trochę słabo, bo sam już jesteś bardziej Istotą z Cienia niż człowiekiem.

– I nikt nawet nie zatroszczył się, żeby mi powiedzieć? – warknął Martin. – Prawie dostałem wczoraj zawału.

Oczywiście zanim prawie dostałem zawału, myśląc, że ktoś zamordował Waltera i zanim byłeś łaskaw prawie złamać mi rękę.

– Myślałem, że już o tym słyszałeś. Od pani Althan, Canelle albo Walta. To jest coś, o czym wszyscy po drugiej stronie wiedzą, a was, świeżaków, chyba powinni uczyć na jakichś zajęciach wyrównawczych czy coś. My takie mieliśmy, gość jeździł z nami zwykłym, dziennym metrem i pokazywał, jak się zachowywać, kiedy w wagoniku są pasażerowie, a nie garstka Istot z Cienia.

– Mają je zorganizować – odparł Martin, przepychając się między grupką rozmawiających po polsku turystów. – Ale cały czas je przesuwają. Podobno zaczynamy od połowy semestru, przynajmniej Podróżny tak mówił. Zaczynam się zastanawiać, czy dożyję.

– Możemy się o to założyć.

– Świetnie. – Martin wzniósł oczy ku niebu. Turyści przed nimi walczyli między sobą o jak najlepsze ujęcie miasta nocą. Martin spoglądał ukradkiem na Greema. Musiał wyciągnąć z niego coś o wydarzeniach poprzedniej nocy, zanim zostanie zaangażowany w akcję sprowadzenia Waltera z powrotem do Klementinum. Musiał wiedzieć, jak z nim rozmawiać.

Wreszcie zebrał się na odwagę:

– Kto go znalazł?

– Ja – odparł Greem, następnie zaś zaklął pod nosem. Bez większych sukcesów usiłował zapalić papierosa na moście w wietrzny wieczór. – Stań tutaj i osłaniaj.

Martin stanął tak, by umożliwić towarzyszowi oddawanie się nałogowi.

– Bo widzisz, to było tak – podjął wychowanek alchemików, kiedy już zdołał zaciągnąć się dymem – że Nel nagle źle się poczuła, zaczęła się dusić czy coś. Lotta była w pobliżu, na szczęście wezwała pomoc. No ale że Nel pochorowała się właściwie bez powodu, Aisling zaczął się dopytywać, gdzie jest Ned i powtarzać, że trzeba go znaleźć.

– Hmm? – Martin zmarszczył brwi. – Ale... dlaczego? Skąd wiedział?

– Ned i Nel to irlandzkie demony, tak jak Aisling. Na dodatek bliźnięta. Są połączeni tak głęboko, że wzajemnie odczuwają swój ból. Więc skoro nie wiadomo było, co dzieje się z Nel, Aisling zrozumiał, że coś złego stało się z jej bratem.

– Och – powiedział Martin, czując nagle dziwny ucisk w żołądku. – A Nel? – Przełknął ślinę. – Jak... Jak ona się czuje?

– Wciąż jest nieprzytomna – odparł poważnie Greem. – Podróżny się nią zajmuje.

Martin pokiwał głową. Teraz rozumiał, czemu drzwi gabinetu wykładowcy były zamknięte.

– Podobno bywało tak, że jeśli jeden z irlandzkich demonów umierał i zmieniał się w kamień, a miał brata bliźniaka, to ten drugi też tak jakby... Czasem więź była zbyt silna. Dlatego właśnie Aisling tak się wczoraj wkurzył, rozumiesz?

Martinowi nagle zdało się, że woda niesie echo pełnego wściekłości krzyku irlandzkiego demona.

– Boi się, że może stracić ich oboje – dodał Greem.

Martin nie potrafił mu się dziwić. Co sprawiło, że nagle jeszcze bardziej zaczął się martwić o Waltera.

– Wszystkie demony są niebezpieczne, Martin – powiedział Greem, jakby czytając w jego myślach. – Zwłaszcza zranione demony. A szczególnie irlandzkie demony zemsty, którym ktoś nadepnął na odcisk. Ktokolwiek zrobił to z Nedom, Aisling zmiecie go z powierzchni ziemi. Jeśli Nel też umrze, Aisling powtórzy procedurę dwukrotnie i jeszcze napluje.

– Dlaczego podejrzewa Waltera? – drążył chłopak.

– Podobno Walt i Ned mieli robić coś razem w warsztacie. Jeden chciał coś poprawić z marionetką, drugi pomóc. Twoi koledzy z grupy trochę plątali się w zeznaniach, więc nie wiem dokładnie. Ale kiedy tam poszedłem, Walta nie było, za to była jego lalka i Ned zamieniony w gustowny posążek. Posągi nie mówią, lalki też nie, ale do Aislinga bardziej przemówiły okoliczności.

– Myślisz, że Walt to zrobił?

– Nie obchodzi mnie to – odparł Greem. – Powiedziałem ci już dzisiaj rano. Nikogo to tak naprawdę nie będzie obchodziło. Okoliczności świadczą przeciwko niemu. Nie sądzę, żebyś tym razem zdołał go wybronić tak elegancko jak w wakacje.

– Zobaczmy! – W oczach Martina pojawił się złowieszczy błysk.

Na podgrodziu też roiło się od turystów cieszących się z tego, że wieczór, chociaż chłodny, sprzyjał spacerom po mieście.

– Martin, poczekaj! – Greem przyspieszył kroku, żeby go dogonić. – Zanim podejmiesz jakąkolwiek decyzję, bardzo chcę, żebyś z kimś porozmawiał.

– Niby z kim?

Kompan rzucił mu krótkie, nieco nerwowe spojrzenie.

– Po prostu chodź ze mną. Zobaczysz.

Przemykali wąskimi, brukowanymi uliczkami podzamcza. Martin pamiętał je ze swojej ostatniej nocnej wędrówki po Hradczanach, jeszcze w wakacje, kiedy nieudolnie próbował odnaleźć Greema. Wspięli się po schodach aż pod bramy zamku. Nie było jeszcze późno: zabytkowy kompleks wciąż był dostępny dla zwiedzających, przynajmniej dziedziniec. To w zupełności im wystarczało. Przeszli obok katedry, minęli bazylikę świętego Jerzego i dotarli aż do wejścia na Złotą Uliczkę. Greem z pewnym niesmakiem spojrzał na ogrodzenie i bramkę blokującą wejście. Za dnia dostęp dla turystów był płatny. Teraz nie było nikogo, kto mógłby ich wpuścić.

– Chodź. – Greem podszedł do ogrodzenia. Chłopak popatrzył na niego z niesmakiem.

– Mam łązić po bramach z tą ręką? – Wskazał na opaskę usztywniającą na nadgarstku. – Zwariowałeś?

– Tu nie jest wysoko – zapewnił Greem. – Nawet jak spadniesz z drugiej strony, nic ci się nie stanie.

Alternatywna trasa wcale nie jest lepsza. Na pewno wolisz przejść przez głupią bramkę zamiast biegać po dachach. Chodź, nie mamy wiele czasu – ponaglił.

Martin westchnął, po czym wybił się na dłoniach Greema i zdrową ręką podciągnął w górę. Cotygodniowe kilkugodzinne treningi u Mistrza Taro okazały się zaskakująco pomocne. Był w stanie przejść na drugą stronę ogrodzenia, nie upadając przy tym twarzą na bruk. Kiedy jednak schodził, oparł się na kontuzjowanej ręce. Jęknął cicho i wylądował niezbyt zgrabnie. Jeszcze rano nie był w stanie utrzymać w dłoni kubka z herbatą, a co dopiero mówić o ciężarze własnego ciała.

– W porządku? – zapytał Greem, lądując obok niego.

– Bywało lepiej – syknął Martin, rozcierając nadgarstek.

Rozejrzał się. Kiedy ostatnio tutaj trafił, był nieprzytomny po wyczerpującej ucieczce z rąk Rady Kolegium. Pamiętał tylko uliczny bruk, na który osunął się bez świadomości. Teraz chłonął wzrokiem każdy szczegół. Ulica wyglądała zupełnie inaczej niż z zewnątrz. Przede wszystkim była żywa. Nie tak, jak w ciągu dnia, kiedy turyści widzieli kilka małych sklepów z biżuterią i pamiątkami. Działały wszystkie zakłady i sklepiki, w oknach paliły się światła, drzwi były pootwierane i stali w nich ludzie w strojach z każdej możliwej epoki. Przy studni ktoś piekł na ruszcie wielkiego prosiaka, zaś z Knajpy Morderców dobiegała muzyka.

– Napatrzyłeś się już? – zapytał z pewnym zniecierpliwieniem jego przewodnik.

Martin skinął głową, na moment odrywając wzrok od parującego kotła, widocznego w drzwiach jednego z budynków.

Dom Greema znajdował się naprzeciwko Knajpy Morderców, wciśnięty między dwa inne kolorowe budyneczki. Weszli do ciemnej sieni. W drzwiach stanął mężczyzna w ciężkim skórzanym fartuchu i nieco staroświeckiej czapce. Greem przywitał go ukłonem.

– Idź na górę – poprosił Martina, wskazując na strome, drewniane schody. – Ja zaraz do ciebie dołączę.

Chłopak pokiwał głową. Zaczął ostrożnie się wspinać, modląc się, by żaden ze schodków nie pękł pod jego ciężarem.

Cały dom wypełniał intensywny, drażniący zapach. Martin pamiętał go z pracowni chemicznej, ale nie potrafił stwierdzić, co dokładnie było jego źródłem. Wiedział, że opiekunowie Greema są alchemikami, teraz jednak zaczął się zastanawiać, czym dokładnie się zajmowali. Próbowali uzyskać złoto? Elixir życia? Coś jeszcze innego?

Wszedł na górę i popchnął drzwi. W pomieszczeniu było ciemno, a jedyne źródło światła stanowiła szpara w ciężkich okiennych zasłonach, wpuszczająca nieco blasku z ulicy. Widział kontury regałów z książkami i szklanych naczyń o fantastycznych kształtach. Miał cichą nadzieję, że uda mu się znaleźć jakieś inne źródło

światła, zanim rozwali wszystko w drobny mak. W całkowitej ciemności i ciszy odgłos pocierania zapalki o draskę był tak przeszywający, że Martin aż podskoczył. Odsunął się i niemal krzyknął. W wątłym świetle zapalki wyraźnie widział poparzoną, pokrytą bliznami skórę. Dopiero po chwili, kiedy do zapalki dołączył też blask dwóch świec, dostrzegł drugą połowę twarzy oraz duże, błyszczące ekscytacją oczy.

– Bu – powiedziała Iskra.

PŁOMIEŃ

Martin odruchowo zrobił krok w tył.

– Co ty tu robisz? – zapytał. Pierwszy raz widział jej blizny z tak bliskiej odległości. Musiał przyznać, że wciąż wyglądały kiepsko. Iskra potrząsnęła burzą loków.

– Dotarły do mnie wiadomości o tym, co się stało w Klementinum – odparła. Podeszła do Martina i objęła go. Jej loki połaskotały go po policzku. Pachniała sosnowym igliwem. Lasem. Dymem z ognisk. Po chwili oderwała się od chłopaka i podeszła do okna, żeby staranniej je zasłonić.

– Wiem, że Aisling nie może się wyrwać, bo jest ze swoją kuzynką, ale po prostu... wolę być w pobliżu. Gdyby jednak mnie potrzebował.

– To na pewno bezpieczne? – upewnił się Martin. Usiadł na stojącym przy ścianie fotelu, wcześniej odkładając na stolik dwie dość grube książki w skórzanych oprawach. – Twoja obecność tutaj? Nie jesteś tak jakby... poszukiwana?

Dziewczyna zaśmiała się cicho. Światło świecy sprawiało, że jej postać rzucała na ścianę rozchybotany cień.

– Chyba nie myślisz, że jestem tu sama? Sowy nie pozwalają mi opuszczać lasu bez eskorty. Gdy tylko pojawi się tu funkcjonariusz Kolegium, zostanę o tym

poinformowana. I będę miała otwartą drogę ucieczki.

– To chyba dobrze. – Martin się rozluźnił. Usiadł wygodniej, jednak następne słowa Iskry sprawiły, że znów się spiął:

– Ostatecznie nie jestem tu pierwszy raz. – Roześmiała się, przesuwając dłonią nad płomieniem świecy. – Do tej pory jakoś nie było problemu.

– Bywasz tu częściej?

Na okaleczonej twarzy pojawił się zaczepny, pełen satysfakcji uśmiezek.

– Chyba nie wierzyłeś, że twoi koledzy naprawdę zapomnieli o spisku? – Nawinęła pasemko włosów na palec.

Poruszała się. Cały czas się poruszała, ani przez sekundę nie potrafiła siedzieć, nie robiąc czegoś z rękoma. Zupełnie jak płomień świecy.

– Spotykamy się tutaj raz na dwa tygodnie. Siedzimy, rozmawiamy, pijemy piółunówkę. Przekazują mi informacje o tym, co dzieje się w Kolegium, a poza tym głównie kłócą się o to, czy można cię już wtajemniczyć, czy nie – powiedziała, zanim miał okazję spytać, dlaczego nie miał o niczym pojęcia. – Dzisiaj też mieliśmy się spotkać, dlatego opuściłam swoją kryjówkę, ale kiedy dotarłam na miejsce, dowiedziałam się, że spotkania nie będzie, bo pierwszaki postanowiły zacząć się mordować już teraz. Jednak postanowiłam zostać. Dla Aislinga. No i dlatego, że liczyłam, że teraz wreszcie Walter nie będzie się wtrącał i pozwoli mi porozmawiać z tobą na

osobności.

– Walter? – powtórzył Martin. Przypomniawszy sobie te wszystkie momenty, kiedy książkę zapewniał go, że nie ma pojęcia, co mogą planować Greem i Inga i nie ma z tym nic wspólnego. – Miał coś przeciwko temu, żebym się z tobą spotkał?

– I Walt, i po trochu Greem mają cię chyba za – podniosła ze stołu kolbę laboratoryjną i obróciła ją w dłoniach – coś takiego. Najwyraźniej Greem jest chyba pośrodku, między Ingą, która chciała cię do mnie zaciągnąć, gdy tylko ocknąłeś się po egzaminach, a Walterem, który boi się, że zbyt bliskość ognia może ci zaszkodzić – powiedziała znudzonym tonem i przyłożyła kolbę do świeczki. – Jakże... szlachetnie z jego strony. – Rzuciła naczynie za siebie, jakby od niechcienia. Szkło rozprysło się po podłodze. – W każdym razie cieszę się, że tu jesteś. Najwyższy czas.

– O czym chciałaś ze mną rozmawiać? – Martin przełknął ślinę. Obserwował jej cień na ścianie. To było bezpieczniejsze. Mówi się, że zbyt długie wpatrywanie się w płomień może zaszkodzić.

Iskra nawinęła na palec pasemko włosów i przysunęła je bliżej ognia, jakby chciała sprawdzić, co się stanie.

– Mam dla ciebie propozycję, Martinie. Wiem, co robisz w Kolegium. Wiem, co planujesz zrobić.

Martin byłby zdziwiony, gdyby po półtora miesiąca spiskowania za jego plecami wciąż nie miała pojęcia o planie zniszczenia dyrektorki.

– I wiem, że kiedy już to zrobisz, będziesz potrzebował mojej pomocy. Mam za sobą ludzi-sowy, mogę zdobyć wszystkie informacje, jakich potrzebujesz. Mogę zorganizować rebelię i stanąć na jej czele, mogę zebrać siły, które zmiotą Kolegium z powierzchni ziemi. Sprawić, że nie zostanie kamień na kamieniu.

Martin wciąż wpatrywał się w rzucany przez nią cień.

Oferta brzmiała aż nazbyt hojnie. Szpiegostwo, armia, rewolucja, zemsta – pełen pakiet.

Zdobył się na to, żeby spojrzeć jej w oczy.

– A co ty będziesz z tego miała?

– Ja? – Dziewczyna podeszła do niego. Oparła dłonie na podłokietnikach fotela, spoglądając na Martina z góry. – Widzisz... Może i mam reputację buntowniczką, ale jestem też uważana za mało stabilnego sojusznika. Podobno przez to, co zrobiło mi Kolegium. – Zerknęła szybko na swoje odbicie w przydymionym lustrze. – I przez to, że trzymam się z sowami. Mogę być nieźrównoważona. Irracjonalna. Dlatego potrzebuję, żeby ktoś usankcjonował moje działania. Chcę od ciebie tylko jednego, Martinie. Chcę, żebyś dał mi rozkaz do ataku. Żebyś to ty dowodził i w odpowiednim momencie sam usunął się w cień i pozwolił mi działać. Pozwolił mi robić, co chcę. Ja będę twoją bronią. Ja i wszystkie siły, jakie potrafię zgromadzić. Ty musisz tylko...

– ...zapalić zapałkę. – Martin w zadumie pokiwał głową. Wciąż jakimś cudem udało mu się nie odwrócić wzroku.

„Wszystko zajmie się od jednej iskry. Ale to ty będziesz tym, który zapali zapalke” – czy nie tak właśnie śpiewał mu jesienny demon w metrze? Czy to nie tym próbował go skusić w swojej pieśni?

– Dlaczego ja?

– Chcesz zabić Erikę Ekhart. – Iskra rozłożyła ręce. – Chcesz zemścić się na niej za swoją przyjaciółkę. Ja chcę się zemścić za to. – Dotknęła poparzonego policzka. – Za moich kolegów z roku, za kuzynów Aislinga. A zemsta najlepiej smakuje serwowana... Teraz! Zaraz! Natychmiast! – Uderzyła dłońmi w jego fotel. Roześmiała się, odchylając głowę do tyłu. Okręciła się zrećźnie wokół własnej osi i klasnęła w dłonie. – Zatem... łączy nas wspólny cel, prawda? To ci nie wystarczy? To mało?

Zmrużył oczy. Teraz już rozumiał, dlaczego dziewczyna potrzebowała kogoś, kto da jej sygnał i weźmie na siebie odpowiedzialność za jej działania. Naprawdę była jak kula ognia, gotowa wystrzelić na oślep we wskazanym kierunku i spopielić wszystko, co napotka na swojej drodze.

Co gorsza, zdawała sobie z tego sprawę.

– Nie tylko ja chcę się zemścić – zauważył Martin. – Walt i Aisling też mają z dyrekcją rachunki do wyrównania. Zwłaszcza Aisling.

– Aisling... – Iskra westchnęła, po czym nagle spoważniała. – On jest irlandzkim demonem zemsty. Właśnie stracił kuzyna, którym miał się opiekować. Być może straci też kuzynkę. Nie będzie działał racjonalnie i

nie zdoła wziąć odpowiedzialności za swoje działania, nie mówiąc już o odpowiedzialności za mnie. Poza tym to mogłoby być dla niego niebezpieczne.

– Jest niebezpieczne dla nas wszystkich! – warknął Martin.

– Ale ty masz konkretny plan – zauważyła Iskra.

Skąd wie? Nigdy nie wspomniałem o tym ani Walterowi, ani Greemowi.

Uśmiechnęła się, wyraźnie zadowolona, że udało jej się go zaskoczyć.

– Pewna samotna sowa polowała na cmentarzu. Słyszała, jak chłopak stoi nad grobem przyjaciółki. Jak opowiada jej o swoim planie i o tym, że musi być przebiegły i najpierw stać się częścią Kolegium, by zrozumieć, jak z nim walczyć. A później ta samotna sowa stała się częścią mojej eskorty podczas podróży do Pragi.

– Zaplotła dłonie na piersiach. – Ty podsłuchujesz innych, inni podsłuchują ciebie.

Nie mógł zaprzeczyć. W tamtym momencie potrzeba porozmawiania z Klarą wygrała ze zdrowym rozsądkiem i ostrożnością. Wyglądało na to, że przyjdzie mu zapłacić za lekkomyślność.

– Jeśli właśnie zacząłeś się tym przejmować, odpuść – poradziła. – Prawdopodobnie poza Piórkiem usłyszały cię przypadkowe Istoty Cienia, ale... to akurat działa na naszą korzyść. I tak nie doniosą Kolegium, a będą znacznie bardziej chętne przyłączyć się do nas, wiedząc, że masz plan. Czy tego chcemy, czy nie, ty i ja mamy na

obręczach pewną reputację. Ja jestem znana z tego, że otwarcie sprzeciwiłam się Kolegium, ty z tego, że poszedłeś tam z własnej woli, by wykorzystać je do swoich celów. Możemy dużo na tym ugrać.

– Tylko jeśli będziemy współpracować – zauważył Martin. – Jaką masz gwarancję, że doprowadzę swój plan do końca? Że w ogóle dojdziemy do momentu, w którym będę mógł dać ci wolną rękę?

– Jeden plan już zrealizowałeś. Jesteś na uczelni.

Martin próbował coś powiedzieć, ale uciszyła go gestem ręki.

– A poza tym chyba nie za bardzo masz wybór, biorąc pod uwagę to, w jakich okolicznościach tu trafiłeś. Przyjęli cię, bo boją się, że znasz sekrety Kolegium i że je ujawnisz, jeśli ci zagrożą. Pozbędą się ciebie, gdy tylko wyda się, że nie wiesz nawet połowy tego, co sugerowałeś. Jeśli chcesz przeżyć, a nie wyglądasz na kogoś, kto pragnie śmierci, będziesz próbował zdobyć tę wiedzę. Sądząc po tym, jak radziłeś sobie z tym do tej pory, potrzebujesz mnie równie mocno jak ja ciebie. – Uśmiechnęła się zaczepnie.

Nie odpowiedział. Iskra miała rację. Nie przypuszczał nawet, że wydarzenia poprzedniego wieczora w ogóle mogą dojść do skutku i są zgodne z polityką uczelni. Ilu takich niespodzianek potrzeba, by zaczął rozważać ucieczkę?

– Pamiętam nasze spotkanie w Starej Sprawie – powiedziała. – Pamiętam, jak rozmawialiśmy o Praskiej

Szkole Lalkarzy i egzaminach wstępnych. Zapytałam, czy zdecydowałbyś się brać w tym udział po raz drugi, w pełni świadomie. Zawahałeś się, bo myślałeś, że oczekuję... że wszyscy oczekujemy, że zaprzeczysz. Jednak to było „tak”, prawda? – zapytała. – To wciąż jest „tak”, nawet mimo tego, czego dowiedziałaś się o egzaminach od Greema?

Nie odpowiedział. Czy to właśnie dlatego Greem i Inga nie powiedzieli mu nic wcześniej? Bali się usłyszeć: „Nie szkodzi, i tak chcę w to brnąć”?

– Nie wymagam, żebyś podejmował decyzję tu i teraz – powiedziała Iskra, podnosząc się z podłogi. Na dole rozległy się odgłosy kłótni. Martin rozpoznał głosy Waltera i Greema, ale nie zdołał usłyszeć, o co poszło. – To poważna sprawa, więc masz tyle czasu do namysłu, ile będziesz potrzebował. Wystarczy, że przekażesz mi wiadomość, jaką podjąłeś decyzję, a dołączę do ciebie. Chcę, żebyś wiedział, że... że zamierzam z tobą pracować na równych prawach.

– Na równych prawach? – powtórzył, wstając z fotela.

Zamieszanie na dole wskazywało, że czas zakończyć spotkanie. Gdy Iskra uściskała Martina na pożegnanie, znów spowiał go zapach lasu i dymu. Iskra, odchodząc z uczelni, miała już ze sobą dwa lata edukacji jako Manipulator. Posiadała wiedzę i umiejętności, które sprawiły, że tajemniczy ludzie-sowy zdecydowali się ją przyjąć, choć robili to tylko w wyjątkowych przypadkach. Nie było mowy o równych prawach.

– Zanim zejdziesz do chłopaków – skinęła palcem, zachęcając, by się nachylił – zdradzę ci sekret – wyszeptła. – Nie ufam Indze. Nie ufam jej ani trochę. Zmieniła się od wakacji, zauważałam tę zmianę... w ciągu każdego kolejnego spotkania. Jeśli miałabym wskazać kogoś, kto mógł zdradzić Waltera, to właśnie ją.

Martin uniósł brwi. Rzeczywiście, już w wakacje widział, że obie dziewczyny traktują się dość oschle. Obie miały silne charaktery i przywódcze ambicje. Czy to właśnie dlatego Iskra próbowała teraz podważyć wiarygodność adeptki? Najgorsze było to, że jej spostrzeżenia zgadzały się z obserwacjami Martina. Ostatnimi czasy Inga osiągnęła zupełnie nowy poziom arogancji i dokuczliwości.

– Nawet jeśli nie zgodzisz się na moją wcześniejszą propozycję, chciałabym, żebyś miał ją na oku – poprosiła Iskra. – Daj mi znać, jeśli coś cię zaniepokoi.

– Spróbuję – odparł, przyparty do muru. – Ale to nie jest zgoda. Dowiesz się, jeśli podejmę decyzję w tej sprawie.

– Do zobaczenia wkrótce, Martin – powiedziała, zdmuchując świeczkę.

TRANSFORMACJE

– Mamy kota? – zdziwił się Walter, kiedy poczuł, jak Odyn ociera się o jego nogi.

– Podobno tymczasowo – odparł Martin. – Jutro oddam go Podróżnemu, żeby go obserwował. – Dostrzegł, że książę chce wejść do pokoju i zamknąć za sobą drzwi, więc szybko złapał go za ramię. – Nigdzie nie idziesz – warknął – dopóki ze mną nie porozmawiasz.

Walt gestem zaprosił go do swojego pokoju.

– Kiedy zamierzałeś mi powiedzieć o tych tajnych spotkaniach?

– Nie zamierzałem – przyznał uczciwie Walter. Wytrzymał spojrzenie przyjaciela i ani na moment nie odwrócił wzroku. To Martin pierwszy spojrział w bok, uświadamiając sobie, że książę jest zły. Widział go już smutnego, przestraszonego i załamanego, nigdy jednak nie tak zdenerwowanego. – Nie dowiedziałbyś się, gdybym nie musiał uciekać przed Aislingiem na Złotą Uliczkę i gdybyś nie został tu sam z Ingą i Greemem. Mogłem przewidzieć, że to wykorzystają.

– Ale dlaczego, Walt? – spytał Martin. Też był zły, ale nie potrafił być tak władczo i królewsko zły jak Walter, więc nieco spuścił z tonu. – Myślałeś, że komuś się wygadam? Że was zdradzę? Nie ufasz mi? Czy...

– Dogadałeś się z nią? – przerwał mu książę. Jego głos

był pełen napięcia. Jakby od odpowiedzi, jakiej udzieli Martin, zależała cała reszta rozmowy. – Zgodziłeś się na jej warunki?

– Wysłuchałem jej. Ale nic jeszcze nie postanowiłem.

To chyba nieco uspokoiło Walta. Księżę podszedł do okna i oparł się o parapet. Martin cały czas spoglądał na niego, bębniąc palcami zdrowej dłoni po biurku. Napięcie między nimi zelżało, wciąż jednak było obecne.

– O co ci chodzi? – zapytał Martin. – Dlaczego tak ci zależało, żebym się z nią nie kontaktował?

– Bo nie jest ci do niczego potrzebna – odparł Walt. – Nie potrzebujesz jej pomocy, jej sprzymierzeńców, tego wszystkiego, co ci proponuje.

– Potrzebuję. Przecież widzisz, że stoję w miejscu, że depczę po własnych śladach. Cały czas wiedziałeś, że ona ma mi coś do zaoferowania! Coś, czego mi brakuje!

– Potrafisz dojść do tego samodzielnie. Bez jej pomocy.

– A jeśli nie?

– To zbyt duże ryzyko, Martin. Lepiej nie igrać z ogniem.

Martin przewrócił oczami.

– Och, proszę, tylko mi nie mów, że się rozprysnę pod wpływem ognia jak kolba! Już to przerabiałem.

Walter przez chwilę obserwował go w milczeniu.

– Szkło laboratoryjne nie pęknie tak łatwo pod wpływem ognia. – Na jego ustach pojawił się gorzki uśmiezek. – Może się co najwyżej okopcić i zrobić czarne, a tego bardziej się boję. Wiedziałybyś, gdybyś

mieszkał u alchemików

– Czekaj, że niby co? – Teraz to Martin uśmiechnął się szyderczo. – Chcesz chronić moją niewinność?

– Ostatecznie jestem księciem z bajki.

– Ale ja nie jestem Ely! Mnie nie trzeba ratować!

Walter ukrył twarz w dłoniach, próbując się uspokoić.

– Pamiętasz, co mówiłem ci latem? Chcesz po prostu zostać lalkarzem, najlepszym w swoim fachu. Chcesz tworzyć sztukę, dzielić się nią z innymi, zachwycić ich. To ty masz wykorzystać Kolegium, nie ono ciebie. Wziąć od niego tylko to, czego potrzebujesz do własnych celów.

– To było przed egzaminami – odparł Martin, zaciskając zdrową dłoń w pięść. Kontuzjowana ręka wciąż pulsowała dotkliwym bólem. – Przed tym, jak poznałem całą prawdę o Klarze, przed Ely, przed zniknięciem Canelle, przed... – Urwał, myśląc o poprzednim wieczorze. O strachu o Waltera. O Nedzie. – Teraz to nie ma znaczenia. Teraz chcę po prostu dorwać sukę, która jest za to odpowiedzialna.

– Nie. – Walter wciąż świdrował go wzrokiem. – Nie chcesz dorwać tej suki. Ty wciąż chcesz zostać artystą. Wciąż chcesz spełnić swoje marzenie. To, co wydarzyło się od tamtej rozmowy, nie miało na to wpływu. Podoba ci się tu, chcesz się uczyć, wiesz, że jesteś w tym dobry. I nie rozumiem, czemu nie potrafisz się do tego po prostu przyznać. To przecież nic złego.

Martin przez chwilę to otwierał, to zamykał usta. Musiał przyznać, że Walt go zaskoczył. Spodziewał się

wykrętów, możliwie jak najbardziej taktownego tłumaczenia, że wcale nie chciał nic ukrywać, że tak jakoś wyszło. Zamiast tego książę po prostu powiedział mu, że uważa go za osobę, której nie obchodzą czyny Eriki Ekhart i do której przemawiają absurdalne metody nauczania Kolegium.

– Mniejsza – powiedział, kręcąc głową. Nie chciał teraz tego roztrząsać. – Co z tobą?

– Co ze mną? – Walt popatrzył na niego roztargniony.

– Greem opowiedział mi, co się wczoraj stało. I co stanie się jutro. Znaleźli twoją marionetkę na miejscu zbrodni, mogą cię oskarżyć.

– Trudno.

– Walt, do cholery! Dobrze wiem, że to nie ty zabiłeś Neda! Nie potrafiłbyś...

– Zabić? – zadrwił Walter. – Jesteś pewien?

Przed oczami Martina natychmiast pojawiła się scena z letniej rezydencji księcia. Krew. Nóż w dłoni Walta. Martwa Ely w jego objęciach.

– To było co innego – powiedział, starając się odgonić niepokojącą wizję. – Kompletnie inna sytuacja. Posłuchaj... Wierzę, że tego nie zrobiłeś. I nie pozwolę cię tak po prostu stąd wywalić! Udowodnię im, że to nie ty!

– Mało ci jeszcze? – zapytał Walt, podnosząc na niego wzrok. Martina nie zdziwił brak wdzięczności, chociaż spodziewał się większego entuzjazmu. Zaniepokoił go za to ból w ciemnych oczach księcia. – Mało ci, że już tutaj trafiłem? Mało ci, że jestem najsłabszym ogniwnem?

– Nie jesteś najsłabszym ogniwem! Dobrze ci idzie, jesteś lepszy ode mnie w warsztacie. Po prostu masz gorszy okres i...

– Tego Greem ci nie wytłumaczył, prawda? – Walt uśmiechnął się szyderczo. – W sumie nie jestem zaskoczony. Musiałby powiedzieć też o sobie...

– O czym? – zapytał Martin, teraz już nie na żarty przestraszony jego tonem. – O czym miałby mi powiedzieć? Co wytłumaczyć? O co chodzi, Walt?

– Jeden z tych małych, perfidnych niuansów procesu rekrutacji – odparł książkę i zapatrzył się w ciemność za oknem. – Zawsze przyjmują jedną osobę na specjalnych warunkach. Kogoś, kto właściwie nie wypełnił zadania poprawnie albo zrobił po drodze coś, za co powinien zostać wykluczony. Wiesz dlaczego?

Martin poczuł dziwny ucisk w gardle. Nie znał odpowiedzi, ale doskonale wiedział, że przecież tak właśnie na uczelnię trafił Walter. Nie wykonał swojego zadania – zabił osobę, którą zadeklarował się chronić, a mimo to został przyjęty. Do tej pory Martin sądził, że to efekt jego blefu, pierwszy spektakularny sukces na polu manipulacji. Za bardzo sobie schlebiał.

– Taka osoba jest słabsza – wyjaśnił Walt. – Albo ze względu na to, że brakuje jej potrzebnych umiejętności, albo jest blokowana przez poczucie winy i strach, albo po prostu nad sobą nie panuje, bo egzamin okazał się zbyt dużym wstrząsem. Jest najsłabszym ogniwem. Najłatwiej przyjmuje wobec reszty grupy rolę ofiary, a nawet jeśli

jakimś cudem tego uniknie, to zazwyczaj pierwsza się łamie. Pierwsza daje się sprzątnąć komuś sprytniejszemu, daje się w coś zrobić albo sama traci nad sobą kontrolę i robi coś głupiego.

– Ale przecież... Przecież to dokładnie to samo, co robili podczas procesu rekrutacji! To, o czym opowiadał mi Podróżny! Że musieli zabić komuś siostrę, że... że tak motywowali do tego, by wybrać sobie zadanie...

Walter powoli skinął głową.

– Jeśli chodzi o Kolegium, nie ma przypadków – przyznał. – Jeśli kogoś przyjmują, mają tym jakiś cel. Rok temu przyjęli Greema, chociaż nie dokończył zadania – powiedział. – Pamiętam to, mieszkałem już wtedy u niego. Nie chciał iść, buntował się. Specjalnie skopał sprawę, bo wiedział, że alchemicy go obronią. Wzięli go tak czy inaczej, właśnie po to, żeby był najsłabszym ogniwem. I żeby lepiej kontrolować alchemików, którzy przestali otwarcie sprzeciwiać się Kolegium, wiedząc, że ich dziedzic jest tutaj. Bo widzisz – skrzywił się – w tej całej zabawie nawet niekoniecznie chodzi o to, żeby najsłabsze ogniwo zginęło lub zostało wyrzucone. Jak to rozegramy, to nasza sprawa. Chodzi o to, żeby ktoś taki po prostu był. Żeby odpowiednio wcześnie uległ presji i dał pretekst do wszczęcia śledztwa. Rozumiesz?

Martin milczał. W tym roku to Walt był najsłabszym ogniwem. Został specjalnie przyjęty do Kolegium z nagięciem przepisów, z premedytacją, by doprowadzić do sytuacji z poprzedniego wieczora. I to Martin był za to

odpowiedzialny.

Uświadomił sobie coś jeszcze.

Przecież nie on jeden zawiódł, mogło paść na każdego. Wzięli Walta, bo wiedzieli, że przyjaźni się z Martinem. Że mogli go szantażować tak, jak trzymali w szachu alchemików za pośrednictwem Greema.

– Nie chciałem ci mówić. – Księżę położył mu dłoń na ramieniu. – Żebyś nie czuł się winny. Wiem, że chciałeś dobrze.

Martin popatrzył na niego niepewnie.

– Zrobiłeś dla mnie już dostatecznie dużo – przyznał Walt. – Proszę, nie rób nic więcej.

– Chcesz, żebym odsunął się podczas tego dochodzenia? Żebym cię nie bronił? – Martin teraz naprawdę się bał, że mógłby pogorszyć sprawę.

– Victor się tym zajmie – odparł Walter, siląc się na uspokajający uśmiech. – Widział mnie tamtego wieczora, kiedy zginął Ned. Zaświadczy o mojej niewinności.

Jeszcze kilka minut temu Martin nie uwierzyłby, że tak racjonalna wypowiedź może go zabołec.

Zaboląła.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Martin był zbyt wzburzony po rozmowie z Waltem, żeby tak po prostu iść spać. Siedział w kuchni w oczekiwaniu, aż zagotuje się woda na herbatę. W głowie

wciąż brzmiały mu propozycje i obietnice Iskry, i słowa, które padły między nim a księciem.

Otworzył okno, z którego roztaczał widok na Hradczany. Na rzekę, na światła. Na miasto pełne ciemności i jesiennych demonów, śpiewem ściągających ludzi na drugą stronę. Pełne pracowników krwiożerczego Kolegium, nazywających owe demony robactwem i manipulujących nimi wedle uznania. Pełne kluczników, alchemików i poszukiwaczy. Widok dokładnie taki, jak z okna w jego pokoju nad sklepem pani Althan. Nie zorientował się, kiedy do kuchni weszła Freddie. Nieudolnie próbowała zapalić papierosa. Płakała.

Martin popatrzył na nią z mieszaniną współczucia i zniecierpliwienia. Freddie od początku semestru usilnie starała się zerwać z wizerunkiem cichego, potulnego dziecka i wkupić w łaski uczelnianej elity. Znał to aż za dobrze. Klara też przechodziła taki etap przez pierwsze dwa tygodnie liceum, zanim nie uświadomił jej, jak bardzo jest to denerwujące. Może właśnie ten fakt – podobieństwo do Klary – wzbudził w nim cień sympatii?

– Poszłoby ci łatwiej, gdybyś jednak nie próbowała podpalić filtra – spostrzegł. Łypnęła na niego nieufnie spod czerwonej grzywki.

– Odczep się – burknęła, wciąż błyskając zapalniczką z niewłaściwej strony. W końcu jej się udało, a rozżarzony filtr roztoczył nieznośny smród. Skrzywiła się i wyrzuciła papierosa przez okno. – Co, zadowolony?

– Myślałem, że palenie wykracza poza twoją koncepcję zdrowego stylu życia – zauważył, siadając na parapecie obok niej. Kątem oka patrzył, jak dziewczyna męczy się z kolejnym papierosem. Dobrze, że przezornie wyprosiła od kogoś dwa.

– Nie twoja sprawa.

– Jak sobie chcesz.

Przez chwilę oboje milczeli.

– Słuchaj, możesz być denerwujący gdzie indziej? – Nie wytrzymała wreszcie dziewczyna. – Chcę zostać sama.

Martin popatrzył na nią zdziwiony.

– Denerwujący? – powtórzył.

– Martin, proszę cię! – prychnęła. – Wiem, co chcesz powiedzieć. „Chciało ci się pchać do popularnych dzieciaków, ale tak naprawdę jesteś takim samym frajerem jak ja, więc możesz już przestać udawać”, co nie? Proszę bardzo, przyznaję się do porażki! Zadowolony? Uznali, że to ja jestem winna, chcą mnie wrobić. Po tym wszystkim myślałam, że...

– Że się z tobą kumplują? – zaryzykował. Popatrzyła na niego z politowaniem.

– Że są pod moim wpływem. – Przyglądała się zapalonemu, tym razem poprawnie, papierosowi. – Do tej pory zawsze działało. Nie uwielbiali mnie, ale traktowali jak swoją. Liczyli się z moim zdaniem. Wiedzieli, że nie można ze mną zadzierać. Byłam... byłam szarą eminencją. A teraz... Dlaczego to nie działa? – zapytała.

Martin nie był pewien, czy pytała jego, czy samą siebie, ale mimo to poczuł się zobowiązany odpowiedzieć:

– Dlatego, że nie jesteś już w swojej szkole. Jesteś w Kolegium Iluzji i Manipulacji. Nie masz do czynienia ze zwykłymi szczeniakami z publicznej, mającymi siano w głowach. Masz do czynienia z ludźmi, którzy od lat zajmują się manipulacją i mają o wiele większe doświadczenie. Jeśli chcesz z nimi wygrać, musisz ich docenić.

Dziewczyna wpatrywała się w niego uważnie. W ciemnych oczach złość walczyła z zaciekawieniem. Milcząco zgmiotła papierosa.

– Mówisz jak Mistrz Johan – zauważyła. – Dobranoc, Martin.

Odwrócił się do okna, zanim jeszcze Freddie zdążyła opuścić kuchnię. Wpatrując się w zasypiające miasto, zastanawiał się, jak bardzo sam był skłonny docenić dziewczynę i jak użytecznym sojusznikiem mogłaby się okazać.

O ile tylko okoliczności byłyby odpowiednie.

FREDDIE

– To już pewne?

– Tak. Obawiam się, że tak, Mistrzu.

Podniosła głowę znad książki. Rozpoznawała te głosy. To byli Taro i Johan. Czuła, że serce znowu jej przyspiesza, a mięśnie się napinają. Ledwo co zaczęła się uspokajać po spotkaniu w warsztacie, na którym przedstawiono im raport dotyczący miejsca zbrodni i wytłumaczono zasady projektu zaliczeniowego, jakim było znalezienie mordercy. Siedząca na miejscu Neda marionetka przysłuchiwała się wszystkiemu milcząca i obojętna. Krzesło Nel było puste.

Projekt zaliczeniowy – dobre sobie.

Głosy były coraz wyraźniejsze.

– Ale że Morty? Cholera, wiedziałem, że to tak się skończy. Tak właśnie się dzieje, kiedy ktoś daje Mortimerowi grupę pod opiekę. Ani trochę się nie zmienił. Mówiłem Erice, że to zły pomysł, żeby...

– To jedyne, co mogła zrobić, żeby uniknąć powtórki z Oksfordu. To, że wprowadziła nowy system zakładający... selekcję naturalną nie oznacza przecież, że chce tutaj aż takiej masakry. Musiała sprowadzić tu Podróżnego, żeby jej uniknąć. Jeśli ktoś może zapanować nad tym... czymś, to tylko on.

– Ale żeby dawać mu pierwszorocznych pod opiekę?!

– Inaczej by go nie przekonała. Jest twardym negocjatorem.

– A teraz zamierza wprowadzić wciąż niestabilnego emocjonalnie dzieciaka do grupy, w której trwa przedwcześnie rozpoczęta faza śledztwa. I do tego jeszcze dziecko z Trollowego Mostu...

– Morty uznał, że to może być ciekawy czynnik. No wiesz, wprowadzenie do gry kogoś, kto z całą pewnością jest poza podejrzeniami i obserwowanie, jak dzieciaki to rozegrają.

Taro wydał z siebie cichy jęk.

– Nie podoba mi się to – oświadczył.

– Barker cały czas tu będzie. Zajmował się młodym po incydencie w Oksfordzie, teraz też będzie miał na niego oko.

– To mnie ani trochę nie uspokaja.

– A co z Zegarmistrzem? Jakies nowe wieści?

– Dieter się tym zajmuje. Wie, co robi, łapanie demonów to jego specjalność. Prędzej czy później trafi na ślad porywaczy.

Freddie ostrożnie rozejrzała się po bibliotece, próbując wy badać, skąd dokładnie dochodzą głosy. Zdziwiła się, gdy napotkała spojrzenie ciemnoniebieskich, niemal granatowych oczu Martina Lubovica. Nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do biblioteki. Nie miała jednak wątpliwości, że również słyszał całą rozmowę i raczej nie było w tym nic z przypadku. Nie po raz pierwszy przyłapywała go na samotnym przemierzaniu korytarzy

i podsłuchiwaniu przy drzwiach. Popatrzył na nią porozumiewawczo i skinieniem głowy wskazał drzwi. Bez słowa zarzuciła torbę na ramię i wyszła.

Martin dogonił ją dopiero za rogiem. Nie chciała zatrzymywać się tak blisko biblioteki, by nie natknąć się na Johana albo Taro – mogliby domyślić się, że coś słyszała. O ich grupie. O Oksfordzie. O jakimś uczniu, którego planowali tutaj przenieść. Lubovic zrównał z nią krok. Przez chwilę szli obok siebie bez słowa. *Naprawdę wygląda jak laska* – pomyślała, z rezygnacją kręcąc głową.

– Musimy się spotkać i pogadać – powiedział, wyprzedzając ją. – Poza uczelnią.

Co do tego się zgadzała. Z każdym dniem mieli coraz więcej wspólnych tematów, zaczynając od projektu zaliczeniowego, a kończąc na podsłuchanej przed chwilą rozmowie.

– Zajęcia dodatkowe – odparła. – Kończę po dziewiątej. Możemy się spotkać na mieście.

– Chodzisz na zajęcia dodatkowe? – zdziwił się. Miała ochotę go uderzyć torbą w głowę za to zdumienie. – Od kiedy?

– Od dzisiaj. A od kiedy ty masz kota?

Martin został chwilę po zajęciach, by spytać Podróżnego, czy można trzymać w pokojach koty, czym wywołał lawinę spekulacji dotyczących tego, czy to on jest mordercą Neda i jaki udział miał w tym sierściuch.

– Miałem od soboty – wyjaśnił. – Ale Podróżny go

skonfiskował, bo podobno jednak jest ogólny zakaz trzymania zwierząt w Klementinum.

Chochlik ukryty w rękawie Freddie poruszył się niespokojnie. Nie chciał być skonfiskowany, a ona nie zamierzała go oddawać.

– Muszę iść na swoje zajęcia z muzyki – powiedziała, próbując niepostrzeżenie uspokoić stworzonko. – Do zobaczenia później.

Właściwie nie wiedziała, czemu jednak zdecydowała się przyjść. Chyba podjęła decyzję, w momencie kiedy powiedziała o tym Lubovicowi. Adres, który podał jej Dieter, prowadził do posterunku policji na starym mieście. Ciekawe.

Właściwie to zdziwiło ją już to, że tamtego straszego, sobotniego wieczora – kiedy wszyscy biegali po korytarzach Klementinum, próbując zorientować się, co się stało – Mistrz Dieter podszedł do Freddie i zapytał, czy nie chciałyby zacząć trenować sztuk walki pod jego nadzorem. Nie miała pojęcia, skąd o tym wiedział – może Taro wspomniał o tym, jak radziła sobie na zajęciach kondycyjnych, może sam dostrzegł w niej talent? Ta myśl sprawiała, że nagle poczuła się dumna i onieśmielona jednocześnie. Tak czy inaczej trafił w dziesiątkę. Freddie przez lata trenowała judo w swoim rodzinnym mieście i teraz, po przeprowadzce do Pragi, wszystkie treningi Mistrza Taro razem wzięte nie mogły jej zastąpić

ulubionego sportu. Nie znając miasta ani języka niełatwo jej było znaleźć odpowiednią grupę – zwłaszcza przy szaleńczo przeładowanym planie zajęć. Dlatego też propozycja Mistrza Marionetek spadła jej z nieba. Myślała nad tym przez cały weekend.

I oto była. Stała przed budynkiem posterunku, zastanawiając się, co dalej.

– Jak myślisz? – mruknęła do przyczajonego za kołnierzem jej bluzy Chochlika. – Powinniśmy wejść?

Podniosła wzrok i zerknęła na ścianę budynku. Jej cień uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową.

– Uznam to za tak – powiedziała, chowając dłonie do kieszeni.

Czując się nieco głupio, zagadnęła najbliższego policjanta, pytając o kurs samoobrony, który podobno miał się tu odbywać.

Mężczyzna pobladł nieco i wymamrotał coś, ale otworzył drzwi i wskazał drogę do piwnicy. Z duszą (oraz Chochlikiem) na ramieniu zeszła w dół. Kiedy pchnęła drzwi, okazało się, że rzeczywiście jest tam wyłożona materacami sala treningowa.

– Spóźniłaś się – stwierdził Dieter, nawet na nią nie patrząc. Stał w otoczeniu kilku osób. Freddie ze zdziwieniem stwierdziła, że niektórych spośród nich kojarzy z widzenia. Różowowłosa dziewczyna śpiewała kiedyś w Knajpie Morderców, kiedy Lubovic ich tam zaprowadził. Dwie inne osoby również wydawały jej się znajome. Z pewną ulgą stwierdziła, że nikt nie miał

odpowiedniego stroju. Wszyscy nosili przypadkowo pozbierane, luźne ubrania. Dobra wiadomość, biorąc pod uwagę to, że brak kimona był kolejnym powodem, dla którego do tej pory zwlekała z szukaniem nowego klubu.

– Ale jestem – powiedziała, odważnie spoglądając w jego chłodne, błękitne oczy.

– Dziesięć okrążeń wokół sali.

– Słucham?

– Dziesięć okrążeń. To chyba nie jest dla ciebie problem, adeptko? – Uśmiechnął się krzywo. – Na zajęciach biegacie więcej. Poza tym powinnaś zwracać się do mnie: „Mistrzu”.

Z rezygnacją zabrała się do wykonywania kary. Ominęła ją przez to część przemowy Dietera do uczniów. Wyłapała tylko, że mówił coś o ptakach i o pieśniach. To też kojarzyło się jej z piosenką śpiewaną jesienią w Knajpie Morderców. Skończyła biegać i dotarła akurat na czas, by usłyszeć koniec wypowiedzi.

– Wiem, że wszyscy tutaj mają jakieś talenty, z których nie zdają sobie sprawy albo których się boją i po prostu potrzebują pomocy w znalezieniu sposobu na wydobywanie swojego pełnego potencjału – powiedział, przenosząc wzrok na Freddie. – No, a teraz do roboty, moje ptaszyny! – Uśmiechnął się złowieszczo. – Walki jeden na jeden, partery. Magpie, weź nową.

Po godzinie Freddie musiała przyznać, że jednak nieco odwykła od walki i mimo że kondycyjnie była

przygotowana, nie potrafiła dotrzymać tempa pozostałym członkom grupy Dietera. Nawet różowowłosa Magpie, znacznie mniejsza i drobniejsza od Freddie, potrafiła bez większego problemu rzucić nią o materac. Sytuacji nie poprawiał fakt, że Dieter był ostry. Już wtedy, w Klementinum, nie wyglądał na miłego faceta i głównie dlatego tak długo zastanawiała się nad przyjściem na spotkanie.

Wychodziła z posterunku, lekko utykając i trzymając się za obolałe żebra. W jakiś sposób to jej pomogło. Ucząc się nowych chwytów i starając się nie dać się do końca sponiewierać, na chwilę zapomniała o Kolegium. O tym, co wydarzyło się w weekend, o wszystkich przepychankach w związku z projektem zaliczeniowym. Szła ulicą, w milczeniu słuchając zapewnień Magpie, że nie powinna się przejmować, bo świetnie sobie poradziła i Mistrz musi ją bardzo cenić, skoro postanowił ją w ogóle zaprosić. Że należy teraz do jego kręgu zaufanych i powinna we wszystkim go słuchać.

Magpie jako pierwsza osoba w Pradze okazała jej życzliwość i szczerze zainteresowanie. Współlokatorka Freddie – Lotta – była uprzejmą, ale raczej milczącą seryjną morderczynią. Gus nie wiedział, kiedy się zamknąć, a Ana, Jo i Victor zaliczali się do kategorii, którą Freddie określała mianem „gówna w bombonierce”. Próbowwała wprowadzić swoją strategię z liceum i zdobyć ich przychylną, jednak odbiła się o ścianę milczenia i obojętności. Cholerny Martin miał

rację – to całkiem inny poziom.

Martin!

Przypomniała sobie, że przecież zgodziła się z nim spotkać. Wymruczała przeprosiny pod adresem Magpie i pobiegła w stronę kawiarni, w której się umówili. Z jakiegoś powodu Lubovic upierał się, że popularny, sieciowy lokal będzie najlepszym miejscem do omawiania wspólnej strategii. Nie było sensu się z nim sprzeczać.

Siedział właśnie przy stoliku i stukał w klawisze laptopa, kiedy zauważył, że dziewczyna wchodzi do kawiarni.

– Sorry – burknęła, podchodząc do stolika. – Trening się przedłużył. Spóźniłam się?

Martin pospiesznie zamknął laptopa.

– Nie, spoko. Jesteś na czas. – Popatrzył na nią ze zdziwieniem. – Mało ci jeszcze tej masakry u Taro?

Uśmiechnęła się z satysfakcją i odgarnęła z czoła wilgotne od potu włosy.

– Daj spokój, Taro to mięczak – odparła. – Ciesz się, że nie trafiłeś na tego mojego Mistrza. Psychol-sadyta prima sort, omal nie złamał mi dzisiaj ręki. Taki chwyt na nadgarstek. Pokażę ci, chcesz?

– Nie, raczej nie... – Martin odruchowo pomasował rękę wciąż osłoniętą opaską usztywniającą..

Frederika popatrzyła na niego z politowaniem.

– Dobra – burknęła. – Nie to nie.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła na nim, zaplatając

ręce na piersi. Martin wziął głęboki oddech.

– Spotkałem się z tobą, bo wiem, że słyszałaś to samo, co ja i uznałem, że warto byłoby o tym pogadać.

– To, o czym rozmawiali Johan i Taro? O Podróżnym i... jakimś kolejnym dzieciaku?

Martin skinął głową.

– Słyszałaś coś o tej oksfordzkiej szkole? – zapytał. – O tym, co mogło się tam stać?

– Pytasz niewłaściwą osobę. – Wzruszyła ramionami. – W ogóle nie wiedziałam nawet o istnieniu Praskiej Szkoły Lalkarzy, dopóki nie dostałam listu. Ale to zabrzmiało tak, jakby istniały uczelnie jeszcze bardziej przerabane od naszej. To na swój sposób budujące.

Martin upił łyk kawy i uśmiechnął się blado.

– Kupiłem ci wodę mineralną – powiedział, wskazując na stojącą na stoliku butelkę. – Zauważyłem, że raczej nie pijasz kawy.

– Dzięki. – Musiała przyznać, że została pozytywnie zaskoczona. Mało kto pamiętał. I mało kto traktował jej obsesję na punkcie zdrowego odżywiania poważnie. – Mam to traktować jak fajkę pokoju?

– Jeśli chcesz. – Skinął głową. – Zastanawiam się... Jakie są szanse, że ten cały Barker, o którym wspominali, to nasz instruktor poruszania się po drugiej stronie? Ten, o którym Podróżny wspomina od początku roku i który cały czas jakoś odkładał swój przyjazd?

– Moglibyśmy go zapytać, czy czegoś nie wie. O tej oksfordzkiej szkole i w ogóle.

Martin pokiwał głową w zadumie.

– Słuchaj – odezwał się po dłuższej chwili. – Myślałem o tym wszystkim. O tej rozmowie i o całej tej sprawie ze śledztwem.

– I co wymyśliłeś?

– To trochę jak z grą w mafię – powiedział, pocierając brodę. Zerknął na dziewczynę, upewniając się, że wie, o czym mowa. – No wiesz, taka gra towarzyska. Jedna osoba jest mistrzem gry, podczas gdy pozostali uczestnicy odgrywają role mieszkańców zdominowanego przez mafię miasta. Kiedy mistrz gry mówi, że w mieście zapada noc i wtedy wszyscy muszą zamknąć oczy. Można je otworzyć dopiero kiedy mistrz gry powie, że jest już dzień. W nocy mafia zabija, w dzień obywatele muszą ją znaleźć i przy okazji nie zabić tego, kto próbował ją rozpracować. Nie mają żadnych dowodów, tylko domysły, podejrzenia, wnioski oparte na czyimś zachowaniu albo wymianie spojrzeń. Większość decyduje, mniejszość jej ulegnie albo zostanie przegłosowana. Nie możemy dopuścić do tego, żeby to nas przegłosowano.

Dziewczyna słuchała z rosnącym zaciekawieniem.

– Sprecyzuj – poprosiła, tym razem już znacznie mniej wyniosłym tonem. – Jak to się odnosi do nas?

– Ja wiem, że nie zabiłem Neda. – Martin ściszył głos. – Wiem też, że nie zrobił tego Walter, chociaż nie mam żadnych dowodów. Nie sądzę też, żebyś zrobiła ty to – dodał. – Dopuszczam taką możliwość, ale według mnie

jest znikoma.

– Och, bardzo ci dziękuję! – prychnęła. – Nie zabiłam tego cholernego hipisa! Niby po co miałabym to robić, skoro nawet z nim nie gadałam?

– No właśnie. Gdyby zginęła Jo, Vic albo Ana, byłabyś dla mnie pierwszą podejrzaną, ale w takim układzie raczej jesteś potencjalnym kozłem ofiarnym. Chcę cię przed tym ochronić, dlatego współpraca jest w twoim interesie. Spójrz. – W pośpiechu narysował na kartce krąg składający się z dziesięciu kropek. Ich grupę, w której miejsce Neda zajmował znak zapytania. – Podróżny powiedział, że tak naprawdę nie będą sprawdzać, czy wskażemy winnego poprawnie. Po prostu mamy kogoś jednomyślnie wskazać. Zakładam jednak, że lepiej byłoby wskazać mordercę, bo coś mi mówi, że na tym jednym projekcie się nie skończy, a chciałbym mieć to z głowy w drugim semestrze. Morderca, kimkolwiek jest, pragnie zostać niewykryty. Będzie chciał pozbyć się Walta, ciebie lub mnie.

– Jak dla mnie pierwszym oczywistym typem po Walterze i tobie jest Lotta – zauważyła Freddie. – I to właśnie próbowałam im zasugerować, kiedy stwierdzili, że to ja – dodała kwaśno.

Nie musiała dodawać, że nie wyszło.

– Oskarżać współlokatorkę? – Martin pokręcił głową. – Nieładnie. Nic dziwnego, że tamci się na ciebie wypięli. Ale Lotta jest pupilką Mortimera i podejrzewam, że w naszej grze może być policjantem. Nie zadzierałbym z

nią. Poza tym Gus cię zabije, jeśli powiesz o niej złe słowo.

– Zauważyłam. Prawie cały czas przesiadują w jej pokoju. Albo u niego.

– Dlatego Gus wskaże każdego, kto nie jest Lottą. I nie będzie za bardzo analizował.

– Nel, jeśli Podróżny ją wyleczy, będzie pewnie w takim stanie, że może wskazać każdego – powiedziała Freddie, podpierając brodę dłońmi. – Może Waltera. Może kogoś z nas. Ana wskaże tego, kogo wskaże Jo, a Jo wskaże każdego, kogo wskaże Victor – dodała. Martin zerknął na nią z zaciekawieniem. – No co?! To, że nie udało mi się wkręcić do naszych popularnych dzieciaków nie znaczy, że nie wiem, jak to u nich działa.

– Dzięki. To było użyteczne – przyznał. – No dobra, zastanówmy się, kogo może wskazać Victor.

– Raczej nie Jo i Anę – odparła poważnie Freddie. – Trzymają się razem, są z jednej uczelni i w ogóle. Jeśli wskaże którąś z nich, wszyscy zauważą, że coś nie gra. Zaczną to kwestionować, sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Nie zaryzykuje swojego autorytetu w taki sposób.

– Ręczysz za to?

– Tak.

– Jeszcze jedno – rzucił Martin. – Walter powiedział mi, że Vic zaświadczy na jego korzyść. Że będzie go bronił.

Freddie pytająco uniosła brwi.

– To nowość – przyznała. – Nie wyglądają na kumpli.

– Podobno bardzo dobrze się znają – odparł Martin. Odnotowała, że nie jest ani trochę zachwycony tym faktem. – Z dawnych czasów. Chodzą razem na piwo i w ogóle.

– Wiec tak naprawdę zostajemy my dwoje – westchnęła dziewczyna. – Którego z nas Victor nie lubi bardziej?

– Mnie – odparł bez namysłu Martin. – Ale to akurat świadczy na moją korzyść. Jeśli wskaże mnie, wszyscy uznają, że to dlatego, że chce się mnie pozbyć. Efekt będzie taki, jak gdyby oskarżył Jo albo Anę. Zaczną to kwestionować i jego autorytet pójdzie w diabły.

– Więc... pozostaję ja, tak?

– Na to wychodzi. Kumplujesz się z nimi, ale nie aż tak, żeby wskazanie ciebie było czymś dziwnym.

– Budujące jak jasna cholera

Martin dopił kawę i odstawił pusty kubek.

– Na pewno da się zrobić coś, żeby...

Freddie popatrzyła na niego nieufnie.

– Nie trzeba – powiedziała szybko. – To ja mam najbardziej przechlapane, nie musisz się nade mną litować. Poradzę sobie.

– Nie lituję się nad tobą – odparł. – Chcę zaproponować ci sojusz.

– Sojusz?

– Nie zagłosuję na ciebie, jeśli trzeba będzie wskazać podejrzanego Radzie. Jeden głos mniej może być tym decydującym, jeśli zdania będą bardzo podzielone. W zamian oczekuję tego samego.

– Dobra. – Wyciągnęła dłoń, starając się nie patrzeć w jego stronę. – Sojusz.

Martin uśmiechnął się i uścisnął jej dłoń prawą, zdrową ręką.

KOBOLD

Kiedy wreszcie wślizgnęli się do Klementinum – w którego kaplicy właśnie trwał koncert – i dotarli do części mieszkalnej, dostrzegli, że w progu kuchni stoi duży plecak. Wymienili pytające spojrzenia. Zanim jednak zdolali coś wywnioskować, jego właściciel pojawił się w drzwiach.

– Co tam? – zapytał wesoło. – Randka na mieście?

Martin zamrugął. Popatrzył na Freddie. Freddie wytrzeszczyła oczy na Martina.

W drzwiach kuchni stał wysoki, jasnowłosy chłopak. Opierał się beztrosko o framugę, w jednej dłoni trzymając laptopa, a w drugiej kubek termiczny, i wpatrywał się w Martina żółtymi jak u kota oczami.

– Wszyscy siedzą w swoich pokojach, jakby knuli nie wiadomo co. Nikt nie chce nawet wyjść na integracyjne piwo, a wy właśnie wracacie z miasta – zauważył. W jego głosie było coś bardzo zaczepnego. – Albo postanowiliście wspólnie zapolować na darmowe wifi, bo tutaj praktycznie go nie ma, albo skrycie się spotykacie i nie chcecie, żeby ktoś was przyczał. Albo wspólnie knujecie morderstwo.

– Co ty chrzaniasz? – odparowała natychmiast Freddie. – To tylko Martin, pracujemy razem nad... projektem zaliczeniowym.

Martin natychmiast wbił wzrok w lodówkę, jakby była najbardziej ciekawą rzeczą nie tylko w kuchni, ale i w całym Klementinum. W myślach pogratulował Freddie refleksu. Dziewczyna wciąż wpatrywała się w intruza.

– Jak masz na imię? – zapytała.

– Kobold – odparł złotoooki chłopak. – To znaczy ogólnie to John, ale w domu wszyscy przezywali mnie Kobold i tak zostało. Wiesz, pochodzimy z Walii. Mój brat próbował mi wkręcać, że jak byłem mały, zostałem podmieniony przez skrzaty. Moja rodzina jest nienormalna, mówię ci.

– Freddie Kruger – przedstawiła się Frederika, wyciągając do niego rękę.

– Jak ten morderca z horroru?

Uśmiechnęła się triumfalnie.

– I ty mi mówisz o nienormalnej rodzinie – prychnęła.

Martin wciąż wpatrywał się w lodówkę, udając, że wcale go tu nie ma i nie jest świadkiem bardzo oczywistego flirtu zapoznawczego.

– Wy też jesteście z pierwszego roku? – dopytywał z narastającym zaciekawieniem Kobold.

Freddie pokiwała energicznie głową. Stanowiła interesującą mieszankę arogancji z pensjonarską nieśmiałością. W odstępach pięciosekundowych.

– Świetnie, to chyba jesteśmy w jednej grupie – powiedział chłopak ze szczerym, nieskrywanym entuzjazmem.

– Właściwie jest tylko jedna grupa – spostrzegł Martin.

– Dość mała.

I sukcesywnie się zmniejszająca – dodał w myślach.

– Tym lepiej. Łatwiej będzie się bliżej poznać. Ty jesteś stąd, prawda? – zapytał znów Kobold, spoglądając z zaciekawieniem na Martina. – Z Pragi?

Widząc pytający wzrok adepta, wskazał kolekcję przypinek na jego torbie. Martin miał ją od liceum, wciąż więc pełno było na niej znaczków ze wszystkich miejscowych warsztatów teatralnych, w których brał udział. Wielki napis: „Praga” na co drugim aż raził.

– Z Černego Mostu – doprecyzował. – To w sumie na przedmieściach.

– Super! Może pokażesz mi jakieś fajne miejsca, gdzie się można zabawić, co? Powiem co bardziej ogarniętym osobom z roku, na pewno chętnie się przyłączą. Podobno nie ma to jak czeskie piwo.

Martinowi przyszło do głowy, że jeśli chodzi o wspólne wyjścia na piwo, spóźnił się o dobre kilka tygodni.

– Czemu przyjechałeś aż tutaj? – spytała Freddie, żeby zmienić temat. – Powiedziałeś wcześniej, że jesteś z Walii.

Kobold z roztargnieniem podrapał się po głowie.

– Kretyńska sprawa, szczerze mówiąc – przyznał. Wydawał się nieco zagubiony. Jakby próbował sobie przypomnieć jakiś bardzo niejasny i poplątany sen. – Chciałem iść do szkoły teatralnej w Londynie, ale wyszła ta sprawa z listem i w ogóle. Już nie pierwszy raz mam do czynienia z takim nawiedzonym spamem. Głupie

żarty moich braci i tyle. Tym razem się wkurzyłem. Postanowiłem iść za ciosem i sprawdzić, jak daleko są w stanie zabrnąć ze swoimi wkrętami i przyznaję, że idzie im nieźle. Ta uczelnia też wygląda całkiem prawdziwie.

– Ale... – Martin zerknął na niego zaskoczony. Może było późno? A może po prostu się przesłyszał?

– Ja też nie wierzę, że to się dzieje – ciągnął rozmówca.

– Cały czas czekam, aż Jim i Jack wyskoczą z za rogu i powiedzą mi, że to ich kolejny kretyński żart.

Martin zamrugał. Miał przed sobą osobę, która trafiła do Praskiej Szkoły Lalkarzy... do powiązanej z drugą stroną uczelni Kolegium w przekonaniu, że to wszystko jest niezłym żartem!

– A... zadanie testowe?

– Ach, to? – Kobold wzruszył ramionami. – Wyzaczyłem test dla mojej cierpliwości i obiecałem sobie, że nie zamorduję moich braci, choćby nie wiem jak bardzo mnie wkręcali z tą uczelnią.

– Ciekawy pomysł – przyznała nieufnie Freddie.

Kobold pokiwał głową i ziewnął.

– No, miło się gawędziło! Ale wiecie, dopiero co przyjechałem i muszę się jeszcze rozpakować. I, szczerze mówiąc, padam na pysk. No to ten... Do zobaczenia jutro na zajęciach.

– Cześć, Kobold – powiedziała Freddie, wpatrując się w niego oszołomiona.

Odczekali dokładnie pięć minut. Później Freddie otworzyła okno i wyciągnęła papierosa, jednak nie

zapaliła. Po prostu obracała go w palcach, jakby zastanawiając się, czy sytuacja jest wystarczająco dramatyczna.

– On nic nie czai – powiedziała. Fascynacja mieszała się ze współczuciem i strachem. – Tak totalnie... Totalnie nic nie czai!

– No, nie czai – zgodził się Martin. – Cholera, to musi być ten, o którym rozmawiali Johan i Taro...

– Incydent oksfordzki? – domyśliła się Freddie.

– Jest z Wielkiej Brytanii. Pasowałoby, żeby trafił do Oksfordu. Tak jak tamci mówili, sprowadzili go do Pragi.

– Jak myślisz, co tam się stało? – zapytała. – W Oksfordzie?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Ale to musiało być na tyle duże, że nawet Erika Ekhart wolała tego uniknąć. A widziałaś jej egzaminy wstępne.

– No, widziałam – potwierdziła. Do tej pory nie zdradziła, jak wyglądał jej test. – Martin, nie możemy tego tak zostawić – powiedziała nagle. – Przecież cholera wie, co mu się przydarzyło. Wygląda tak, jakby tego nie pamiętał!

– Nie możemy – przyznał. Powstrzymał się od uwagi, że Frederika może mieć całkiem inne, osobiste powody do przejmowania się nowym uczniem. – Posłuchaj, nie chcę wciągać w to nikogo więcej. Normalnie wtajemniczyłbym też Waltera, ale on ma już wystarczająco dużo problemów. Zatem... będziemy się

nim opiekować, dobra? Ty i ja. Będziemy go chronić przed tamtymi tak długo, jak się da. Przed tym, co się tutaj dzieje.

– Masz nadzieję, że dzięki temu, jeśli pozwolą mi głosować, będzie po naszej stronie?

– Nie – odparł. Jednak przeszło mu to przez myśl i Frederika chyba to zauważyła. – Po prostu tak trzeba.

– Wiem. – Freddie pokiwała głową. – Tak trzeba.

Udawało im się chronić Kobolda przez cały tydzień. Kiedy tylko pojawiał się temat Neda i jego mordercy, natychmiast wpadali na pomysł, żeby iść na spacer, pokazać nowemu znajomemu uczelnię lub coś mu wytłumaczyć. Mistrzynią w tym była Freddie, która raz po raz zgarniała go na bok, żeby pogadać z nim na osobności. Kiedy jednak w poniedziałek weszli do sali, w której zazwyczaj odbywały się zajęcia z Amy Dot, wykładowczynie jeszcze nie było, zaś pozostali adepci siedzieli na krzesłach i stolikach, tworząc niezbyt foremny krąg.

Nel wciąż była nieobecna. Walter siedział przy swoim stoliku, blady i niewyspany. Koszmary wciąż nie dawały mu spokoju.

– Uważam, że powinniśmy się tym zająć jak najszybciej – naciskał Gus. – Im szybciej, tym lepiej, mówię wam. Wyrwać chwast!

– Podróżny powiedział, że mamy czas do końca

semestru – zauważyła Jo. – Że wtedy jest ostateczny moment, żeby wskazać... – Zawahała się, widząc minę Waltera. – Żeby wskazać osobę, która jest za to odpowiedzialna.

– Och, naprawdę! – Gus popatrzył na nią zniesmaczony. Prawie nikt nie zwrócił uwagi na to, że Martin wszedł do sali w towarzystwie Freddie i Kobolda. Tylko Walter oszczędnie skinął im głową na powitanie. – Przynajmniej mogłabyś nazywać rzeczy po imieniu. Mordercę. Mamy znaleźć mordercę. I to szybko, zanim wykończy kogoś jeszcze.

Ana popatrzyła na niego i nagle pobladła z przerażenia.

– Myślisz, że wykończy? – zapytała, na wszelki wypadek łapiąc Jo pod ramię.

– Nie, kretynko ze szkoły przygotowawczej! – Chłopak wzniósł oczy ku niebu. – Będzie grzecznie siedział, czekając aż go znajdziemy i wskażemy, bo właśnie tak w normalnym świecie działają mordercy. Siedzą grzecznie i czekają na proces.

– No wiesz. – Victor obrócił się do niego, wyraźnie znudzony. – Jeśli planujesz jeszcze kogoś załatwić, to może od razu się przyznaj, rzeczywiście będzie szybciej.

Freddie rzuciła torbę na ławkę i zajęła swoje miejsce.

– Jesteś taki odważny, bo Lotty nie ma w zasięgu wzroku i nareszcie mówisz to, co myślisz? – prychnęła. – Czy po prostu już sam nie wiesz, na kogo rzucać podejrzenia i strzelasz na ślepo?

Victor posłał jej złośliwy uśmiech.

– Ja nikogo nie podejrzewam – odparł. – Nikt nie jest winny, dopóki nie udowodni mu się winy. Nie uważasz, Ruda?

– Właśnie – poparła go Jo. – Nie wiem, czy nie zauważyłaś, ale w przeciwieństwie do ciebie Vic nikogo nie oskarża!

– Świetnie – odparła Freddie. – To w takim razie, drogi Victorze, co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

– Obserwować – zalecił chłopak. Jego lodowato błękitne oczy wpatrywały się w Martina. Wyzywająco, oskarżycielsko. – Prędzej czy później winny sam popełni błąd i zdradzi się, a wtedy go dopadniemy.

Kobold spoglądał pytająco to na Freddie, to na Martina. Zanim którekolwiek zdążyło mu cokolwiek wyjaśnić, przyszła Amy Dot, żeby opowiadać im o tym, jak manipulować innymi za pomocą wzbudzania współczucia.

– Nie jestem pewien, o co tu dokładnie chodzi – stwierdził Kobold. Freddie i Martin popatrzyli na siebie niepewnie. Właśnie schodzili po schodach, przygotowując się na kolejną porcję nudnego przekazywania wiedzy w wykonaniu profesora Septima. – Ale ten cały Gus ma trochę racji. Żaden morderca nie czeka, aż go złapią... To znaczy czeka, ale tylko w grach. Wtedy grzecznie czeka na swoją turę, ale... to raczej nie

jest gra, co? – zapytał wprost. – I to, co knuliście, kiedy was poznałem, to wcale nie był żaden projekt zaliczeniowy?

– Był – przyznała Freddie.– Sami tak to określają. Podróżny i pozostali wykładowcy.

– Kilka dni przed twoim przybyciem w warsztacie na strychu znaleziono zwłoki brata Nel – sprostował Martin.

– Nie poznałeś jej, od tamtego czasu nie pojawia się na zajęciach.

Oboje wlepiali wzrok w Kobolda, niezbyt uprzejmie czekając na reakcję. Martin obawiał się, że na wieść o tym, co przydarzyło się przed jego przybyciem, wystraszy się lub przypomni sobie swoją z całą pewnością mroczną, acz nieznaną przeszłość i dozna szoku.

Żadna z tych rzeczy się nie wydarzyła. Oczy Kobolda wciąż były złociste, on sam żywo zainteresowany, a nawet jeszcze bardziej energiczny niż dotychczas.

– A wy czasem nie próbowaliście wcześniej grać w jakieś głupie gry zespołowe czy coś? – zapytał Kobold.

Freddie i Martin jednocześnie zaprzeczyli.

– Skąd ten pomysł? – Martin był niemal pewien, że pożałuje tego pytania.

– Mój starszy brat opowiedział mi kiedyś taką historię – Kobold nieco ściszył głos – o grupie ludzi, która grała sobie w taką właśnie grę z szukaniem mordercy, a później jedno po drugim zaczęli ginąć. Dokładnie w tej samej kolejności. Tak jakby gra stała się rzeczywista. Nie

myślicie, że byłoby ciekawie, gdyby coś takiego przydarzyło się tutaj? Może przypadkiem trafiliśmy do budynku, w którym rozgrywa się jakiś horror? – zapytał złowieszczo, chociaż w jego oczach błyszczały iskiereki radości.

Martin wznosił oczy ku niebu, a Freddie przesunęła dłonią po twarzy, wzdychając ciężko.

Mimo pozornego zagubienia i nieświadomości, Kobold radził sobie nadspodziewanie dobrze. Grał na gitarze basowej, podobnie jak Martin, dołączył więc do niego na indywidualnych zajęciach i bardzo szybko udowodnił swoją przewagę. Dawał sobie radę z ćwiczeniami Taro i z semantyczno-semiotycznymi zagadkami Amy Dot. Nie dał się sprowokować Mistrzowi Johanowi i nie tracił zimnej krwi, nawet gdy ten wyciągał go na środek sali. Jedynie trening z marionetką wciąż sprawiał mu problemy. Nic dziwnego – jego lalka, którą nazwał Patyczakiem, była całkiem nowa, kupiona w sklepie na ulicy Karlovej. Został z nią związany magią Manipulatorów znacznie później niż pozostali członkowie grupy ze swoimi, wciąż więc starał się pokonać początkowy opór, z którym większość adeptów już sobie poradziła.

Freddie i Martin starali się go osłaniać przed resztą grupy, nawet kiedy już dowiedział się, co go ominęło. Nie było to łatwe, ponieważ sam aż rwał się do tego, żeby

dyskutować z Gusem, Walterem, Jo i Victorem o tożsamości potencjalnego mordercy. Dla niego śmierć Neda była zagadnieniem czysto akademickim i dlatego jego zainteresowanie tematem wszystkich irytowało. On nie musiał się przecież bać, że podejrzenie padnie na niego. Był bezstronnym obserwatorem, całkowicie nieświadomym tego, że jego zachowanie działa na większą część pierwszorocznych jak płachta na byka. Freddie i Martin stanowili jego gwardię przyboczną i zarazem coś w rodzaju sztucznej strefy buforowej.

Victor i Jo początkowo próbowali się z nim droczyć, Gus też chętnie wyładowywał na nim frustrację z powodu odpadającej głowy Marie Antoinette. Szybko jednak wszyscy przekonali się, że z jakiegoś powodu zadzieranie z Koboldem nie jest rozsądne. Ilekroć próbowali dogryźć jemu albo Freddie, tylekroć przytrafiały im się niemiłe wypadki. Noże wyślizgiwały się z rąk, ciężkie przedmioty spadały na palce, pod nogami pojawiały się kałuże wody lub oleju, aż proszące o to, by się na nich poślizgnąć.

Szeptali między sobą i odpuszczali. Zaczepki w końcu ustały.

– Nie myśl sobie, że dziecko z Trollowego Mostu cię ochroni – powiedziała pewnego dnia Jo, kiedy Freddie po raz kolejny zaczęła kwestionować proponowane przez nią metody poszukiwania mordercy. – Większość osób zagłосуje na ciebie. Wtedy będziesz sama i nikt ci nie pomoże.

„Dziecko z Trollowego Mostu już zaliczyło swoje zadanie” – to właśnie najemny morderca powiedział księżniczce Ely, kiedy Martin podsłuchiwał ich rozmowę. Dlatego to brzmiało tak znajomo!

Dziecko z Trollowego Mostu zaliczyło zadanie...

– Kim jest dziecko z Trollowego Mostu? – zapytał Martin, gdy wraz z Greemem przemierzał puste korytarze Klementinum w drodze z biblioteki.

Greem popatrzył na niego z ciekawością.

– To pewien sposób powiązania z drugą stroną – wyjaśnił. – Pod niektórymi starymi mostami żyjątrolle. Oczywiście większość dodaje do tego: „według legend”, ale nie oszukujmy się, obaj dobrze wiemy, jak to jest z Obrzeżami. Faktem jest, żetrolle tam żyją i czasami, jeśli na ich teren zabłąka się dziecko, zawierają z nim pakt. Towarzyszą mu, są jakby jego cieniem. Nie wiadomo, czemu to robią, ale na pewno chcą czegoś w zamian. Żadna umowa nie jest jednostronna. Jeśli takie dziecko zgadza się zapłacić cenę, już zawsze ma szczęście. Mówi się, że troll, który mu towarzyszy, kradnie dla niego szczęście innych.

Martin w zadumie pokiwał głową. To by częściowo wyjaśniało wszystkie dziwne wypadki. Troll kradł szczęście tych, którzy narażali się Koboldowi. Kobold był bezpieczny. Niestety, to nie rozwiewało wszystkich wątpliwości. Część pytań wciąż pozostawała bez

odpowiedzi.

– Jeśli macie jakieś na roku – Greem spojrzał badawczo na Martina – to rzeczywiście wasz projekt zaliczeniowy zapowiada się dość ciekawie. Pewnie ten wasz nowy, co?

Martin zmierzył go uważnym spojrzeniem.

– Greem, wiesz coś o Oksfordzie? – zapytał, korzystając z tego, że korytarz był pusty. – O szkole?

– Niewiele – przyznał Greem. – Wiem, że istnieje. Podobnie jak Nowy York, Istambuł i te inne. Nie mam pojęcia, czemu nagle, w środku roku, zaczęli przysyłać nam studentów i wykładowców.

– Miałeś już zajęcia z tym Barkerem?

– Jeszcze nie, ale my z nim praktycznie nic nie mamy. Tylko jakiś wykład o miejskich legendach. – Greem uśmiechnął się złośliwie. – Raczej nie ma powiedzenia nic, czego już bym nie wiedział. To tylko pic na wodę. On przyjechał tutaj, żeby doglądać tego waszego świeżaka.

– Skoro tak uważasz...

– Ale tobie ten gość może się przydać – stwierdził Greem. – Zdaje się marudziłeś, że przydałyby ci się korki z poruszania się po drugiej stronie. On podobno jest Poszukiwaczem, i to takim z bardziej ekstremalnych. Lepszego źródła wiedzy nie znajdziesz. Swoją drogą... Walt mówił, że oddałeś swojego kota Podróżnemu. Jakieś nowe wieści?

Martin wzruszył ramionami.

– Nie, nic nowego. Chyba go sobie przywłaszczył i tyle.
– Mimo wszystko był trochę zły, że ostatecznie nie zdobył

ani tropu Widmokota i Canelle, ani zwierzaka.

– Jeśli chcesz, mogę spytać pewną osobę – zaproponował wychowanek alchemików – o nowe wieści z Oksfordu. O Widmokota. I o tę dziewczynę z Internetu, którą próbujesz znaleźć.

– Przekaż tej osobie, że jak na razie się obejdzie. Wolę zachować taką możliwość na czarną godzinę – odparł Martin, rozglądając się nerwowo po korytarzu. Przeraziło go, że ktoś mógłby dowiedzieć się o Iskrze. Korytarz był pusty, ale znajdowali się przecież w samym sercu Kolegium Iluzji i Manipulacji.

– Jak uważasz. – Greem wzruszył ramionami.

– Dziękuję – mruknął Martin. Kusiło go, żeby skontaktować się z Iskrą i skorzystać z jej uskrzydłonych szpiegów. Poprosić, żeby znaleźli i sprowadzili Canelle. Znaleźć obecną posiadaczkę listu od Klary. Dowiedzieć się, o co chodzi ze szkołą oksfordzką i incydentem. Na razie postanowił jednak działać na własną rękę.

Znalezienie lokalu bez pomocy Canelle wcale nie było takie łatwe, jak mu się wydawało. Cały czas myliła mu się liczba okrążeń, które powinien zrobić. Raz nawet udało mu się go znaleźć, ale tylko połowicznie. Widział przednią część sklepu z absyntem, ale nie istniała żadna droga prowadząca do baru na zapleczu, gdzie ostatnio spotkał Ivory. Począł do kolejnej pełnej godziny i spróbował ponownie. Ostatecznie kiedy zegar wybił

ósmą, udało mu się znaleźć właściwą drogę i właściwy budynek z właściwymi drzwiami. W środku, tak jak poprzednim razem, było jadowicie zielono i pachniało alkoholem. A także piołunem.

– A, to ty – powiedziała bez entuzjazmu Ivory. Tym razem miała na sobie czarną, bardzo obcisłą sukienkę. Intensywnie zielone oczy spoglądały ze znudzeniem spod przydługiej grzywki. – Martina, tak?

– Martin – poprawił ją. Już zdążył zapomnieć, jaka jest irytująca. – Słuchaj, mam sprawę.

– Co, znowu idziecie z Canelle bawić się w chowanego? – rzuciła kpiarsko. Odwróciła się plecami do niego, zajęta przestawianiem butelek na półkach.

– Nie! – Pokręcił przecząco głową. – Nie tym razem. Canelle zaginęła. – Westchnął.

Zerknęła na niego przez ramię. Prawie wyglądała na zmartwioną.

– Podczas tamtego rytuału?

– Nie – uspokoił ją. – Wtedy nic się jej nie stało. Dużo później. Nawiasem mówiąc... dzięki za wskazówki. Były... użyteczne.

Prychnęła tylko pogardliwie i wróciła do przestawiania butelek.

– Wiedziałam, że ta dziewczyna prędzej czy później wpakuje się w kłopoty. Była zbyt wścibska.

Martin nie mógł zaprzeczyć. Ivory przecież ją ostrzegała. Wszyscy ją ostrzegali.

– No dobra – mruknęła po dłuższej chwili. – To czego

tak właściwie chcesz? Na lody chyba trochę za zimno.

– Chcę wiedzieć, jak znaleźć kogoś, kto interesuje się drugą stroną – odpowiedział. Anielica nie wyglądała na zachwyconą.

– Jesteś w Kolegium – zauważyła, zerkając znacząco na jego bluzę. – Jeszcze ci mało? – Oparła się łokciami o blat i popatrzyła na niego. – Posłuchaj: jeśli chcesz znaleźć Canelle, odpuść. To nie przyniesie ci nic dobrego. Zniknęła to zniknęła, nic na to nie poradzisz.

– Właściwie bardziej chodzi mi o to, jak znaleźć kogoś na czarnych stronach. Tam, gdzie zgadują się ci wszyscy poszukiwacze i eksperymentatorzy.

Gestem zachęciła go, by mówił dalej.

Unikając szczegółów i lawirując, opowiedział o Philippie, która była jedną z internetowych znajomych Klary i prawdopodobnie miała konto na podejrzanym forum, tym samym, na które zalogował się, poszukując informacji na temat rytuału.

– Może być tak, że dostała się na drugą stronę – powiedziała ostrożnie Ivory. – Że druga strona ją dopadła, a to znaczyłoby, że już nie żyje. Że po prostu... już jej nie ma.

– Dzięki za pocieszenie – mruknął, łypiąc na nią ponuro.

– Nie krzyw się tak. – Ivory uśmiechnęła się pogardliwie. – Złość piękności szkodzi. Zmarszczki ci się porobią na tej dziewczęcej buźce. – Przez chwilę przyglądała mu się uważnie. – Dlaczego tak bardzo

chcesz znaleźć tę dziewczynę?

– Ma coś, co należy do mnie – odparł zgodnie z prawdą. Paczka, którą Klara wysłała Philippie, była przeznaczona dla niego. – To ważne. Inaczej bym tutaj nie przychodził.

– Ważna rzecz do odzyskania od dziewczyny, która trzymała się z Poszukiwaczami i całą tą hołotą – mruknęła Ivory. – I w całej cholерnej Pradze musiałeś pomyśleć akurat o mnie, tak?

– Wydajesz się dość... zorientowana w temacie – zaryzykował.

Milczała przez dłuższą chwilę. Szukała czegoś na barowych półkach, aż wreszcie sięgnęła po jedną z butelek.

– Canelle ci opowiedziała o tym, jak zginęłam, co? – zapytała. Postawiła na stole wysoką szklanę i naląa do niej nieco płynu z jednej z butelek. Podpaliła. Zdusiła płomień i wypięa. – Jeśli chcesz wiedzieć, jak znaleźć użytkownika forum dla świrów i poszukiwaczy miejskich legend, możesz równie dobrze zapytać go osobiście – rzuciła. – Plotki mówią, że jest teraz w mieście.

– Kto? – Popatrzył na nią zdezorientowany. – Kogo mam zapytać? Kto jest w Pradze?

– Doktor Liam Barker – odparła, wbijając wzrok w przestrzeń przed sobą. – Mój morderca. Jak go spotkasz gdzieś w Kolegium, przekaż mu, żeby trzymał się z daleka, bo nie ręczę za siebie.

TANIEC ŁALKARZY

Było późne poniedziałkowe popołudnie, deszcz bębnił o szyby, a framugi trzeszczały od uderzeń wiatru. Po dwóch godzinach warsztatu lalkarskiego Mistrz Taro niespodziewanie zaprosił ich na pilne, dodatkowe spotkanie. Pewnym pocieszeniem był fakt, że nie zabrał ich na żaden poligon czy do opuszczonego magazynu. Tym razem nawet nie opuścili Klementinum, chociaż Martin nie spodziewał się znaleźć w tej szacownej budowli pomieszczenia urządzonego na modłę dalekowschodniej szkoły walki. Już na wejściu zostali poinstruowani, żeby zdjąć buty i uklęknąć na matach. Usłuchali. Towarzyszyła im wysoka dziewczyna o południowej urodzie, którą Martin natychmiast skojarzył. Pamiętał te ciemne włosy i oliwkową cerę – adeptka imieniem Marco. Dziewczyna z roku Aislinga.

– Jak pewnie już się domyśliliście, moja praca w Praskiej Szkole Lalkarzy nie polega na dręczeniu was treningami kondycyjnymi trzy razy w tygodniu – powiedział spokojnie Mistrz, poprawiając druciane okulary. – Prawdę mówiąc pierwszy raz mam aż tak napięty harmonogram. Co prawda w zeszłym roku zostałem opiekunem obecnego drugiego roku, ale poza tym od początku mojej współpracy z uczelnią aż do teraz uczyłem tylko jednego: tańca lalkarzy. Nie jest to

wymagana umiejętność – tłumaczył dalej.

Wstał i zaczął przechadzać się między nimi. Gus i Kobold w milczeniu śledzili go wzrokiem. Jo wyszeptała coś na ucho Anie i roześmiała się złośliwie. Jasnowłosa adeptka zdecydowanie nie podzielała jej wesołości.

– Wielu znanych i znakomitych Mistrzów manipulacji nie uważa jej za potrzebną i traktuje jako pewnego rodzaju... zbędne efekciarstwo. Każdego roku znajdują się jednak tacy, którzy doceniają jej piękno. Dlatego postanowiłem sprawdzić, czy i w tym roku tak będzie. Zainteresowane osoby mogą dołączyć do naszej małej grupki na swego rodzaju zajęciach dodatkowych. I w tym celu zaprosiłem do nas Marco, żeby zaprezentować wam, na czym taniec lalkarzy właściwie polega.

Martin niemal krzyknął, kiedy Taro złapał za rękę atakującą go dziewczynę i przewrócił ją na matę. Z każdą chwilą był coraz bardziej zafascynowany. To było dyskretne. Eleganckie. Malownicze. Miało w sobie siłę.

Dyskretnie zerknął na resztę grupy. Nel, która tego dnia pojawiła się na zajęciach po raz pierwszy od śmierci Neda, była wyraźnie zaabsorbowana. Nie mogła oderwać wzroku. Jej zaciśnięte pięści drżały. Ana popatrzyła z nadzieją na Jo, ale ta pokręciła przecząco głową. Victor wydawał się znudzony, Walter zamyślony, a Freddie patrzyła na Mistrza oraz asystującą mu Marco z politowaniem.

– Pokazówa – mruknęła.

Mistrz Taro uśmiechnął się do niej.

- Kwestia gustu – odparł. – Zdążyłem zaobserwować, że lubisz bardziej zdecydowane rozwiązania. Szanuję to.
- Czy skoro tak, to mogę wyjść? Chciałam jeszcze trochę pobiegać przed MOIM treningiem.
- Oczywiście.
- Świetnie. Kobold, idziemy.

Ostatecznie do pozalekcyjnej grupy Mistrza Taro dołączyli tylko Martin, Nel i – ku zdziwieniu wszystkich – Ana. Martin był zaskoczony, że w tak otwarty sposób postanowiła sprzeciwić się Jo. Pozostali nie wykazywali dostatecznie dużo zainteresowania. Jo rzeczywiście robiła tylko to, co Victor uważał za godne uwagi. Gus przejawiał przede wszystkim zainteresowanie Lottą, zaś Walter chwilowo nie martwił się zajęciami bez względu na to, jak bardzo były obowiązkowe. Wyraźnie uznał, że spełnił swoją rolę najśłabszego ogniwa, wywołał zamieszanie i teraz pozostało mu jedynie czekać na wyniki. Przykładał się tylko do zajęć muzycznych, ale to Martina akurat nie dziwiło – zawsze chciał być pianistą, nie lalkarzem. Mimo dość ostrej i szczerzej rozmowy, do której doszło między nimi po śmierci Neda, Walter wciąż odnosił się do niego przyjaźnie i uprzejmie, chociaż ze zdecydowanie większym dystansem.

Rozmawiali, ale ciężko im było znaleźć neutralne, niewywołujące napięcia tematy.

Martin coraz więcej czasu między lekcjami spędzał z

Freddie i Koboldem, Walt bardziej trzymał się z Victorem i Gusem, odcinając się również od Greema i Ingi. Niewykluczone, że miało to jakiś związek z Iskrą.

Dla Martina niepojęte było to, że Walter zaczął rozmawiać z Nel zaraz po jej powrocie na zajęcia, po kilku tygodniach od upiornego incydentu. Wydawało się, że znów całkiem nieźle się dogadują. Inga oczywiście zauważyła to jako pierwsza i przy każdej okazji czyniła aluzje do śpiącej królowny, najwyższej komnaty w najwyższej wieży i pocałunku pierwszej miłości, któremu rzekomo zawdzięczali powrót dziewczyny do świata żywych. Sama Nel zachowywała się zadziwiająco spokojnie: kiedy w rozmowie przewijał się temat projektu, po prostu milkła i wycofywała się z dyskusji.

– O co właściwie chodzi z tobą i Jo? – zapytała, kiedy ona, Ana i Martin siedzieli w pustej sali treningowej, czekając na Taro. Ani instruktor, ani reszta grupy wciąż jeszcze się nie pojawili. Nel rozciągała się, Ana siedziała pod ścianą, bezskutecznie próbując spiąć swoje napuszone, jasnopolielate loki w coś w rodzaju koka. Martin po prostu leżał na materacu.

– A o co ma chodzić? – Ana się zaczerwieniła.

– Od początku zachowywaliście się jak papużki nierozłączki, ona nawet cię zaprezentowała. I nagle przychodzisz na zajęcia sama? Bez niej? Pokłóciliście się?

– To nie tak – odparła. – Po prostu... my zawsze byliśmy razem, odkąd pamiętam. Najpierw my dwie, później my i Victor. Potrzebuję czasem zrobić coś bez

niej. Żeby sprawdzić, czy w ogóle tak potrafię.

Nel pokiwała głową ze zrozumieniem. Jakby doskonale wiedziała, o co chodzi.

– I jak się z tym czujesz?

– Źle. Czuję, że robię jej tym krzywdę. Mamy tylko siebie, nie powinniśmy się tak rozdzielać. Och – popatrzyła na Nel – przepraszam, nie powinnam. Pewnie dla ciebie to...

– Nie. – Nel pokręciła głową i uśmiechnęła się. Spuściła jednak głowę, pozwalając, by przydługa grzywka opadła jej na oczy. – Już w porządku. Podróżny nie pozwoliłby mi wrócić, gdyby nie było w porządku...

Martin zmarszczył brwi.

– Ty i Jo chodziłyście do szkoły przygotowawczej, prawda?

Ana skinęła głową.

– Razem z Ingą?

– Była o klasę wyżej – przyznała. – Właściwie ona i Jo znały się chyba jeszcze przed przygotowawczej, nie wiem skąd, nigdy mi nie mówiły.

– A ty? – Martin przyglądał jej się z zaciekawieniem. Wciąż miał w głowie słowa Iskry o Indze. – Jak dobrze znasz Ingę?

– Właściwie to bardziej koleżanka Jo niż moja. Zawsze jakoś lepiej się dogadywały. Jak siostry. – Uśmiechnęła się rozgoryczona. – I wydaje mi się, że Jo bardzo... Bardzo ją idealizuje. I przez to nie widzi wszystkiego.

– Czyli czego? – zapytała zaciekawiona Nel.

– Ona bardzo się zmieniła. Ta uczelnia ją zmieniła. Ma nowy flet, i że gra na nim zupełnie inne melodie, a Jo nawet nie próbowała pytać, skąd się wziął.

Zanim zdążyła powiedzieć coś jeszcze, do sali wszedł Mistrz Taro z komendą „usiąść” na ustach. Zaraz za nim wkroczyła Inga wraz z ostrzyżoną na zapałkę koleżanką z roku, Greem, Aisling oraz ciemnowłosa Marco.

Nadszedł czas na trening.

Zajęcia z Barkerem dotyczyły – tak jak zapowiadał Greem – umiejętności poruszania się po drugiej stronie i nie były obowiązkowe, więc na pierwsze z nich poszli tylko Freddie oraz Martin. Gus, także pochodzący spoza Obrzeży, uznał, że nie ma w tym żadnego sensu, bo całej wiedzy niezbędnej do przetrwania po drugiej stronie dostarczy mu zadawanie się z „odpowiednimi ludźmi”. Martin był bardziej niż zainteresowany spotkaniem z profesorem Barkerem. Ostatecznie miał do niego sprawę.

Doktor Liam Barker okazał się dobiegającym trzydziestki Anglikiem. Roztaczał wokół siebie aurę uprzejmego dystansu, jednak szare oczy obserwowały świat z czujnością właściwą ludziom żyjącym w cieniu nieustającego zagrożenia. Charakterystyczna blizna w lewym kącie ust sugerowała, że ktoś kiedyś próbował sztucznie poszerzyć mu uśmiech. Czy tak właśnie wyglądał morderca Ivory? Canelle byłaby

zafascynowana.

– Skaleczyłeś się, robiąc marionetkę? – zapytał wykładowca, od razu dostrzegając opatrunek na dłoni Martina. Co prawda od szarpaniny z Greemem minęło już trochę czasu, ale po pierwszym treningu tańca lalkarzy kontuzja odezwała się z taką mocą, że Martin musiał przeprosić się z opaską usztywniającą.

– To tylko zwichnięcie z treningu – wyjaśnił.

Barker wyraźnie odetchnął z ulgą.

– Na pierwszym roku nie pozwalają nam jeszcze robić marionetek – dodała Freddie. – Podobno to program na następne lata.

Wykładowca pokiwał głową.

– U nas, w Oksfordzie, był trochę inny system i zaczynało się nieco wcześniej. Ale może to i dobrze, w ten sposób jest bezpieczniej. Im więcej umiecie, tym mniejsze ryzyko zrobienia sobie krzywdy.

– To ma jakieś znaczenie? – podchwyciła Freddie, przysuwając sobie krzesło i siadając. – To, że ktoś się skaleczy, robiąc lalkę?

Wykładowca przez chwilę przyglądał się jej w zadumie.

– Podobno to przynosi pecha – odparł. – Mówi się, że kiedy twórca skaleczy się, wykonując marionetkę, osłabia w ten sposób ich więź. Podróżny tłumaczył wam pewnie, że marionetka nie musi słuchać właściciela, jeśli nie ma ochoty, i że jedyną osobą, wobec której odpowiada całkowicie i bezwzględnie, jest jej twórca.

Jeśli dojdzie do skaleczenia... Jeśli przy narodzinach posmakuje krwi swojego twórcy, ten nigdy nie będzie miał nad nią całkowitej władzy. Taka marionetka sama sobie jest panem.

– Czy właśnie coś takiego stało się w Oksfordzie? – zapytał Martin, wpatrując się w niego czujnie. – Ktoś skaleczył się przy robieniu marionetki i wymknęła się spod kontroli?

– Poniekąd. – Barker oparł się o biurko i wbił wzrok w ulicę za oknem. – To ma z tym związek.

– A uczelnia? – podchwyciła Freddie.

– Została zamknięta. Dopilnowaliśmy, żeby adepci i wykładowcy trafili do pozostałych szkół Kolegium. Wasza zdecydowała się przyjąć tylko jednego adepta i jednego wykładowcę. Swoją drogą. – Wykładowca poluzował kołnierzyk szarej koszuli – Nie miałem pojęcia, że o tym słyszeliście. Zapewniano mnie, że incydent oksfordzki pozostaje dobrze strzeżonym sekretem.

– Powiedzmy, że jesteśmy wyjątkowo pojętymi adeptami z wyjątkowo dobrym słuchem – odparł Martin.

– Kolegium musi być z was dumne! – zakpił Barker. – Dlaczego właściwie was to interesuje?

– Kobold... to znaczy ten adept – powiedziała Freddie, również wpatrując się czujnie w doktora i obserwując jego reakcję – jest naszym dobrym kolegą. Chcielibyśmy wiedzieć, co właściwie mu się przytrafiło. Martwimy się o niego.

Barker zmarszczył brwi.

– Zachowuje się w jakiś szczególnie niepokojący sposób?

– Zachowuje się, jakby nie pamiętał, co mu się przytrafiło – wyjaśnił Martin. – Tak, jakby brakowało mu części wspomnień.

– Cóż, ten incydent był bardzo stresujący dla nas wszystkich. John jest teraz w całkiem nowym środowisku. To naturalne, że może być nieco... zagubiony. Wszystko jest pod kontrolą. – Barker się uśmiechnął. – Ale dobrze wiedzieć, że ma tak troskliwych, czujnych przyjaciół.

Martin wstał z krzesła.

– Nie pierdol, facet – syknął, opierając obie dłonie na biurku. Skrzywił się, gdy kontuzjowana ręka zapulsowała bólem. – Nie udawaj, że cię to obchodzi. Wiem, kim jesteś. – Barker popatrzył na niego pytająco, lekko przekrzywiając głowę. – Wiem, że to ty jesteś poszukiwaczem, który zamordował Ivory, szukając swojej młodszej siostry!

Freddie popatrzyła na Martina, wyraźnie zbita z tropu. Barker starał się zachować spokój.

– Ach, to? – pokręcił głową. – Błąd młodości.

– No nie wiem. Ten... błąd młodości jest w mieście i kazał ci przekazać, że jeśli cię spotka, nie ręczy za siebie.

– Ivory... tu jest? – Teraz wykładowca wyraźnie się zaniepokoił. – Ale... jak? To niebywałe! Ciekawe, czy Morty o tym wie, na pewno byłby zafascynowany.

Powiedz – zwrócił się do Martina – czy jako Istota z Cienia, czy ...

– Jako pracownik absynterii – odparł Martin, nie wdając się w szczegóły. Fraza „Ivory jest aniołem sprzedającym absynt” wciąż jakoś nie bardzo chciała przejść mu przez gardło. – Opowiedziała mi o naturze waszej... zażyłości.

– Absynterii, tak? Której? I gdzie? Rzecz jasna potrzebuję tej informacji tylko po to, żeby wiedzieć, jak jej unikać.

– Ta, jasne – mruknęła Freddie. – Unikać...

– Mogę nawet pana zaprowadzić – odparł Martin. – Jeśli powie mi pan, czym właściwie był incydent oksfordzki i co miał z nim wspólnego Kobold.

Barker pokręcił głową.

– Niestety, to pilnie strzeżona tajemnica Kolegium, nie mogę zdradzać jej adeptom. Wy dwoje i tak chyba wiecie więcej, niż byłoby to dla was korzystne.

– W takim razie – zaryzykował Martin – skoro wcześniej był pan poszukiwaczem... Może opowiedzieć nam pan o tym, jak znajdować konkretnych użytkowników na czarnych stronach? Wie pan, na tych wszystkich forach o miejskich legendach?

– Tak. – Wykładowca powoli pokiwał głową. – Jeśli was to interesuje, możemy poświęcić temu część zajęć.

– Co za tupet! – mówiła Freddie, zawzięcie grzebiąc w

swojej sałatce widelcem. – Myślałby kto, że jak się słyszy, że laska, którą się zabiło, ma się dobrze i jest w mieście, to wypadaloby się zdziwić, przestraszyć, cokolwiek. A facet się zainteresował. Zainteresował. Myśli, że wszystko jest w porządku i ją wyrwie? Jakim cudem w ogóle to działa? Skoro rzeczywiście ją sprzątnął, a ona dalej tu jest, to musi być jakimś wampirem czy czymś takim!

Martin zignorował ją, zajęty wprowadzaniem w życie rad doktora Barkera. Śledzenie postów. Ostatnia aktywność. Powiązani użytkownicy. Musiał koniecznie ustalić, kiedy użytkowniczka o pseudonimie „Roti” ostatni raz była aktywna i czego ta aktywność dotyczyła. Nareszcie czuł, że do czegoś zmierza.

– Ale ty to też niezły jesteś – powiedziała Freddie, odkładając widelec.

– Hmm? – mruknął, nie odrywając wzroku od ekranu.

– O co ci chodzi?

– Jestem tylko miejscowym szaraczkiem. Do momentu, kiedy dostałam list nie miałem pojęcia o Obrzeżach i w ogóle nic nie wiem o drugiej stronie, i chcę chodzić na zajęcia do Barkera, żeby się nauczyć przetrwania tutaj, zanim coś mnie zabije. – Freddie wyraźnie go przedrzeźniała. – A ty nagle wyskakujesz z tą całą historią z absynterią i z tymi czarnymi stronami, i w ogóle... – Popatrzyła na niego, zła i zdezorientowana. – W co ty grasz?

Oderwał się na chwilę od komputera. Naprawdę chciał

mieć we Freddie sojusznika. To oznaczało, że musiał być wobec niej tak uczciwy, jak wymagała tego sytuacja.

– O tej historii z absynterią i dziewczyną, którą Barker rzekomo zamordował, dowiedziałem się podczas rekrutacji – wyjaśnił. – Nawiasem mówiąc, jest aniołem, nie wampirem, i siedzi tam, bo jej się nudzi w niebie czy coś takiego. Nieważne.

– A te czarne strony? – drążyła Freddie. – To, o czym przez ten czas dyskutowałeś z Barkerem?

– Długa historia – odparł Martin. Ivory była bezpieczna, niepowiązana aż tak bardzo z jego problemem. Przecież gdyby miała jakikolwiek kontakt z Petrą, Mortym, Widmokotem albo którymkolwiek z młodych spiskowców, słyszałaby o zaginięciu Canelle. Czarne strony to co innego. Nie był pewien, czy powinien dopuszczać Freddie tak blisko.

– Skróć ją. – Adeptka nie ustępowała.

Westchnął i zaczął mówić:

– Okej. Moja przyjaciółka z dzieciństwa została zamordowana, zaraz na początku wakacji. – Nie musiał nawet wspominać, że miało to związek z egzaminami wstępnymi. Widział po minie Freddie, że tego się akurat domyśliła. – Zostawiła dla mnie wiadomość u znajomej, z którą kontaktowała się przez czarne strony, a teraz ta znajoma zniknęła bez śladu. Próbuję ją znaleźć, żeby dowiedzieć się, co to była za wiadomość. Wystarczy?

Frederika spoglądała na niego przez chwilę w milczeniu.

– Wystarczy – orzekła wreszcie. W jej oczach widać było zaskoczenie. Niepokój. I coś jeszcze – coś, co bardzo dobrze rozpoznawał. On sam patrzył w ten sposób na Waltera, gdy ten wyjawiał mu, gdzie ukrył Ely, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Wdzięczność. Świadomość, że zostało się obdarzonym zaufaniem. – I... przykro mi. Z powodu przyjaciółki.

Jemu też było przykro. I coraz bardziej zastanawiał się, czy Freddie kiedykolwiek zaufa mu na tyle, by opowiedzieć o swojej rekrutacji.

Chciał, żeby potrafiła mu zaufać.

TANCERZE TAŃCZĄ

Nadchodził grudzień, a Martin zorientował się, że śpiew demonów niósł się po mieście coraz wyraźniej. Pieśń Aislinga o ogniu i buncie śpiewano w Knajpie Morderców, nucono w ciemnych zaułkach, wykrzykiwano z dachów budynków. Teraz już nawet dotychczas niezwiązani z drugą stroną adepci – tacy jak Frederika i Gus – odczuwali, że coś wisi w powietrzu. Coś miało się wydarzyć. Iskra szukała sojuszników i wyglądało na to, że zamierzała zaatakować Kolegium bez względu na decyzję Martina.

Martin wciąż dyskretnie obserwował Inge, próbując ocenić, czy jej zachowanie jest podejrzane i czy naprawdę są podstawy by twierdzić, że to ona jest zdrajczynią. Pewnego dnia, wracając do pokoju po zapomnianą torbę, dostrzegł coś, co niemal go zmroziło.

Drzwi do jednej z sal, w których odbywały się zajęcia drugiego roku, były uchylone. Przystanął i zajrzał do środka. Krzesła ustawiono wokół wyrysowanej kredą na podłodze szachownicy. Część grupy siedziała pochylona nad niewielkimi, oprawionymi w skórę książeczkami o pożółkłych kartkach. Śledzili wzrokiem tekst wypowiedziany przez dwóch chodzących po planszy adeptów. Inga oraz jej ostrzyżona po żołniersku koleżanka z grupy recytowały kolejne partie dialogu z

dramatu Becketta, „Czekając na Godota”. Jedna linijka – jeden ruch po przypominającym szachownicę polu. Jakby tańczyły. Nie, jakby się okręzały, szykując do walki. Martin przyglądał się im, schowany za futryną.

Coraz bardziej zdecydowane ruchy, coraz ostrzejszy ton głosu. Krótkowłosa dziewczyna zagoniona w kąt szachownicy. Inga zbliżająca się do niej z pełną determinacją miną.

– Dość! – Prowadząca zajęcia Amy Dot klasnęła w dłonie. – Sonia, siadaj. Greem, zapraszamy.

Dziewczyna posłusznie wróciła na swoje miejsce. Jasnowłosy chłopak zgiął się w przesadnie głębokim, prześmiewczym ukłonie.

– Zaczynajcie – poleciła Amy.

I zaczęli. Przerzucali się kwestiami postaci, płynnie poruszając się po szachownicy. Krok Ingi za każdy krok Greema. Równoważna, symetryczna wymiana – żadne nie zamierzało umniejszyć swojej roli, żadne nie zamierzało się wycofać. Nagle Inga wyciągnęła rękę przed siebie. Przeciwnik cofnął się o krok, a jego oczy wypełniły się mieszaniną lęku i niedowierzania. Dziewczyna wciąż postępowała w jego stronę. Martin odwrócił na moment wzrok, sprawdzając, czy nikt nie idzie korytarzem. Wtedy to dostrzegł, zupełnie przypadkiem, kątem oka. Inga ścisnęła w dłoni długi, zardzewiały od krwi nóż. Wykładowczyni powstała z miejsca. Martin wycofał się, czując, że ogląda coś bardzo dziwnego i niestosownego. Coś, czego ani Greem ani Inga

nie pozwoliliby mu zobaczyć.

Freddie wciąż chodziła na swoje tajemnicze, forsowne treningi, teraz jednak towarzyszył jej Kobold. Martin był niemal przekonany, że ostatecznie zostali parą, jego złudzenia rozwiały się jednak, kiedy korzystając z wolnego dnia udali się do Knajpy Morderców. Lokal fascynował Kobolda w jakiś wyjątkowo złowieszczy sposób i właściwie nie dało się go zaciągnąć nigdzie indziej.

– Cholera, stary, nie wiem, co mam robić – żalił się Kobold, wypijając kolejny łyk piwa. Jego kufel był już prawie pusty. Martina prawie pełny.

– Z czym?

– Raczej z kim. Z Freddie.

– Kłopoty w raju?

Kobold wbił w niego spojrzenie złocistych, kocich oczu.

– Jakim raju, gdzie?! Przecież my nawet nie... – Odstawił kufel na stół. – Nie to że bym nie chciał.

– To może z nią pogadaj? – zasugerował Martin. – To znaczy nie wiem, nie znam się, ale... chyba tak to się robi?

– Ale ja nie mam nawet co próbować, jestem spalony na starcie – przyznał z rezygnacją blondyn.

– Niby czemu? – Martin popatrzył na niego zdeorientowany.

– Odleciała na punkcie tego swojego psychopaty od

treningów. Od tego całego judo czy czegoś tam. Stary, ja nawet nie mam pojęcia, co oni dokładnie ćwiczą.

– Powiedziała ci o tym? – dopytywał Martin, coraz bardziej zaintrygowany.

– Coś ty! Ale przecież łączę tam razem z nią, widzę. Słyszę, jak o tym mówi, jak się tym emocjonuje. Prawie go czci, jakby mogła, to by pewnie wybudowała mu ołtarz. Facet jest totalnym psycholem, ciśnie wszystkich jak leci, uczy, jak najszybciej uszkodzić kogoś tak, żeby nie wstał, wdaje się z nią w pyskówki na każdych zajęciach, a ona dalej tam łązi.

– A ty?

– A ja nie – przyznał Kobold. – Nie podoba mi się to. Poważnie zastanawiam się, czy nie dołączyć do tego waszego tańca wrózek.

– Tańca lalkarzy – poprawił go odruchowo Martin.

– Wszystko jedno, byleby mi tam nikt nie wciskał jakichś bredni o ptakach i śpiewaniu. Normalnie jak w jakiejś sekcje.

– Gdzie zgubiłaś swojego kolegę z grupy? – zapytał Dieter, gdy tylko Freddie po raz pierwszy pojawiła się na zajęciach bez Kobolda. – Załamał się, bo stłukł kolano? Czy może poddał się i stwierdził, że bardziej odpowiada mu ten cyrk Mistrza Taro?

– Po prostu uznał, że nie podoba mu się chamstwo i poniżanie – powiedziała, patrząc mu w oczy. Magpie,

Jackdaw i pozostali członkowie grupy przysłuchiwali się rozmowie z najwyższym zainteresowaniem. – Z tego co pamiętam, użył też określeń: „zaburzona dynamika grupy” oraz „syndrom sztokholmski”.

Dieter zacisnął zęby i posłał jej przeszywające spojrzenie błękitnych oczu.

– Tak, tak, wiem. – Westchnęła, chcąc oszczędzić mu fadygi. – Dziesięć okrążeń.

Później wcale nie było lepiej. Docinał jej przez całe zajęcia, przy każdej pomyłce sugerując, że może jednak powinna wrócić do Mistrza Taro.

Nie tylko jej źle szło. Cała grupa zdawała się dziwnie niezdarna i rozkojarzona, co oczywiście przekładało się na częstotliwość kontuzji. Magpie uderzyła głową w podłogę tak, że na moment straciła przytomność, a Jay podczas przewrotu nie zdążył wyhamować przed drabinkami. Kiedy zajęcia wreszcie się skończyły, Dieter nawet nie silił się na zwyczajową pożegnalną przemowę. Po prostu machnął ręką.

Freddie nie czuła się na siłach, by wracać wprost do Klementinum. Skręciła w stronę rzeki i usiadła na jednej z ustawionych nad brzegiem ławek. Nie chciała wysłuchiwać burzliwych dyskusji na temat projektu, wciąż nawracających pod wpływem pozornie niezwiązanych z tematem drobiazgów. Nie potrzebowała ani na wpół troskliwych, na wpół ciekawskich pytań Kobolda, ani Martina i jego mądrości.

– Młoda?

Dziewczyna niepewnie podniosła wzrok, żeby zobaczyć, kto stoi przed nią. Tylko jedna osoba miała w zwyczaju ją tak nazywać. Mistrz Dieter z jego krótko ostrzyżonymi, jasnymi włosami i niebieskimi oczami, osadzonymi w twarzy wytrawnego łowcy-mordercy.

– A, to ty – mruknęła.

– Mówi się: „Mistrzu”.

Tylko wzruszyła ramionami. Nawet nie miała zamiaru odpowiadać.

– Powiesz mi, co to było dzisiaj na treningu? – zapytał, marszcząc brwi.

Zawiesiła wzrok na przypiętej do granatowego płaszcza przypince w kształcie dłoni. Symbolu Kolegium. Czyżby był w pracy?

– Niby co? – odburknęła.

– Nie myśl, że nie zauważyłem – odparł Dieter, po czym, nie pytając o pozwolenie, usiadł obok niej. Natychmiast się odsunęła, dając mu do zrozumienia, że naruszył jej przestrzeń osobistą. – Jackdaw i Magpie zaszi ci za skórę, a później coś podejrzanie często mieli dziwne wypadki i podejrzanie często lądowali na ścianie. Jakby prześladował ich niezwykle... pech.

– Wypadki się zdarzają – odburknęła. Chochlik skulił się w jej rękawie.

– Nie z taką częstotliwością – zauważył Dieter. – I nie na moich zajęciach, dbam o to. Co się dzieje, Młoda?

– Nic się nie dzieje.

– Więc dlaczego tu siedzisz? Jest środek nocy,

powinnaś być w Klementinum. Nie zdążyłaś przed zamknięciem bram?

– Aha. Bo ktoś przedłużył trening – zakpiła.

– Mogłaś wyjść wcześniej.

Popatrzyła na niego z politowaniem

– Jasne – prychnęła. Przez chwilę siedziała w milczeniu. – Nienawidzę... nienawidzę was wszystkich – powiedziała wreszcie, głośno i wyraźnie. – Ciebie, Magpie, Eriki Ekhart, mojej grupy... Martina i Kobolda. Wszystkich. – Nawet nie zauważyła, w którym momencie Mistrz położył jej dłonie na ramionach i obrócił ją w swoją stronę. – Wszystkich, rozumiesz? Nienawidzę! Wolę siedzieć tutaj, niż do nich wracać! Najchętniej bym was wszystkich pozabijała! Chcę patrzeć, jak zdarzają się wam złe rzeczy! Chcę, żebyście wiedzieli, że to ja, żebyście mnie błagali o litość... Błagali na klęczkach, żebyś przestała!

– Ciii! – powiedział Mistrz, niespodziewanie przyciskając ją mocno do siebie i pocierając jej ramiona, próbując ją ogrzać. – Wiem, dziecko z Trollowego Mostu, wiem... Już dobrze.

– Zostaw – burknęła Freddie, jednak się nie wyrwała. Zamiast tego wybuchła płaczem, wtulając się w granatowy płaszcz Mistrza.

Kobold dołączył do nich już na następnym spotkaniu. Trafiał akurat na ćwiczenia z drewnianymi mieczami,

czym był wyraźnie zachwycony. Mistrz Taro przydzielił go do Marco. Dziewczyna, ze względu na swój staż, idealnie nadawała się do ćwiczeń z początkującymi. Nie mogła skrzywdzić przypadkowo. Martin został przydzielony do Nel, zaś Inga i Greem jak zwykle trenowali razem. Krótkowłosa Sonia ćwiczyła z Aną, zaś Aislingowi przypadł zaszczyt treningu z samym Mistrzem.

– Zaczynajcie – polecił Taro.

Ćwiczenie z Nel nie było łatwe. Poruszała się szybko i płynnie, okazała się też zaskakująco zawzięta i zdecydowana.

Nie dostrzegął w niej tych cech wcześniej. Wydawało się, że kiedy atakuje, naprawdę chce zadać cios i zrobić Martinowi krzywdę. Przeżywał ciężkie chwile, próbując uratować się przed kontuzjami. Na domiar złego zupełnie niespodziewanie zaczęła nucić. Nigdy wcześniej nie słyszał jej śpiewającej. Słyszał plotkę, że po śmierci Neda zamilkła zupełnie, jakby nie była zdolna wydobyć z siebie głosu. To do reszty wybiło go z rytmu. Nel zasypywała go gradem ciosów i odskakiwała, nim zdążył unieść broń.

Zajęty walką z nią nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół. A zdecydowanie powinien. Może zarejestrowałby, dlaczego nagle Greem znalazł się na ziemi, ocierając krew z rozciętej wargi. Może wiedziałby, czemu Aisling szarpie Ingą, przyciskając ją do ściany i mówiąc coś do niej ze złością. Może widziałby, czemu

Mistrz rzuca się, by ich rozdzielić.

– Chodź ze mną, Greem – polecił Taro, pomagając chłopakowi się podnieść. – Marco, zajmij się Aislingiem.

Marco posłusznie skinęła głową. Przyjaźnie poklepała rudowłosego demona po ramieniu, ten jednak nie zwracał na nią uwagi. Cały czas wpatrywał się w Inge chmurnymi, szarozielonymi oczami. Adeptka wyniośle pokręciła głową, odrzucając gruby, czarny warkocz na plecy, w charakterystycznym dla siebie geście. Mistrz popatrzył na adeptów znużony.

– Rozejść się – zarządził. – Koniec na dzisiaj.

– Widzisz? Aisling dalej źle to znosi – przyznała Nel, kiedy po treningu ramię w ramię wracali do swoich pokoi. – Tę całą sprawę z Nedom. Czuje się winny, że nas nie dopilnował. Dlatego jest taki nerwowy.

Martin pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Dlatego kłóci się z Ingą?

Nel się zawahała.

– Aisling chce się zbuntować – wyszeptała, kiedy przechodzili przez dziedziniec. Na jej twarzy odbił się strach, a Martin poczuł, że serce podchodzi mu do gardła. Mówić o czymś takim w Kolegium? W samym sercu Klementinum? W ogóle mówić o tym na głos? – Chce... Chce uciec, tak jak... pewna osoba. Inga próbuje mu przemówić do rozsądku i go powstrzymać. Tak jak ja uważa, że powinien skończyć studia, że już wiele mu nie zostało, że dopiero wtedy może... Jeśli podejmie decyzję za wcześniej, może zwrócić na nas uwagę. Dlatego się zrą.

Martin zastanawiał się, ile to ma wspólnego z napięciami między Ingą i Greemem, i z tym, co wydarzyło się na zajęciach, zanim Aisling się wtrącił. Żadne z nich nie wspominało o tym, co mówiła im ostatnio Ana.

„Inga się zmieniła. Ma nowy flet i gra na nim zupełnie inne melodie”.

Co próbowała im wtedy przekazać?

Na razie wolał nie poruszać tego tematu, i tak powiedzieli już zbyt wiele. Już sam fakt, że Nel o wszystkim wie, był swego rodzaju zaskoczeniem. Chociaż, skoro była kuzynką Aislinga, w sumie można było się tego spodziewać. Ale skoro Ned też był w to zamieszany, czy to stawiało jego śmierć w całkiem nowym świetle? Co jeśli wybór ofiary był celowy?

– A ty? – zapytał, żeby uniknąć niebezpiecznego tematu. – Jak ty to znosisz? Jak się czujesz?

Przez chwilę spoglądała na niego w milczeniu.

– Myślałam, że śmierć Neda mnie zabije – wyznała wreszcie. – Tak u nas zwykle jest z bliźniakami. Jeśli jedno zostaje ranne, drugie czuje ten sam ból. Jeśli jedno umrze, według legend drugie też. – Spojrzała w górę schodów. – Ale ja nie. Wcześniej mnie chronił, osłaniał. Teraz jestem zdana na siebie. – Uśmiechnęła się drapieżnie. – Muszę robić wszystko sama. I potrafię.

– To dobrze – rzucił Martin. Jej przemiana rzeczywiście robiła wrażenie. – Cieszę się, że sobie radzisz. Martwiłem się o ciebie.

– Wiem – odparła poważnie. – Wiem, że akurat ty naprawdę się o mnie martwiłeś.

– Freddie też.

– O tym jestem znacznie mniej przekonana. Ale wierzę ci. Wiem, że żadne z was go nie zabiło.

– A... Walter? – zaryzykował. Widział, że Nel spędza sporo czasu z głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo członka jej rodziny. Niepokojąco dużo, biorąc pod uwagę to, że podobnie jak Aisling była demonem zemsty.

– Walter – powtórzyła z namysłem. – Cóż, sądzę, że książę Walter powinien wreszcie znaleźć sobie dziewczynę, która nie będzie chciała go zabić.

Martin częściowo się z nią zgadzał. Ktoś powinien wreszcie porozmawiać z Waltem na temat jego życia uczuciowego i dokonywanych wyborów.

ZIMOWA OPOWIEŚĆ

Na parapecie zebrała się już gruba warstwa śniegu. Zapowiadały się nadspodziewanie śnieżne święta, po raz pierwszy od kilku lat.

Dla Martina to był ostatni dzień, który miał w tym roku spędzić w Klementinum. Wracał do domu, podobnie jak większość adeptów.

Naprawdę miło ze strony Kolegium, że pozwala adeptom na rodzinne spotkania. Zwłaszcza przed procesem dotyczącym śmierci kolegi z roku, w którym – na daną chwilę – oskarżony może zostać każdy. I miło, że zafundowano mu przy okazji tydzień siedzenia w domu i udawania, że wszystko jest w porządku.

Greem z właściwym sobie filozoficznym spokojem stwierdził, że przynajmniej będzie okazja przeciwżyć zdobyte już umiejętności.

Ostatecznie Martinowi wcale nie zależało na tym, by rodzice dowiedzieli się prawdy o projekcie zaliczeniowym i śmierci Klary.

Zresztą... To logiczne, że adepci wracający do domu musieli udawać, że wszystko jest w porządku. To część szkolenia. Kolegium miało swoje sposoby, by sprawić, że rodzice wciąż posyłali dzieci na uczelnie dla przyszłych manipulatorów.

– Już spakowany? – zapytał Walter, siadając na

parapecie. Martin pokiwał głową.

– Daimon też – powiedział, wskazując na leżące na torbie pudełko. – Rodzice bardzo chcą go poznać – zakpił. – Ciebie też. Jesteś pewien, że...

Walt pokręcił głową.

– Lepiej nie – odparł. – Nie mogę zostawić Greema samego, a wiesz, że lepiej nie ciągnąć go teraz na rodzinne spotkania.

Mniej więcej na początku grudnia – krótko po pierwszym treningu Kobolda – wszyscy adepci drugiego roku zniknęli gdzieś na dwa tygodnie. Mistrz Taro został, był jednak zadziwiająco surowy i niecierpliwy, co pierwszoroczni odczuli na własnej skórze. Inga wróciła jeszcze bardziej złośliwa i nieznośna, zaś Greem właściwie się nie odzywał i przestał jeść. W jego jasnych włosach pojawiło się kolejne całkiem białe pasmo.

Sonia zniknęła.

Martin nie dopytywał. Wiedział, że Greem i tak nic nie powie, tak jak wcześniej Aisling ani Iskra nic nie powiedzieli jemu. Przyszedł czas na kolejny egzamin i Sonia go nie zdała. Martin mógł mieć tylko nadzieję, że zdąży rozprawić się z Eriką przed kolejnym takim testem.

– Przyjdźcie, chociaż na chwilę – poprosił Waltera. – Będzie miło.

– Zastanowię się. I zapytam Greema, co o tym sądzi – zapewnił ksiązę. – Dziękuję.

Walter i Greem przenosili się na Złotą Uliczkę, do

Alchemików. Chcieli zabrać ze sobą Ingę, ale dziewczyna się nie zgodziła. Powiedziała, że sobie poradzi. Woląa zostać w szkole z Aną i Jo.

– Ciekawe, co u pani Althan? – powiedział Martin, wpatrując się w okno.

– Canelle zazwyczaj spędzała Boże Narodzenie w Paryżu, razem z mamą i z ciotką, ale teraz... – Walter rozłożył bezradnie ręce. – Pewnie Petra robi wszystko, żeby sprowadzić ją na święta do domu.

– Pewnie tak.

– Przykro mi, że smok jeszcze nie wrócił – powiedział książę. – Nie wiem, co mogło się z nim stać. Do tej pory nigdy nie zawodził.

Martin zapatrzył się na zalegający na parapecie biały puch.

– Nie, to mnie przykro. Wygląda na to, że przeze mnie straciłeś pupila.

– Na pewno nie straciłem. Tęsknisz za nią, prawda? Za Canelle?

Pokiwał głową. Książę przyglądał mu się z wyraźnym zaciekawieniem.

– Czy wy coś... No, było coś między wami?

Martin popatrzył na niego podejrzliwie.

– Jak to?

Książę odwrócił wzrok. Śnieg za oknem i widoczny w ciemności kontur dachu wydał mu się wyjątkowo fascynujący. Zaczął cicho nucić.

– No? – dociekał Martin. – O co chodzi?

Walt wzniósł oczy ku niebu.

– No dobra, wygadałem się – powiedział. – Wiedziałem od początku, że Canelle ma do ciebie słabość. Nie miałem tylko pojęcia, jak ty do tego podchodzisz, a nie chciałem się dopytywać, szczególnie gdy zniknęła. A teraz cały czas widzę cię z Rudą i po prostu zacząłem się zastanawiać...

– Zaraz! – Martin wytrzeszczył oczy. – To znaczy, że... Że Canelle coś do mnie...?!

– Nie, tak sobie z nudów wyruszyła na drugą stronę, szukać wskazówek w sprawie Eriki.

Canelle. Inspektor Ciastko. Dziewczyna z kluczem na szyi, która z jego powodu zniknęła za nieznanymi drzwiami.

„Widzę wokół ciebie wiele kobiet. Kobiety traktowane przez ciebie jak przyjaciółki, uparcie i zawzięcie podejmujące walkę, którą powinienes podjąć ty”.

Nie spodziewał się, że głupia karciana wróżba może być aż tak celna. Miał ochotę mocno uderzyć głową w okienny parapet. Teraz, kiedy Walter się wygadał, zachowanie Canelle było aż za bardzo zrozumiałe. Tyle że zniknęła, próbując mu pomóc, a kolejne próby odnalezienia jej zawodziły. Smok nie wracał, a kot pewnie okazał się po prostu kotem, którego Podróżny dyskretnie się pozbył.

Martin zacisnął pięści. Inspektor Kot potrafi poradzić sobie bez Ciastka. A Ciastko jest równie bystra i odważna, kiedy Kota z nią nie ma. Przynajmniej tyle wynikało z

komiksów Klary.

Przez chwilę obaj wpatrywali się w zawieję za oknem. Dochodziła północ. Słysząc było bicie dzwonów.

– Opowiedz mi o Ely – poprosił Martin.

Walter pokręcił głową, na swój sposób rozbawiony.

– Zastanawiałem się, ile wytrzymasz, zanim mnie o to poprosisz. – Westchnął, jednak nie wyglądał na zagniewanego. – Dobrze, opowiem ci o Ely. Opowiem ci o dzikiej księżniczce. – Usadowił się wygodniej na parapecie i spojrział przez okno. – Dawno temu pewien król miał krnąbrną, nieposłuszną i lubiącą psocić córkę. Pewnego razu, ku jego rozpacz, owa córeczka siedziała w zacumowanej łódce, gdy zerwała się lina. Księżniczka popłynęła z prądem rzeki. Znaleźli tylko łódkę i pomyśleli, że dziewczynka utonęła lub pożarły ją dzikie zwierzęta. Tak się jednak nie stało. Księżniczkę znalazła wiedźma z lasu i przygarnęła ją. Nauczyła ją wszystkiego, co sama umiała. Przekazała wiedzę o ziołach, urokach i czarach. Dziewczynka była tak pojętną uczennicą, że wiedźma się przeraziła. Przerwała szkolenie, zaklęła księżniczkę w magicznym drzewie, kazała jej pilnować skarbu. Traf chciał, że przechodził tamtędy wojak, młody żołnierz wracający z frontu.

Martin pokiwał głową. Słyszał już opowieści o wielkiej wojnie w bajkowych krainach, o dezercji i wędrownicy po bezdrożach. Nie przeszkadzało mu to, w ustach Walta te historie nie starzały się. Nawet opowiadane wciąż na nowo wciągały i nie pozwalały się oderwać.

– Wojak usłyszał w pobliskiej wiosce plotki o ukrytym w lesie skarbie i zapragnął go znaleźć – podjął Walt. Uśmiechał się. W jego oczach odbijało się wspomnienie dawnych, lepszych czasów. – Udało mu się oczywiście, ale przy okazji znalazł też księżniczkę. Widziała, że jej wybawca nie ma zamiaru zabierać jej ze sobą, postanowiła go więc do tego zmusić. Bez niego nie miałyby gdzie się podziać. Bała się, że jeśli wróci do wiedzy, ta znów ją uwięzi, obawiając się jej mocy. Sporządziła więc magiczny napój, tak silny, że jego działanie mogła odwrócić tylko śmierć. – Książę zamilkł, szukając odpowiednich słów. Starał się dobierać je jak najostrożniej, lecz wciąż sprawiały mu ból.

– Podała go nieświadomemu niczego żołnierzowi, a ten natychmiast zapalał do niej wielką miłością. Księżniczka przeklęła swoją bezmyślność, przerażona tym wybuchem uczucia. Próbowwała uciec, lecz do sporządzenia eliksiru użyła krwi swojej i żołnierza. Byli związani ze sobą bez względu na to, gdzie trafili.

– Więc... – Martin spoglądał na Waltera z przerażeniem. – Więc wtedy w wakacje ty... naprawdę chciałeś...

Walter uśmiechnął się do niego. To był posępny, nieco szydyczny uśmiech. Dziwnie obcy na twarzy Waltera.

– Znalazłeś wtedy bardzo ładne wytłumaczenie – powiedział książę. – Byłem pod wrażeniem twojego talentu.

Martin wciąż patrzył na niego oniemiały. Jego

światopogląd właśnie po raz kolejny przechylił się pod dziwnym kątem.

– Pozwól mi wyjaśnić – poprosił Walt. – Musisz zrozumieć, że byłem pod wpływem tamtego eliksiru. Szalałem za nią, ale to była toksyczna miłość. Jednocześnie byłem zakochany i wściekły, że mnie oszukała. Więc to nie tak, że nie miałeś racji, bo trochę miałeś. W tamtej chwili myślałem, że robię to, bo chcę ją chronić, ocalić od Kolegium. A później uświadomiłem sobie, jak bardzo się nienawidziliśmy i jak wielką miałem z tego satysfakcję.

– Nie wiedziałem – wydukał Martin.

– Nikt nie wiedział – przyznał Walter. – Kiedy poznałem Greema, ta sprawa z Ely ciągnęła się już jakiś czas. Inga po prostu uznała, że to urocze i tragiczne, że się kochamy, pozostali to pochwycili. Sądziła, że po prostu jestem romantykiem. Nie potrafiłem im wytłumaczyć, że to zupełnie niezależne ode mnie i że... że tak naprawdę nigdy tego nie chciałem.

Martin westchnął.

– Gdybym tylko wiedział, że to tak wygląda, nie powiedziałbym tego wszystkiego. Nie musiałyś tutaj wcale przychodzić. Nikt by cię nie oskarżał. Nie byłbyś najsłabszym ogniwem.

– Pewnie. – Na twarzy Walta wciąż gościł ten nienaturalny, krzywy, gorzki uśmiech. – Załatwiliby mnie już wtedy, na miejscu. Nie poznałbym Nel, nie wiedziałbym, jak to jest, kiedy ktoś rano podaje ci kawę,

a ty po prostu uśmiechasz się i myślisz o tym, że chciałbyś z tym kimś być do końca życia. I to tak samo z siebie, bez żadnego eliksiru. – Na jego twarz wrócił dobrze znany, łagodny uśmiech. Wrócił dawny Walt.

A Martin poczuł, że po kręgosłupie przebiega mu dreszcz. Nel. Jej drapieżny uśmiech.

„Sądzę, że księżę Walter powinien wreszcie znaleźć sobie dziewczynę, która nie będzie chciała go zabić”.

– Co ona na to?

– Nie wiem – przyznał księżę. – Obwinia mnie o śmierć brata. Nawet jeśli go nie zabiłem, to Nel dobrze wie, że zginął zamiast mnie.

Martin popatrzył na niego przerażony.

Moje cele na nowy rok: zniszczyć Erikę Ekhart, odnaleźć Canelle, upewnić się, że księżę Walter uniknie kolejnej miłosnej tragedii.

– No to wesołych świąt, Martin – powiedział Victor, znosząc walizkę po szerokich schodach głównego hallu Klementinum. – Mam coś przekazać Canelle? Mamy się zobaczyć w święta, pomyślałem, że jeśli masz dla niej jakiś prezent czy coś, to... A, zapomniałem, przecież już chyba się nie spoty...

Walizka nagle się otworzyła się, a część jej zawartości rozsypała po schodach.

– Ups – powiedziała Freddie, chociaż na jej twarzy malował się szyderczy uśmiech. Martin popatrzył

pytająco najpierw na nią, następnie na Victora. Zmarszczył brwi.

Nawet teraz widać było, że Victor jest pedantem i gdyby nawet z walizki wypadły wszystkie rzeczy, tak naprawdę nie narobiłyby zbyt dużego bałaganu

– O co mu chodzi? – zapytał Kobold, który właśnie pojawił się na schodach. Przez ramię miał przewieszony wypchany podróżny plecak. – Jakaś laska? Nie wiedziałem, że macie wspólnych znajomych.

– No i nawet nie chwaliłeś się przyjaciołom! – zauważył Victor. – Nieładnie, będzie jej przykro, kiedy jej powiem. Martin „przyjaźnił się” się z moją kuzynką, a przynajmniej... tak mu się zdawało. Chyba nawet nie wysłała życzeń, prawda?

– Wesołych świąt, Victor – warknął Martin, przechodząc obok. Freddie i Kobold ruszyli za nim.

– Cholera – mruknęła zdziwiona Freddie, stawiając swoją walizkę na chodniku przed kaplicą Klementinum. – To było żałosne nawet jak na niego. Co mu się stało?

– Może traci rezon, bo nie znaleźliście winnego, mimo że zbliża się koniec semestru – podsunął Kobold. Jako bezstronny obserwator radził sobie całkiem nieźle. – No to... chyba wesołych świąt, nie? – Obdarzył ich swoim standardowym, zaczepnym uśmiechem.

Freddie spojrzała na niego pytająco.

– Myślałam, że wszyscy idziemy na Můstek i dopiero tam się rozdzielamy.

– Zabieram się z doktorem Barkerem – odparł Kobold,

pospiesznie naciągając na czoło wełnianą czapkę. – Też wraca do Anglii i będzie korzystał z przejścia Kolegium, to znacznie szybsze niż samolot. Wyszedłem tylko was odprowadzić za bramę.

– A, jasne. Miło z twojej strony – mruknęła pod nosem, odwracając wzrok. Boczyli się nieco na siebie, od kiedy Kobold zrezygnował z chodzenia z nią na treningi i dołączył do grupy Mistrza Taro.

– Pamiętajcie, że widzimy się w sylwestra! – zawołał za nimi.

Martin dobrze wiedział, jaki Kobold miał plan: wyciągnąć dziewczynę ze szponów jej podejrzanej grupy treningowej i przekonać, że grupa Mistrza Taro też ma swoje plusy. Wspólna zabawa mogła ją przekonać. Ale nie musiała. Freddie ledwie zdołała pogodzić się z tym, że w czasie świąt ominą ją dwa treningi.

Martin zastanawiał się, jak to rozegrać, bo miał niejasne wrażenie, że Aisling i Greem rozumieją termin „świętowanie” jako „okazja do spotkania się i snucia rewolucyjnych planów”. Nie był pewien, czy chce wciągać do – i tak już wymykającego się spod kontroli – spisku kolejne osoby.

Kiedy Kobold pozostał w tyle, wciąż machając im ze schodów Klementinum, między Martinem i Freddie zapadła niezręczna cisza. Tak naprawdę nie rozmawiali ze sobą aż tak dużo. Głównie omawiali postępy w śledztwie albo załamywali się nad nieświadomością Kobolda.

– Ta laska, o której mówił Victor... – rzuciła Freddie. – Jakaś twoja była?

Martin z roztargnieniem pokiwał głową, pozwalając jej przyjąć taką wersję wydarzeń.

– Siostrzenica właścicielki sklepu, w którym pracowałem – wyjaśnił. – Pomagała mi podczas egzaminów wstępnych, ale...

– To ta, która została zamordowana?

– Nie. Ale zniknęła bez śladu. Od czasu wakacji nie mam z nią kontaktu. Najwyraźniej w przeciwieństwie do Victora.

Freddie pokiwała głową.

Szli w milczeniu, rozkoszując się słonecznym, chociaż zimnym i wietrznym dniem. I tak ciężko było rozmawiać, biorąc pod uwagę nieznośne natężenie turystów tłoczących się na ulicach, krzyczących do siebie i szturmujących sklepy w poszukiwaniu pamiątek. Wszędzie dawało się słyszeć pełen ekscytacji gwar. Nawet Martinowi udzieliła się atmosfera i zaczął cieszyć się z domowo-świętecznego zamieszania. Przypomniało mu się też, że Klara pisała w liście o jeszcze jednej przesyłce, którą miał dostać właśnie w okolicach świąt. Może to w jakiś sposób pchnie sprawy do przodu.

Nagle usłyszał słowa kolejnej pieśni. Rozejrzał się w poszukiwaniu zabłąkanego jesiennego demona. Przez myśl przemknęło mu pytanie, co właściwie dzieje się z demonami, które nie zdążyły nikogo uprowadzić i wrócić do swojej krainy przed końcem jesieni. Tym razem

jednak to tylko grupka chórzystów w barwnych strojach wykonywała radosną, podnoszącą na duchu pieśń gospel. Turyści raz po raz przystawali, by posłuchać, wrzucić do kapelusza garść drobniaków lub nagrać filmik, dodatkowo blokując ruch.

– Cholera, o co chodzi z tym śpiewaniem? – mruknął Martin. Freddie zerknęła na niego pytająco.

– A o co ma chodzić w śpiewaniu? – Wzruszyła ramionami. – Święta są, to śpiewają.

Martin wskazał jej stojącą pod zegarem Orloj grupkę. Zdawałoby się, że to zwykli kolędnicy, ale Martin nie miał wątpliwości – to ta sama grupka, którą we wrześniu spotkali w Knajpie Morderców. Tym razem też śpiewali o Panu Pieśni.

Król Demonów.

– Nie zauważyłaś? – zapytał, przerzucając sportową torbę z jednego ramienia na drugie. – Od jesieni wszystko kreci się wokół śpiewania. Jesienne demony śpiewają, żeby zwabić ludzi na drugą stronę, ci tutaj nazywają Króla Demonów „Panem Pieśni”, a siebie samych jego ptakami.

– Król Demonów? – Freddie pobladła. Odwróciła wzrok od śpiewaków i mocniej owinęła się szalem. Jakby bała się, że zostanie rozpoznana. – Ten cały Pan Pieśni to tak naprawdę Król Demonów? Ten strach na wróble, o którym ostatnio na zajęciach opowiadał Barker?

Martin pokiwał głową.

– Przynajmniej tak twierdzi Nel. Powiedziała mi

któregoś razu, gdy podobni do nich występowali w Knajpie Morderców.

– Zawracanie głowy – mruknęła Freddie. – Pospieszmy się, spóźnię się na pociąg.

Nie odezwała się już ani słowem aż do stacji Florenc, na której wysiadała, żeby dotrzeć na dworzec.

GDY PRZESTANĄ BIĆ ZEGARY

– Nie czaję tego – mruknął Martin, raz po raz spoglądając w stronę telewizora. Nazajutrz miały zacząć się święta. Olga i Sara, dwie jego młodsze kuzynki, którymi z racji inwazji rodziny musiał się opiekować, siedziały przed ekranem, uważnie oglądając bajkę. Wcześniej próbował zabawiać je przedstawieniem z udziałem Daimona, pana Skarpetki i innych kukiełek, ale ostatecznie przegrał z rysunkowymi królewiczami i księżniczkami.

– Ale czego? – zapytała Olga, zwracając na niego wielkie, błękitne oczy siedmiolatki. – Czego nie rozumiesz?

– No bo czemu ten książę – Martin wskazał na ekran ręką, w której trzymał ozdobione lukrem ciastko – pcha się za tą księżniczką, skoro ona pakuje go w takie kłopoty? Nie mógłby jej olać? – zapytał. Biedny, pechowy i uparty książę z bajki w dziwny sposób przywodził mu na myśl Waltera i jego upodobanie do niebezpiecznych kobiet.

Dziewczynka popatrzyła na niego z politowaniem.

– Książęta już tak mają – powiedziała poważnie.

– Właśnie! – poparła ją siostra. – To taka książęca rzecz. Trzeba się przyzwyczaić.

Martin pokiwał głową. Pozostawało mu tylko ugiąć się

przed żelazną logiką siedmiolatek.

Święta miały dość spokojnie – biorąc pod uwagę, że po roku mieszkania samotnie zwalili mu się do domu nie tylko rodzice, ale też dawno niewidziane wujostwo. Paradoksalnie ta inwazja była szczęściem w nieszczęściu, bo w ten sposób cała uwaga rodziców, która normalnie skupiała się na mieszkającym samotnie synu, teraz musiała zostać rozdzielona na pięć osób.

Zgodnie z obietnicą Klary pod choinką znalazła się paczka przeznaczona dla Martina. Tym razem, ku jego rozczarowaniu, nie był to jednak kolejny komiks, lecz tomik poezji. Martin zidentyfikował zawarte w nim wiersze jako dzieła pani Moravec. Niektóre z nich czytała mu podczas październikowej herbatki, innych jednak nie rozpoznawał. Każdy z nich został przepisany przez Klarę i opatrzony jej rysunkami. Wspólny projekt, o którym wspomniała babcia Magdy. Wiersze w połączeniu z rysunkami Klary nabierały nowego znaczenia i mrocznego tonu. Zbiorek otwierał wiersz o jesieni, opatrzony przerażająco dokładnym szkicem kobiety, którą on sam widywał śpiewającą w metrze. Czarne ptasie oczy, wieniec na głowie, tatuaże. Czy Klara też to wszystko widziała?

Wiersz o strachu na wróble opatrzono rysunkiem tak pięknym i jednocześnie przerażającym, że Martin nie mógł oderwać od niego wzroku. Jednak to nie ta strona najbardziej przykuła jego uwagę, ale to wiersz o praskim zegarze i o tym, że czas umiera, odlatuje i przestaje

istnieć.

„Co zrobisz, ach, co zrobisz, gdy przestaną bić zegary?” – pytała ostatnia linijka. Ilustrujący wiersz obrazek przedstawiał miasto w ruinach i zgliszcza, nad którymi snuły się kłęby dymu i demony. To cały czas była kreska Klary, ale inna, o wiele mniej komiksowa. Dojrzała, bardziej dopracowana. Poprzedni komiks był jakby etapem przejściowym. Ta grafika była ostateczną formą.

Wiersze opatrzone obrazkami Klary śniły mu się przez następne noce. Były mroczne, niepokojące. Przejmujące. Nie podejrzewał, że Klara aż tak bardzo się rozwinęła, że stała się aż tak dobra.

Żałował, że nie miał okazji jej tego powiedzieć.

Głównie ze względu na prezent nie potrafił w pełni cieszyć się z obecności rodziny. Noce wypełniały mu koszmary, w których ozywające obrazki Klary odgrywały główną rolę. Starał się zachowywać to dla siebie, ale ostatecznie i tak nie uchronił się od niewygodnych pytań.

– Na pewno wszystko w porządku na uczelni?

Wzniósł oczy ku niebu, gdy mama po raz kolejny wykorzystwała chwilową nieobecność kuzynostwa, by porozmawiać na osobności.

– Jest okej.

– Gdybyś coś było nie tak, powiedziałałbyś nam, prawda?

– No jasne – odparł, robiąc urażoną minę. – Przecież mamy umowę, tak?

Matka zmierzyła go uważnym, sondującym

spojrzeniem. Wiedział, skąd bierze się jej czujność i bardzo nie chciał kontynuować tej rozmowy.

– No właśnie – powtórzyła z napięciem. – Mamy umowę. Oboje chyba pamiętamy, dlaczego ta umowa w ogóle została zawarta.

Martin wzniosł oczy ku niebu.

– Mamo, to było w podstawówce. Może nie zauważyłaś, ale od tego czasu zdążyłem się nieco ogarnąć.

– Wiem – odparła. Dopiero słysząc ten ton uzmysłowił sobie, że ma do czynienia z lekarzem, na co dzień spotykającym się z najmisterniejszymi kłamstewkami pacjentów. To, że do tej pory w pełni go nie przejrzała, przyniosło cię satysfakcji. – Chcę tylko, żebyś pamiętał, że w razie problemów możesz się do nas zwrócić. Nie musisz rozwiązywać wszystkiego na własną rękę. Szczerze mówiąc, naprawdę wolałabym, żebyś tego nie robił.

– Jasne – odparł, mając nadzieję, że sarkazm w jego głosie nie jest aż tak słyszalny. Przed dalszym ciągiem przesłuchania uratował go Walter.

Mimo początkowych oporów jednak pojawił się w progu. Bez Greema.

– Prosił, żebyś przyszedł dzisiaj na Złotą Uliczkę – powiedział bez entuzjazmu, kiedy już przywitał się z rodziną Martina i owinął ją sobie wokół palca za pomocą dyskretnej, książęcej aury. Sara i Olga debatowały z przejęciem na temat tego, która ewentualnie będzie

mogła go poślubić.

Martin zmarszczył brwi, nieco zmartwiony.

– Coś mu się stało? – zapytał. – Gorzej się czuje?

Księżę pokręcił głową. Z uśmiechem przyjął talerzyk z ciastem, który wcisnęła mu do ręki mama Martina i uprzejmie podziękował.

– Bez większych zmian – odparł. – Ale ona tam dzisiaj będzie.

Nie musiał mówić nic więcej. Ona. Iskra. Zastanawiało go, dlaczego właściwie Walter, tak przeciwny jego udziałowi w spisku, nagle sam przyszedł do niego, żeby powiadomić o spotkaniu. Głównie dlatego wytłumaczył rodzicom, że wraz z Waltem chce odwiedzić znajomego i prawdopodobnie wróci później. Usłyszał tylko, że ma się dobrze bawić.

– Wydają się mili – orzekł Walt, kiedy szli w kierunku stacji metra.

– Są w porządku.

Księżę pokiwał głową, wciąż przyglądając mu się uważnie. Do Martina dopiero po chwili dotarło, że przecież Walter wie. Był obecny na większości zajęć Mistrza Johana. Pewnie już po pierwszych zdążył zorientować się, że w wakacje Martin przedstawił nieco podkoloryzowaną wersję swojej rodzinnej sytuacji. Nigdy o to nie pytał, teraz też powstrzymał się od komentarzy.

– A ty nie chciałeś wrócić do domu na święta? – wypalił Martin, kiedy zbliżali się do stacji.

– Mój dom leży daleko stąd – przypomniał mu Walter.
– Bardzo, bardzo po drugiej stronie. Siedem gór, siedem rzek i tak dalej. Poza tym i tak mogę wrócić, dopiero kiedy będę zdecydowany, że chcę objąć władzę.

– Macie jakiś kontakt? – dopytywał Martin. Zastanawiał się, czy Walt mógł komukolwiek życzyć wesołych świąt. Gdzie święta spędzają Inga, Jo i Ana. Gdzie teraz jest Canelle?

Walt pokręcił głową.

– Zwykle przesyłaliśmy sobie wiadomość za pośrednictwem smoka – przyznał, wzbudzając u Martina poczucie winy. – Ale sam wiesz... Nie szkodzi, naprawdę. – Trącił go łokciem. – Szczerze mówiąc, podejrzewam, że są takie opóźnienia w korespondencji, bo mój ojciec znalazł jakiś sposób na zmuszenie smoka do zboczenia z trasy i teraz wykorzystuje go do swoich celów. W teorii to niemożliwe, ale on zawsze znajdzie sposób.

– Brzmi bardzo... przebiegle – przyznał Martin. Mało wiedział o ojcu Waltera, poza tym, że nie dogadywali się zbyt dobrze. Ostatecznie to z tego powodu księżę wyruszył w swoją podróż i stał się księciem na wygnaniu.

– Przebiegle? – Walter się zaśmiał i pokręcił głową. – To jest Machiavelli bajkowych krain, prawdopodobnie tylko dlatego Żelazny Dwór jeszcze stoi.

Martin nie powiedział tego na głos, ale miał dziwne wrażenie, że – wbrew słowom Waltera – Kolegium miało wystarczająco wiele powodów, by przyjąć księcia do

grona adeptów.

Tym razem najszybszym sposobem podróży było skorzystanie z Knajpy Morderców, zaskakująco pustej o tej porze roku. Przebywało w niej tylko kilku ludzi w staroświeckich strojach – prawdopodobnie mieszkańców Złotej Uliczki. Ponury Marek wytłumaczył, że Stiny nie ma, bo poszła ze świąteczną wizytą do herbaciarni.

Złota Uliczka była podobnie głośna i żywa, jak podczas poprzednich odwiedzin. Ktoś mieszał w ustawionym w drzwiach kotle. Ktoś się śmiał. Ktoś głośno się targował, próbując wywalczyć jak najkorzystniejszą cenę za porcję eliksiru miłosnego. Martin miał wrażenie, że dla lokalnych mieszkańców pora dnia ani roku nie miała tak naprawdę większego znaczenia. Każdy moment był dobry na ubijanie interesów.

Skierowali się w stronę przytulonego do muru domku Greema. Tym razem Walt musiał wystukać na drzwiach wyjątkowo długi i złożony kod, żeby wreszcie się uchylły. Starszy alchemik zerknął przez szparę, przyświecając sobie świeczką, po czym szerzej otworzył drzwi, zapraszając ich do środka. Wskazał schody.

Pokój, w którym Martin był ostatnim razem, zmienił się nie do poznania. Przede wszystkim został oświetlony więcej niż jedną świecą. Kąty wciąż tonęły w mroku, ale teraz o wiele lepiej widział osmaloną miejscami podłogę, książki, a także półki zastawione szkłem laboratoryjnym. Długi, wąski stół przesunięto spod okna na środek pomieszczenia. Stała na nim butelka pełna zielonego

płynu. Absynt. Martin zastanawiał się, czy to zakup z absynterii, czy też wyrób alchemików. Nie wiedział, która opcja jest bardziej ryzykowna. Jedyne fotel zajmował wyglądający nieco wampirycznie Greem. Pozostali goście przycupnęli na skrzyniach i beczkach. Iskra siedziała po turecku na stole, beztrąsko wbijając ostrze noża między rozłożone palce drugiej ręki.

– Witajcie, mili goście! – powiedziała. Wstała, przebiegła po stole, zręcznie omijając butelkę i kieliszki. Wciąż ściskając w dłoni nóż, rzuciła się na Martina, przy okazji zagarniając do uścisku także Walta. – Wspaniale was widzieć!

– Widziałas mnie już kilka godzin temu – powiedział Walter, jednocześnie odbierając jej nóż. Iskra wybuchła śmiechem.

– I już się stęskniłam za tą szlachetną twarzą – odgryzła się, szczypiąc go w policzek. – No dobrze! – Klasnęła w dłonie. – Skoro wszyscy już są, myślę, że możemy zacząć naszą małą biesiadę.

Martin rozejrzał się po pomieszczeniu. Oprócz Iskry i Greema obecni byli też Aisling, Nel oraz szczupły, łysy mężczyzna w skórzanym fartuchu. Jego blade tęczęwki przypominały nieco oczy Greema. Martin już miał spytać o pokrewieństwo, gdy nieznajomy zabrał głos:

– Caspar, przewodniczący gildii alchemików – przedstawił się, widząc dezorientację na twarzy gościa. Iskra prychnęła ze złością. Wyraźnie nie była zachwycona perspektywą udziału alchemika w

spotkaniu. – Jako gospodarz mam święte prawo do udziału w tej małej biesiadzie, prawda? – zapytał, widząc jej złość. – Nie zamierzam wam przeszkadzać, chcę tylko sprawdzić, jak nam w tym roku wyszła ta piołunówka. Poza tym jakoś nie mógłbym spokojnie skupić się na pracy, wiedząc, że siedzicie tu sobie na górze i planujecie rewolucję.

Zrezygnowany Martin pokręcił głową. Miał całkowitą rację co do Greema i Aislinga. „Świętowanie” oraz „spotkanie mające na celu planowanie przewrotu” zdecydowanie stanowiły dla nich synonimy.

– Nie zamierzasz zaczekać na Inge? – zapytała Nel. Przy stole wciąż było jedno puste miejsce. Iskra znów wskoczyła na blat i, jak gdyby nigdy nic, strąciła kieliszek na podłogę.

– Ups, przepraszam – powiedziała, uśmiechając się wyzywająco. W twarzy poprzecinanej bliznami po oparzeniach ten uśmiech sprawiał wyjątkowo demoniczne wrażenie. – Inga miała tu być pół godziny temu. Czas minął. Usiądźcie.

Martin i Greem posłusznie zajęli wolne miejsca. Walter zasłonił kieliszek dłonią, kiedy Iskra chciała mu nalać absyntu. Martin postąpił tak samo. Nie planował wracać do domu pijany i nie zamierzał dać się Iskrze namówić do czegoś, czego nie był pewien.

– Mięczaki – prychnęła.

– Greem. – Martin zerknął na siedzącego obok chłopaka. – Jak się czujesz?

– Chujowo, ale stabilnie – odparł tamten, obojętnie przyglądając się, jak Iskra przygotowuje dla niego nową porcję absyntu. Płomień z zapalki strzelił wysoko w górę.

– Fajnie, że wpadłeś.

– To właściwie co opijamy? – zainteresował się Martin, widząc, że kieliszki Aislinga i Nel również są pełne.

– Zbliżający się koniec roku, w którym Kolegium ma jeszcze cokolwiek do powiedzenia – powiedziała Iskra, stawiając swoją szklankę na stole. Nieco absyntu rozlało się na blat. – Aisling.

Rudobrody demon powstał i zaintonował pieśń o ogniu, tę samą, którą podczas wakacji śpiewał w domu Waltera. Tę, którą powtarzały teraz wszystkie Istoty z Cienia w mieście. Martin poczuł, że przeszywa go dreszcz. Iskra uśmiechała się z satysfakcją. Również poruszała ustami, powtarzając słowa. Nel milczała.

– Co jest z tymi piosenkami? – mruknął. Siedzący obok Walter usłyszał go i unióśł brwi.

– Już niedługo będą to powtarzać wszystkie usta w Pradze – obwieściła Iskra. – Kolegium będzie musiało nas usłyszeć! Będziemy krzyczeć z dachów! Będziemy patrzeć z góry na płonące miasto!

Martinowi przypomniały się grafiki Klary. Obraz płonącego miasta.

„Co zrobisz, ach, co zrobisz, gdy przestaną bić zegary?”.

– To twoja sprawka? – zapytał, uważnie patrząc jej w oczy. – Ty ich podburzasz?

– Po prostu sprawdzam, ilu byłoby potencjalnych zainteresowanych, gdyby ktoś – odkasznęła – zdecydował się przyjąć moją propozycję. Jak widzisz – zatoczyła ręką szeroki łuk – całkiem sporo.

– I co zamierzasz z tym zrobić? – zapytał, świadom, że oczy wszystkich zebranych skupione są na nim. Greem pociągnął kolejny łyk absyntu i zakrztusił się. – Czekać na odpowiedź? Czy może działać pomimo jej braku?

Iskra nawinęła pasemko włosów na palec i zaśmiała się kokieteryjnie.

– Sama nie wiem. – Przygryzła wargi. – Zastanawiam się nad tym, co powinnam zrobić. Jak myślisz, Martin? Jak wy wszyscy myślicie?

– Myślę, że powinniśmy przystopować – zadeklarował Walter. – Zanim wzniesimy pożar, którego nie będziemy potrafili ugasić. Może nie zauważyłaś, ale w tym roku jesiennych demonów było znacznie więcej. Coś je przyciąga. I przykro mi, nie sędzę, żeby to były twoje bajki o rewolucji. – Odstawił pusty kieliszek na bok i wstał, opierając się dłońmi o stół. – To, że śpiewają na waszą nutę, wcale nie oznacza, że walczą o to samo.

– Ogień – odparła, przechylając się do niego przez stół. W jej oczach migotały złowieszcze iskierki. – Ogień najlepiej ukazuje nasze priorytety.

– Ale to dym zmienia perspektywę – wtrącił ze swojego miejsca Martin. Iskra podparła się dłońmi pod boki i popatrzyła na niego nadąsana. Greem zaśmiał się ponuro. –Podróżny to często powtarza.

– Chłopcy mają trochę racji, Iskro – wtrącił milcząco do tej pory Caspar. Dziewczyna spiorunowała go wzrokiem.

– Oprócz waszej piosenki o ogniu w mieście jest popularna jeszcze druga. Ta, która wychwala Pana Pieśni.

– No i?

– Dobrze wiesz, co to znaczy. Król Demonów znów rośnie w siłę, zbiera swoich popleczników. Szuka sposobów, żeby zaatakować. Jego ujawnienie się jest tylko kwestią czasu. Zegarmistrz wciąż jest nieobecny. Plotki głoszą, że ktoś go porwał, żeby zmusić do zatrzymania Orloja. Że wreszcie go złamali i zdradził, jak tego dokonać.

– Ale to się świetnie składa – perswadowała dziewczyna. – To wręcz idealna okazja. Lepsza może się nie nadarzyć. Kolegium będzie zajęte próbą ogarnięcia tego bałaganu, który powstanie po zatrzymaniu zegara. Nie będzie w stanie bronić się ze wszystkich stron. Jeśli zaatakujemy w tym momencie... Martin, jeśli wykorzystasz ten chaos do wyeliminowania Eriki i dasz mi sygnał do ataku, może nam się udać!

– I co dalej? – zapytał mężczyzna. – Zostaniemy tutaj z zepsutym zegarem i Królem Demonów na głowie? Tego chcesz? Chcesz, żeby to miasto wchłonęła druga strona? Żeby przestało istnieć i żeby jego mieszkańcy powiększyli grono Istot Cienia?! Przecież nie będą mieli szans, zwariują albo zostaną pożarci przez te wszystkie demony, które się tu rozpanoszą. Nie damy sobie z tym

rady!

– Chcę się po prostu zemścić! – Chwyciła kieliszek i z całej siły cisnęła nim o ścianę nad głową Greema. Adept wzdrygnął się i rozejrzał nerwowo. – Myślałam, że jesteście po mojej stronie!

– Ten zegar – odezwała się cicho Nel, ciągnąc Aislinga za rękaw i zmuszając, żeby usiadł. – Orloj, tak? Nie jestem stąd, więc nie do końca rozumiem... Dlaczego to jest taka wielka sprawa? To, że może przestać działać?

– Legendy głoszą, że już kiedyś się zatrzymał – odparł Martin, wpatrując się w płomień świecy. Iskra wciąż się wściekała i chodziła po pokoju, mruczając coś pod nosem, ale nie zwracał na nią uwagi. – Wtedy na kraj spadły wszystkie możliwe nieszczęścia. Wojna. Głód, bieda.

– A tak bardziej w praktyce? – zapytał Aisling, zerkając to na niego, to na wściekłą Iskrę.

– Tak naprawdę tylko działający Orloj chroni Pragę przed zalaniem przez stwory z drugiej strony. Przed Istotami Cienia, demonami, wampirami czy upiorami z legend i baśni – wyjaśnił Caspar. – Król Demonów to tylko początek. Wszystkie siły, które do tej pory Kolegium utrzymywało w ryzach, uderzą z całą mocą.

– Bezpiecznik – szepnął rudowłosy demon. – Ten cholerny zegar jest bezpiecznikiem Pragi? – zwrócił się do Iskry. – I ty chciałaś... Ty idiotko! Naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł? Przecież jeśli ktoś chce zatrzymać zegar...

– Praga zapłonie! – Dziewczyna uśmiechnęła się

triumfalnie.

– Chwila! – Martin rozejrzał się po pokoju. – Czym właściwie jest „bezpiecznik”?

– Wujku – Greem zwrócił się do przedstawiciela alchemików – wyjaśnisz mu?

Mężczyzna przysunął sobie butelkę i dolał absyntu.

– Jak pewnie już ci mówiono, chłopcze, granice między światem-centrum, Obrzeżami i naszym światem są bardzo cienkie. Oczywiście są Klucznicy, którzy starają się je kontrolować, otwierać i zamykać drzwi, jest Kolegium, które stara się sprawować władzę i pilnować porządku po obu stronach... różnymi metodami i z różnym skutkiem. – Spojrzał znacząco na Iskrę. – Ale to nie wystarcza. Im większe miasto i im więcej jest w nim przejść... im jest starsze i bardziej przesiąknięte legendami, tym trudniej nad tym zapanować. Dlatego miasta szczególnie istotne dla drugiej strony, takie jak Londyn, Praga i kilka innych, mają jakby... ochronę. Dodatkowe zabezpieczenia, które uniemożliwiają niekontrolowane wdzieranie się Istot z Cienia. Zabezpieczenia sprawiają, że możliwe jest korzystanie wyłącznie z drzwi, a to znacznie ułatwia utrzymywanie porządku.

Martin pokiwał głową.

– Czyli te wszystkie nieszczęścia, o których mówią legendy, to po prostu cień wdzierający się do miasta?

Alchemik pokiwał głową.

– Jesienne demony porywające ludzi ze sobą.

Wampiry, ghule, sukuby, inkuby. Czarownice, chochliki i inne domowe duchy kradnące jedzenie, trolle pod mostami przynoszące pecha, golemy biegające po ulicach. Wszystko to na masową skalę, zbyt wielką, by dało się nad tym zapanować.

– Golemy – powtórzył Martin. – Serio?

– To najłatwiejsze, co można zrobić – powiedział Greem, sadowiając się wygodniej w fotelu. – Golem, zgodnie z legendą, leży na strychu którejś z kamienic – wyjaśnił patrzącej na niego pytająco Nel. – Obudzi się, dopiero gdy żydowska ludność Pragi znajdzie się w niebezpieczeństwie. A jeśli Orloj się zatrzyma, CAŁA ludność Pragi będzie w niebezpieczeństwie, ta część chroniona przez golema również. Obudzi się i wystarczy tylko wypisać na jego glinianym czole odpowiednie słowo, by zmienić rozkaz obrony na atak. Wtedy będzie ślepo posłuszny nowemu panu.

– Czyli nam – upierała się Iskra.

– Raczej Królowi Demonów – zauważył wuj Greema. – Albo osobie, którą ten aktualnie steruje i za pomocą której próbuje odzyskać władzę.

Dziewczyna go zignorowała.

– Musimy się tylko z nimi skontaktować – ciągnęła. Znów zręcznie wskoczyła na stół. – Dowiedzieć się, jakie są ich plany, kiedy zamierzają zatrzymać zegar. Wtedy wystarczy zgrać się z nimi, zaatakować w tym samym czasie.

Popatrzyła na Martina z góry.

– Więc jak? – Wyciągnęła do niego rękę. – Jak będzie, Martin?

Wytrzymał jej spojrzenie.

– Przykro mi, Iskro. Nie tym razem.

Ruszył do wyjścia, nie oglądając się na resztę spiskowców.

– Szkoda, że już idziesz! – krzyknęła za nim Iskra. W porę uchylił się przed pustym kieliszkiem, którym cisnęła w jego kierunku. Doszedł do wniosku, że wuj Greema musi mieć w domu naprawdę dużo zbędnego szkła, skoro przyzwala na takie marnotrawstwo. – Gdybyś został chwilę dłużej, może usłyszałybyś, kogo spotkali na swojej drodze moi pierzaści przyjaciele? Może dowiedziałabyś się, gdzie poszła Canelle i jaki los ją spotkał?

– Co?! – warknął, powoli odwracając się w jej stronę. Walter rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

– Może usłyszałybyś też, dlaczego już jej nie zobaczysz?

DARMODZIEJ

– Ściemniała – powiedział Walt, klepiąc Martina po plecach. Chłopak w milczeniu wpatrywał się w stojący przed nim kufel piwa. – Nie mogła nic wiedzieć.

– Właśnie – przyznała siedząca obok Nel. – To na pewno blef. Dobrze, że nie wdawałeś się w dyskusje, tylko od razu wyszedłeś.

Stina przyglądała im się zza baru, napełniając kolejny kufel. Tego dnia miała na sobie krótką, czarno-niebieską, brokatową sukienkę z gorsetem i karnawałową maskę ozdobioną pawimi piórami. Widocznie starała się jakoś oddać atmosferę ostatniej nocy roku.

– Co się działo później? – zapytał Martin, wciąż gapiąc się na swój kufel.

Od spotkania na Złotej Uliczce minęło pięć dni, a on nadal zastanawiał się, co takiego na temat Canelle wiedziała Iskra i czy nie powinien był jednak poprzeć jej planu. Zupełnie nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wykorzystując ostatnie chwile z rodziną, nie miał nawet okazji, żeby skontaktować się z innymi uczestnikami spotkania.

W sylwestra, po pożegnalnym obiedzie i odprowadzeniu rodziców na lotnisko, Martin się spakował, zamknął dom i poszedł do Knajpy Morderców. Na miejscu byli już Walter i Nel. Nie miał nawet siły, by

martwić się, co z tego wyniknie. Siedział w ich towarzystwie, sącząc piwo i czekając na wiadomości od Freddie i Kobolda. Planowali dołączyć, ale na razie wciąż jeszcze byli w podróży do Pragi.

– Nic się nie działo – odparł Walter. – Okazało się, że Mistrz Dieter patroluje Hradczany, więc wpadli ci jej skrzydlaci przyjaciele i zabrali ją ze sobą. Caspar zszedł na dół zapewnić Dietera, że wszystko w porządku i nic się nie dzieje. My dopiliśmy piółunówkę i tyle.

– Aisling pokłócił się z Iskrą – dodała ponuro Nel. – I to tak dość ostro. Jemu też nie podoba się pomysł z zegarem.

– A komuś się podoba? – zapytał Martin.

Walt zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie. To był wyjątkowo głupi pomysł. Nawet gdybyś się zgodził, ja bym cię nie poparł. Pozostali też nie. To, że ona uznała cię za twarz rebelii, nie oznacza, że się pod tym podpisuję i uważam ciebie za osobę decyzyjną.

Martin popatrzył na niego z wdzięcznością. Podobała mu się ta szczerść Waltera. Przemawiał przez niego żołnierz, którym Walt też bywał podczas swoich podróży. Ktoś, kto słuchał rozkazów i je wydawał, kto po prostu się na tym znał.

– A jeśli ona naprawdę wie coś o Canelle? – Upił pospiesznie kilka łyków. – O tym, gdzie ona jest, co się z nią stało...

– Powiedziała, że być może wie, dlaczego już jej nie zobaczysz – odezwał się Greem, stając za jego plecami.

Wciąż był blady i miał podkrążone oczy, ale nie był już tylko wyjątkowo znerwicowanym kościotrupem. Walt i Nel skinęli mu na powitanie. – To znaczy, że nawet jeśli przypadkiem coś wie i nawet jeśli to przypadkiem jest zgodne z prawdą, tak naprawdę nie ma to większego znaczenia. Cokolwiek to jest, nie masz na to wpływu. Nawet gdyby nasza Iskierka była z ciebie zadowolona i zaczęła gadać, pewnie dowiedziałbyś się czegoś, co tylko dokopałoby ci bardziej.

Nie zabrzmiało to szczególnie pocieszająco.

– O czym tak gadacie? – zagaiła Stina, stawiając na blacie kolejny kufel piwa. – Cześć, Greem. Lepiej wyglądasz.

– Dzięki. – Dziedzic alchemików oparł się wygodniej o blat. – Właśnie stwierdziliśmy z Martinem, że czasem niewiedza to błogosławieństwo. Zwłaszcza jeśli za wiedzę trzeba płacić. A skoro o płaceniu mowa... – powiedział i rozejrzał się po zatłoczonym lokalu. Wszystkie stoły były już zajęte od dłuższej chwili, dlatego Martin, Walter i Nel tłoczyli się przy barze. – Interes chyba teraz wam wyjątkowo kwitnie?

– Dziwna tu jest dzisiaj atmosfera. – Stina rozejrzała się niespokojnie po sali. – Niby mamy koniec roku i w ogóle, ale jak dla mnie to... nie na to wszyscy tutaj czekają.

– A na co? – zapytał Martin.

– Może nie wszyscy, ale przynajmniej niektórzy z nich – barmanka ściszyła głos tak, że musiał się nad nią nachylić – czekają na sygnał do ataku.

Martin wzdrygnął się mimowolnie. Przed oczami znów stanęły mu przerażające szkice Klary. Odwrócił się, jakby spodziewając się ujrzeć za sobą demona z rysunku.

– Turystki też? – rzucił zaczepnie Greem, wskazując na mały, kwadratowy stolik w kącie, który Martin pamiętał aż za dobrze. Latem zajmował go pewien początkujący płatny zabójca. Teraz siedziały tam trzy bardzo blade i bardzo eleganckie dziewczyny w wieku studenckim, całkowicie pochłonięte rozmową. Blondynka, brunetka i ruda – wszystkie ładne i długowłose.

– Nie no, turystki jak zwykle przyszły tutaj sobie strzelić Krwawą Mary, zanim wyruszą w miasto na łowy – odparła rozbawiona Stina. – Nawiasem mówiąc, Martin, będzie dzisiaj ten wasz kolega? Ten taki wysoki, blondyn, co nawet w mowie Obrzeży nawija z walijskim akcentem?

– Będzie. – Martin sięgnął po telefon. – Napisał mi, że już tu jedzie metrem razem z Freddie. Wolą wejść od Černego Mostu, bo na Złotą Uliczkę sami nie trafią.

– To lepiej niech uważa. – Stina wciąż dyskretnie zerkała w stronę tajemniczych piękności w kącie.

– Co, spodobał ci się?

– Mnie nie. Po prostu nie chcę, żeby nasze turystki zaciągnęły go do mieszkanka i zeżarły. – Uśmiechnęła się krzywo. – Zazwyczaj tak to się kończy, jak ktoś im wpadnie w oko, a nie jest miejscowy.

– Turystki? – upewnił się Martin.

– Wychodzą tylko po zmroku – wyjaśnił pośpiesznie

Greem. – Wpadają tutaj na drinka, później przenoszą się do jakiegoś pubu bardziej otwartego na ludzi z centrum. Zaczepiają przyjezdnych, mówią, że przyjechały tu na kilka dni i chciałyby pozwiedzać miasto w miłym towarzystwie. Wyciągają ich na Hradczany, pokazują uroki miasta nocą, później zabierają ich do swojego mieszkania i nikt tych ludzi już więcej nie widzi żywych. Czasem znajdowane są ciała wysane z krwi do cna.

– Wampiry? – zdumiał się Martin.

– Hradczańskie wampiry.

Popatrzył uważnie na Stinę i Greema, na kobiety, na tacę z drinkami.

– Naprawdę? – mruknął. – Wampiry? Wampiry pijące Krwawą Mary?

Telefon zawibrował. Tym razem Kobold nie pisał, tylko dzwonił, domagając się, żeby Martin po nich wyszedł i pomógł im trafić na miejsce.

Kiedy Kobold i Freddie wreszcie dołączyli, wieczór mijał dość spokojnie. Martin nie przepadał za wypadami do centrum. Kojarzyły mu się głównie z hukiem, ścisaniem i fajerwerkami wrzucanymi do koszy na śmieci. Bardzo odpowiadało mu to, że Greem, Aisling i reszta grupy Mistrza Taro rozsiadła się w Knajpie Morderców na dobre. Ingi wciąż nie było i Martin zaczął zastanawiać się, co właściwie się działo. Nie przyszła też na świąteczne spotkanie, co wyraźnie zdenerwowało Iskrę. Czyżby całkiem odcięła się od grupy spiskowców?

Stina śpiewała, zabawiając tych gości, którzy akurat

chcieli jej słuchać. Turystki siedziały w kącie, najwyraźniej omawiając strategię łowów. Czuć było atmosferę niepokoju i nerwowości. Dziwne, niezrozumiałe napięcie narastało z każdą kolejną piosenką. Tak jak mówiła Stina, większość zgromadzonych na coś czekała.

Bynajmniej nie na północ.

– Greem! – zawołała ze sceny Stina, kiwając palcem na podopiecznego alchemików. – Pomożesz mi?

Upił łyk piwa i uśmiechnął się krzywo.

– Skoro muszę. – Westchnął z rezygnacją.

– Musisz, musisz. Ty masz gitarę, a mnie nie ma kto akompaniować.

Greem przerzucił instrument przez ramię i podszedł do miniaturowego podwyższenia. Zaczął grać prostą, wpadającą w ucho melodię. I – o dziwo – zaczął też śpiewać.

Przez moment Martin poczuł się zazdrosny o ich swobodę, o ich współpracę. Podniósł wzrok, czując na sobie spojrzenie Stiny. Patrzyła wprost na Martina, jakby chciała mu coś przekazać. Jakby śpiewała dla niego. Uniósł głowę i nasłuchiwał uważnie, nie chcąc uronić ani słowa. Nie znał tej piosenki. Nie kojarzył jej z żadnym filmem ani musicaliem, nie był to też kolejny jazzowy cover. Utwór opowiadał o ucieczce, o chowaniu się, o tym, że świat jest groźny i wszędzie czają się wrogowie. Jakoś nie mógł odmówić temu racji, szczególnie widząc spojrzenia i szeptu niektórych gości.

Zarówno Stina, jak i Greem zostali nagrodzeni gromkimi brawami.

– Są jacyś inni chętni? – zawołała do mikrofonu Stina, zaczerwieniona i zdyszana. Greem wciąż kłaniał się z typową dla niego nonszalancją. – Aisling? Nel?

Oba irlandzkie demony pokręciły głowami – może to i dobrze, biorąc pod uwagę wywrotowy repertuar Aislinga. Propozycja oddania mikrofonu gościom spotkała się jednak z ogólnym uznaniem. Starszy jegomość radośnie zaintonował ludową piosenkę o czesaniu koni, którą podchwycili niemal wszyscy zebrani. Greem nucił, klaszcząc do rytmu. Zabawa trwała przez dłuższy czas, bo starszy pan okazał się być skarbnicą ludowych piosenek i nie dał się łatwo ściągnąć z podestu.

– Lepiej uważaj – zadrwił Martin, gdy kelnerka przechodziła obok niego. – Jeszcze cię wygryzie z roboty.

Stina tylko się roześmiała.

– Niedoczekanie!

Następnie na scenę wyszła Inga. Greem, Aisling i Nel wymienili zaniepokojone spojrzenia. Nie zauważyli nawet, kiedy dziewczyna pojawiła się w lokalu. Nie podeszła do nich, nie przywitała się.

Teraz jednak stała na podeście, z grubym warkoczem przerzuconym przez ramię i jakby nigdy nic śpiewała piosenkę Jaromira Nohavicy. Śpiewała ją tak, że Martinowi po plecach przebiegł dreszcz. Nie miała tak dobrego, wyćwiczonego głosu jak Stina czy Nel, mimo to

jednak przyciągała jakąś złowrobną energią. Uśmiechała się drapieżnie, patrząc po zebranych:

*Przez miasto wczoraj szedł
ot – zwykły domokrążca
a drogi jego kres
znaczyła krwawa wstążka
flet jego wzięłam ja,
a brzmiał mi niczym dzwon
i był w nim cały żal
i czerń tysiąca wron
i wtedy już wiedziałam, że ja to on...*

Jej ciemne oczy były pełne satysfakcji, zaczepne, jakby zrobiła wszystkim świetny dowcip. Martin dobrze znał i pamiętał słowa, jednak w ustach Ingi nabierały nowego znaczenia. To brzmiało tak, jakby po prostu opowiadała gościom, co jej się przydarzyło. Że rzeczywiście napotkała gdzieś w nocy starego barda, któremu odebrała flet i przez to zajęła jego miejsce. Greem zeskoczył z barowego stołka i pospiesznie narzucił swój obszarpany płaszcz. Inga śpiewała dalej:

*Wasz Darmodziej, miłość gram, wierny waszym losom
Bard, który zna wszystkie sny i przemyka nocą
Wasz Darmodziej, słodki grzech z jadem pod językiem
Gdy sprzedać chce to co mam – igły ze słownikiem.*

– Martin – szepnął Kobold, lekko trącając go w ramię. –

Co się dzieje?

W całej karczmie zrobił się nagle ruch. Goście zaczęli prosić o rachunki, oddawać kufle i zbierać się do wyjścia. Greem i Aisling już dawno zniknęli w tłumie, Ingi też nigdzie nie było.

Darmodziej. Bard, który zna wszystkie sny. Pan Pieśni, o którym na rogach ulic śpiewają tajemniczy chórzyści. Inga stojąca przed nimi i śpiewająca o tym, że odebrała mu flet. To mógł być zwykły zbieg okoliczności. Nie od dziś Martin wiedział jednak, że na Obrzeżach nie ma przypadków i nic nie jest oczywiste. Bez względu na to, co wspólnego miała z tym Inga, to właśnie był znak. Znak, na który czekali chyba wszyscy sylwestrowi goście Knajpy Morderców.

Również sięgnął po swoją kurtkę.

– Musimy iść – powiedział. Walt, Kobold, Greem i Freddie popatrzyli na niego pytająco. – Musimy dostać się do centrum, zanim wybijie północ. Nie mamy czasu! – warknął.

W tłumie turystów zmierzających na rynek spotkali Gusa i Lottę. Udało się ich rozpoznać głównie dzięki temu, że Lotta znów ubrała się w gotycką sukienkę. Dłonie schowane miała w futrzaną mufkę. Zdawała się łaskawie tolerować obecność Gusa, zazdrośnie idącego obok niej i mordującego wzrokiem każdego oglądającego się za dziewczyną turystę. Victor, Jo i Ana również byli

na mieście, w towarzystwie adeptów drugiego roku.

Kiedy wreszcie dotarli w pobliże zegara, była za pięć dwunasta.

Przeciskanie się przez tłumy turystów okazało się niełatwym zadaniem, zwłaszcza gdy chyba wszyscy coś pili, wszyscy chcieli robić grupowe zdjęcia i wszyscy krzyczeli.

– Zdążyliśmy na odliczanie – wydyszał Kobold, opierając się o ścianę budynku. Zdjął z głowy wełnianą czapkę i zaczął się nią wachlować. Martin popatrzył na niego ze zdumieniem.

– Jakie odliczanie?

Otaczali ich roześmiani ludzie z butelkami szampana i plastikowymi kubeczkami. Każdy coś śpiewał i każdy na inną melodię.

– Jak to jakie odliczanie? – zapytał Kobold. Freddie również zerknęła nieufnie na Martina. Gdzieś za nimi wystrzeliła petarda. – Przed rozpoczęciem nowego roku. Zawsze tak się robi.

Martin tylko się zaśmiał.

– Coś ty, nie tutaj. – Wzruszył ramionami. Cały czas spoglądał w górę, na tarczę zegara, próbując ustalić, czy wygląda na zepsuty. – My tutaj po prostu napierdzielamy fajerwerkami do drugiej w nocy.

– Właśnie widzę – burknął Gus. Z racji swojego lichego wzrostu musiał stać na palcach, żeby cokolwiek zobaczyć w morzu ludzkich głów.

– Szkoda. – Freddie westchnęła. – To taka fajna

tradycja.

Kobold zerknął na wyświetlacz swojego telefonu.

– Nic straconego. Zasadniczo możemy sobie zrobić własne odliczanie.

Martin przyznał mu rację. Jeśli coś miało się stać o północy, wolał wiedzieć, kiedy dokładnie jest północ, a przy tym wszechogarniającym chaosie naprawdę trudno byłoby zauważyć właściwy moment. Aż podskoczył, słysząc za plecami huk kolejnej petardy.

– Dobra, teraz można – ocenił Kobold. – Dziesięć.

– Dziewięć – dołączyli do niego Freddie, Nel i Gus. Rozchichotane, pijane studentki przepychały się przez tłum, jedna z nich boleśnie trąciła Martina łokciem pod żebro. Nikt nie zwracał uwagi ani na odliczanie, ani na zegar.

Liczyła się wyłącznie zabawa.

– Sześć!

– Pięć!

Błyszczały flesze. Ludzie krzyczeli, muzyka dudniła.

– Dwa!

– Jeden!

Nic się nie stało.

Całkowicie nic.

Zegar znieruchomiał. Wskazówka uparcie wskazywała prawie-że-dwunastą. Nie było figurek spacerujących wokół tarczy. Poza nielicznymi grupkami nieco trzeźwiejszych turystów absolutnie nikt się tym nie przejął. Zabawa trwała nadal, na rynku, na przyległych

uliczkach, na moście.

W całym centrum.

Martin zaś poczuł przebiegający po plecach dreszcz.
Przełknął ślinę.

Głos pani Moravec czytającej poezje rozbrzmiewał mu
w głowie:

„Co zrobisz, ach, co zrobisz, gdy przestaną bić
zegary?”.

GOLEM

Nagle podskoczył. Odgłos, który dobiegł od strony żydowskiego cmentarza przypominał huk, jak gdyby coś bardzo ciężkiego uderzyło o ziemię. Martin niemal czuł, jak bruk pod jego stopami rezonuje z każdym kolejnym uderzeniem. Z okolicznych budynków zaczął sypać się tynk, a w witrynie restauracji pojawiła się pajęczyna pęknięć.

To nie uderzenia, to kroki – uświadomił sobie Martin.

Kroki, od których trzęsła się ziemia.

Miny pozostałych adeptów mówiły same za siebie: też to słyszeli. Instynktownie zbili się w ciasną grupkę. Byli prawie wszyscy, tylko Lotta gdzieś zniknęła.

– Co jest, do cholery? – warknął Gus, rozglądając się w poszukiwaniu dziewczyny. Pobladł i cicho westchnął. – O ja pierdole...

Martin i pozostali odruchowo spojrzeli w kierunku, w którym spoglądał Gus.

Na tle nocnego, pochmurnego nieba rysowała się potężna postać, górująca nad dachami kamienic. Niewątpliwie zmierzała w ich kierunku. Kroki były coraz donośniejsze.

Zgromadzeni na rynku turyści również dostrzegli już, że coś jest nie tak. Ucichli, szeptali coś do siebie, zbijając się w ciasne grupki. Wciąż mieli wyciągnięte telefony

komórkowe. Niektórzy zaczęli już przeciskać się w kierunku stacji Můstek. Jeszcze nie biegli i nie tratowali się nawzajem, ale od wybuchu paniki dzieliło ich niewiele. Wystarczy, żeby ktoś krzyknął.

– Co to... – wyszeptał Kobold. Z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał jeszcze raz. – Co to jest?!

Martin i Walter wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Przecież o czymś takim właśnie Greem mówił zaledwie kilka dni temu.

– Golem – wyszeptał Martin. – Pierwszy golem obudzi się, gdy tylko zagrożona zostanie ludność Pragi.

Kobold poruszył ustami, nie wydobył się z nich jednak żaden dźwięk. Widać było jednak, że próbuje powtórzyć słowo, które wypowiedział Martin. Teraz wszyscy adepci widzieli już wielką głowę, wyłaniającą się z pobliskiej kamienicy. Świąteczne dekoracje podświetlały wyrzeźbioną z gliny toporną twarz, podkreślając bezduszość rysów.

– Pamiętam tę legendę – mruknęła Freddie. Nie mogła oderwać wzroku od potwora. – Ale zaraz, czy... Czy on nie został stworzony po to, żeby chronić mieszkańców? To znaczy, że... nie jest groźny, prawda?

– Żydów, kretynko – poprawił ją Gus. – On został stworzony przez rabina Maharala, żeby bronić żydów przed resztą mieszkańców. A później zaczął mordować tych, którzy go stworzyli. Tak czy inaczej – popatrzył w błyszczące złowrogą czerwienią oczy nadchodzącego potwora – nie liczyłbym na to, że zostanie naszym

kumplem.

– Inni ludzie go nie widzą – spostrzegła Freddie. – Więc może wcale im nie zagraża, może nic się nie stanie, jeśli... Wystarczy tylko zgłosić, że go widzieliśmy i...

– Na razie go nie widzą – uściślił Walter. – Zobaczą, jeśli tylko wyrządzi jakąś większą szkodę, zdepcze kogoś albo zniszczy budynek. Wtedy nagle wszyscy okażą się zdolni do widzenia manifestacji drugiej strony – tłumaczył. Gus odpalił papierosa. Ani na moment nie spuszczał z potwora z oczu. – A kiedy wszyscy zobaczą w centrum Pragi gigantycznego potwora, wybuchnie panika.

Martin czuł, jak łomocze mu serce. Otaczający go adepci chyba nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, że to nie golem jest ich największym problemem. Była nim psychologia tłumu.

– Panika wybuchnie, nawet jeśli go nie zobaczą. Tylko pomyślcie. Ci wszyscy pijani, nieogarnięci turyści nie mają pojęcia, co się dzieje. Słyszą hałas i widzą pękające szyby, ale nie mają pojęcia, jakie jest tego źródło. Oglądają telewizję, wiedzą, co się dzieje na świecie. Widzieliście, jak tu jest ciasno, ledwie się da gdziekolwiek przecisnąć. Wystarczy, że ktoś się przewróci albo powie coś głupiego, a zrobi się tu takie piekło, że ten golem sam się przed nimi schowa. Musimy ich skłonić, żeby stąd odeszli!

Golem tymczasem obojętnie przeszedł obok zegara, jakby ten nie miał dla niego większego znaczenia.

Skrecił. Zaczął nieznośnie wolno iść przez plac. Nikogo nie nadepnął, ludzie instynktownie usuwali się z drogi niewidzialnego zagrożenia. Wpadali na siebie i awanturowali się, zwiększając zamieszanie.

Napięcie rosło.

– Musimy biec do Klementinum – wydyszała Ana, która właśnie przecisnęła się do nich przez tłum, ciągnąc za sobą Jo oraz Victora. – Poinformować któregoś z wykładowców. To przecież ich praca, prawda? Prawda?

– Mistrz Dieter – odpowiedziała Freddie. Martin zerknął na nią czujnie. – On się zajmuje utrzymywaniem porządku, a ja wiem, gdzie go znaleźć.

– Idzie do ratusza! – krzyknął Kobold. Papieros wypadł z ust Gusa. – Musimy go powstrzymać.

– Nie możemy sami walczyć z golemem, przecież...

Stwór wydał z siebie kolejny gardłowy pomruk. Wyciągnął rękę, najwyraźniej gotowy do rozpoczęcia demolki. Victor podbiegł kilka kroków do przodu i ściągnął z głowy kaptur. Uniósł obie ręce.

Martin ze świstem wciągnął powietrze.

Z dłoni adepta wystrzeliły półprzezroczyste, połyskujące srebrzyście nici, przypominające żyłki, na których mocuje się marionetki. Podczepiły się do wyciągniętej dłoni golema, następne zaś owinęły się wokół jego ramion i torsu. Poirytowany stwór ryknął.

– Co on wyprawia? – dopytywała Freddie. – Co on niby chce zrobić?! Udusić go?

– To nici manipulatorów – wyjaśniła Ana. – Próbuje go

wziąć na sznurki. Jeśli przejmie kontrolę nad jego duszą, zdoła go zatrzymać.

Zatem tak się to robi – pomyślał Martin. Cały czas miał w pamięci spotkanego kiedyś w metrze demona i jego gniew na pracowników Kolegium.

Adepci wpatrywali się jak urzeczeni w nagle znieruchomiałego potwora. Nie ruszał się, zaskoczony i zbity z tropu. Czyżby się udało? Czyżby to wystarczyło, by go unieruchomić?

Golem napiął wyrzeźbione z gliny mięśnie i poruszył ręką. Srebrzysta nić owinięta wokół jego ramienia zerwała się i natychmiast zdematerializowała. Potwór ze złowróżbnym pomrukiem zaczął uwalniać się z więzów. Znowu zamachnął się na budynek ratusza. Nel przycisnęła obie dłonie do ust.

– To na nic!

– Więc trzeba mu pomóc! – zdenerwowała się Jo. – Nie stójcie tak, to nie jest trudne! Ja i Ana pokażemy wam, co robić!

– Wy tak na poważnie? – upewnił się Gus. Sądząc po jego minie, ostatecznie pozbył się złudzeń co do poczytalności otaczających go adeptów. – Naprawdę wydaje wam się, że to coś ma duszę, nad którą można zapanować?! Przecież to tylko ożywiona glina!

Nagle golem zachwiał się, jakby ugodzony pociskiem.

Inga, Greem i dwoje adeptów drugiego roku stali na dachu jednej z kamienic. Ustawili się bokiem, w pozycjach typowych dla łuczników, z jedną dłonią przy

policzku, a drugą wyciągniętą przed siebie. W tym samym momencie wykonali gest imitujący wypuszczenie strzały, a golem cofnął się, jakby znów coś go uderzyło. Martin przypomniał sobie scenę z niewidocznym ostrzem w dłoniach Ingi. Najwyraźniej inne rodzaje broni też wchodziły w grę. Może to właśnie był sposób na walkę z potworem? Golem bardzo szybko rozwiął te przypuszczenia. Zwrócił się w stronę kamienicy, na której stali manipulatorzy i ruszył w jej kierunku, wydając z siebie złowrogi ryk.

– Cóż, przynajmniej odczepił się od ratusza – skwitował Kobold. Nikt nie miał wątpliwości, że Inga, Greem i ich towarzysze broni są w niebezpieczeństwie. Martin stracił ich z oczu, gdy rzucili się do błyskawicznej ucieczki. – Może my też do niego postrzelamy?

– Sam do niego postrzelaj, jak umiesz – warknął Victor, wciąż próbując unieruchomić golema nićmi. Potwór wciąż je zrywał z godnym podziwu uporem. – Ale wcześniej błagam cię, wleź na jakiś dach, bo inaczej przylezie za tobą na sam środek rynku i będzie problem.

Martin w myślach przyznał mu rację. Atak niewidzialną bronią odwróciłby uwagę golema od uciekinierów, ale jednocześnie pociągnąłby go głębiej w tłum. A gdyby tym razem kogoś nadepnął? Wybuchowało coraz więcej sprzeczek i pyskówek. Gdzieś w oddali rozległ się sygnał karetki. Ten dźwięk uświadomił coś Martinowi.

– Ludzie. Musimy pozbyć się stąd ludzi! – Zwrócił się w

stronę pozostałych adeptów. – Nie ma na co czekać! Co z tego, że rozwalimy golema, jeśli wcześniej sami się stratują albo zbiorowo padną na zawał?! Musimy zmusić ich, żeby się uspokoili i poleżli stąd w cholerę! Nie wiem jak, ale jesteśmy przecież manipulatorami! Musimy coś wymyślić!

W oczach Gusa pojawiła się isierka nadziei, że może jednak nie wszyscy postradali zmysły.

– Łatwo powiedzieć. – Ana przygryzła wargę. – Gdybyśmy tylko mieli ze sobą swoje instrumenty... Moglibyśmy na nich zagrać, nakłonić ich do współpracy.

– Mamy Nel – uświadomił sobie Walter. – I Aislinga. Możemy odciągnąć ich stąd śpiewem. Oczywiście jeśli zgodzisz się pomóc – zwrócił się do adeptki. Po śmierci Neda nie rwała się do śpiewania. – I jeśli uda nam się zlokalizować Aislinga.

Nel odgarnęła opadające na twarz jasne kosmyki.

– Jeśli zacznę śpiewać, Aisling usłyszy mój głos – zadeklarowała. – Dołączy do mnie.

Martin miał szczerą nadzieję, że w repertuarze irlandzkich demonów poza pieśniami o ogniu i zemście figurują też utwory o wydźwięku: „Wszystko jest dobrze, możecie się rozejść”.

– Freddie, wspominałaś, że wiesz, gdzie jest Mistrz Dieter – powiedział. Dziewczyna potwierdziła skinieniem głowy.

– Komisariat na Starym Mieście. To w tamtą stronę. – Pokazała ręką kierunek. Przy przejściu prowadzącym na

ulicę wciąż tłoczyli się ludzie, starając się wywalczyć sobie drogę ucieczki. Wściekłe ryki golema, przypominające grzmiot przetaczającej się burzy, tylko potęgowały poczucie zagrożenia i wzmagaly zamieszanie.

– Pójdę tam z tobą – zdecydował Martin. – Po drodze spróbujemy trochę ogarnąć ten burdel i pokierować ruchem. I tak musimy się tamtędy przepchać. Potrzebuję, żeby dwie osoby ruszyły w stronę Kolegium. Jo, Ana, wy chyba byłyście chętne.

– Nie mogę zostawić Victora – zaprotestowała Jo. – Pomogę mu! Tylko dzięki niemu ten potwór jeszcze ich nie dorwał. – Wskazała na adeptów drugiego roku, wciąż uciekających przed rozwścieczonym golemem.

Nie czekając na odpowiedź Martina, zrównała się z Victorem i również rozprostowała ręce. Widać było, że tworzenie manipulatorskich nici kosztuje ją znacznie więcej energii. Adeptci wymienili porozumiewawcze spojrzenia i stanęli bliżej siebie. Ich nici zaczęły się ze sobą splatać. Stały się grubsze, mocniejsze. Nie zdołały zatrzymać golema, ale dawały adeptom czas na ucieczkę. Martin odetchnął z ulgą, gdy dostrzegł rozwiany płaszcz Greema na sąsiednim dachu. Dziedzic alchemików cisnął czymś w potwora. Huknęło, błysnęło, a powietrze wypełnił ostry zapach saletry. Golem ryknął, wściekły i zdezorientowany. Kolejny woreczek wybuchnął tuż pod jego nogą, wzbijając w powietrze feerię kolorowych iskier. Ana spoglądała na Jo i Victora, niepewna, czy do

nich dołączyć, czy biec po pomoc.

– Chodź! – krzyknął Kobold. – Pójdziemy w stronę Klementinum. Spróbujemy ogarnąć ten tłum od strony Karlovej. Gus, idziesz z nami?

Chłopak wyciągnął kolejnego papierosa.

– Zostanę z tą dwójką kretynów. – Wskazał na Jo i Victora, wciąż usiłujących powstrzymać golema przed zmiążdżeniem Greema i Ingi ogromną pięścią. – Ktoś normalny musi mieć na nich oko.

Nikt nie miał co do tego wątpliwości. Koncentrując się tak bardzo na tkaniu sieci, adepci byli podatni na wiele innych zagrożeń, chociażby ze strony tłumu.

Kobold pociągnął dziewczynę za rękaw kurtki.

– Chodź, Ana.

Dziewczyna rzuciła ostatnie rozpaczliwe spojrzenie w stronę przyjaciółki i ruszyła za Koboldem. Po chwili oboje zniknęli w tłumie.

– Ja pójdę z Nel – zadeklarował Walter. – Musimy znaleźć takie miejsce, żeby wszyscy mogli ją dobrze słyszeć.

– Uważajcie na siebie – poprosił Martin. – Wy też – zwrócił się do Gusa. Adept gestem nakazał im, by nie marnowali czasu.

Martin i Freddie brnęli przez tłum przy akompaniamencie alchemicznych fajerwerków Greema i wybuchających koszy na śmieci. Martin rozpaczliwie

próbował przypomnieć sobie wszystko, czego uczył się na temat zbiorowej paniki. W tłumie łatwo zatracić indywidualność, nikt nie czuje się odpowiedzialny i wszyscy skłonni są do przesadnych reakcji. Trzeba informować. Trzeba spokojnie przekazywać wiadomości, wskazywać drogę, nie dać się ponieść emocjom i zachować zimną krew. On i Freddie robili, co w ich mocy, by przekonywać, że nic złego się nie stało, nie ma żadnego pożaru ani ataku, po prostu ktoś się przestraszył i wzbudził niepotrzebne zamieszanie. Cała impreza jest pod kontrolą policji i innych służb, nie ma najmniejszych powodów do obaw.

Niosący się nad rynkiem kobiecy śpiew działał na ich korzyść. Przecież gdyby istotnie działo się coś złego, nikt by nie śpiewał, zwłaszcza z takim spokojem i pewnością. Przecież gdyby to była pieśń żałoby, śpiewaczce łamałyby się głos, byłoby w nim słychać łzy. Drugi głos, który dołączył po dłuższej chwili, również niósł ze sobą pewność i siłę, radość z rozpoczynającego się roku. Ludzie przystawali, by posłuchać, przestawali biec i przepychać się do przodu. Pozwalali sobą kierować i z lepszymi sercami oddalali się ze strefy zagrożenia. Nawet jeśli rzeczywiście na moment wszystko wymknęło się spod kontroli, sytuacja została opanowana. Znalazły się osoby chętne przejąć inicjatywę, służby zadbały o odpowiednią informację i ewakuację – jeszcze jeden udany miejski sylwester bez większych incydentów.

– Dokąd idziemy? – zapytał Martin, kiedy skręcili w

jedną z bocznych uliczek. Tłumy powoli się rozchodziły, zrobiło się ciszej i spokojniej, chociaż walka z golem trwała nadal.

– Na posterunek – odparła Freddie. – Dieter ma tam swoją salkę do ćwiczeń.

Martin zagapił się na nią tak bardzo, że zderzył się z jakimś przypadkowym przechodniem. Mężczyzna sklął go i zaczął zbierać puszki piwa, które powypadały z rozerwanej reklamówki.

– Salkę do ćwiczeń? – powtórzył. Freddie przystanąła, żeby na niego poczekać. – Zaraz! To u niego cały czas trenujesz, tak? Dlaczego nic nie mówiłaś?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiedziałam, że to ma jakieś znaczenie. Nikt nigdy nie pytał, z kim trenuję

– Mistrz Kolegium prywatnie trenuje adeptów w jakiejś policyjnej salce ćwiczeń i wcale cię to nie zastanowiło?

– Na co dzień pracuje też dla policji, więc w sumie...

Martin nie zdążył się dowiedzieć, co w sumie, bo za ich plecami rozległ się wrzask. Krzyczała Jo i chyba ktoś jeszcze.

Nel.

Martin wiedział już, czym jest krzyk irlandzkiego demona. Pamiętał, jak Aisling krzyczał, szukając Waltera.

Golem ryknął szaleńczo. Rozległ się trzask i znowu czyjś krzyk.

Freddie i Martin popatrzyli na siebie przerażeni,

niepewni, czy zawracać, czy biec dalej. Byli dokładnie w połowie drogi na komisariat. Zawracanie nie miało sensu, ale jeśli będą biegli dalej, mogą nie zdążyć.

Nagle Martin poczuł, że ktoś łapie go za ramię. Freddie również szamotała się z kimś bez większego powodzenia.

– Młoda! – rozległ się niski, męski głos, przypominający warkot. – Ty tutaj?

Odwrócił się tylko po to, by dostrzec błękitne oczy Dietera i jego naznaczoną bliznami twarz.

– I ty. – Mężczyzna najwyraźniej pamiętał Martina z incydentu w metrze. Przez chwilę wpatrywał się w niego uważnie. – Jak to jest, że zawsze gdy są jakieś kłopoty, ty jesteś na miejscu?

Martin wytrzymał jego spojrzenie.

– Dieter, do cholery! – warknęła Freddie. – Na rynku jest golem! Musisz nam pomóc!

– Wiem. Morty, Taro i Barker już tam są, idę im pomóc.

– Idę z tobą – zdecydowała Freddie.

Zagroził jej drogę ręką.

– Gdzie? Wy dwoje, jazda stąd! Wracajcie do Klementinum, nie chcę was widzieć płaczących się w pobliżu. Dobrze, że przynajmniej jedna osoba miała wystarczająco wiele oleju w głowie, żeby wezwać pomoc.

Martin i Freddie wymienili zdumione spojrzenia.

– Jedna... osoba? – zapytała dziewczyna. Dieter popatrzył na nią z politowaniem.

– I nie, to nie byłaś ty. Rozczarowałaś mnie.

– Lotta – wyszeptał Martin. Zniknęła niespodziewanie, jeszcze przed pojawieniem się golema. Też była Istotą z Cienia, musiała wyczuć zagrożenie, dlatego udała się po pomoc. Do Freddie też to chyba dotarło. Zazgrzytała zębami.

– Dla twojej informacji: właśnie biegłam po to, żeby cię znaleźć i...

– Nie dość szybko.

Prychnęła i obdarzyła go wyjątkowo urażonym spojrzeniem.

– Cóż, dziecko z Trollowego Mostu – zwrócił się do niej Dieter. – Twoje szczęście tym razem zawiodło. Albo po prostu nie poznałaś wszystkich jego funkcji.

Odsunął dziewczynę i pobiegł w stronę rynku. Martin stał nieruchomo, gapiąc się na Freddie i czując, że uzyskał chyba zbyt wiele informacji w zbyt krótkim czasie, a jego mózg zaczyna się przegrzewać.

Złapał Freddie za nadgarstek i ruszył za Dieterem.

Lawirowali między wciąż kręcącymi się w okolicy przechodniami, wpadali na tych mniej uważnych. Nad ulicami wciąż unosił się ryk golema, którego chyba coś bardzo zdenerwowało. Zrozumieli, co takiego, gdy tylko znów znaleźli się na rynku.

Do postaci na dachach bezskutecznie walczących z golemem dołączyły jeszcze dwie.

– Dieter – szepnęła z niedowierzaniem Freddie, zasłaniając usta dłonią.

Rzeczywiście. To mógł być on: postawna sylwetka w

ciemnym płaszczu. W drugim mężczyźnie rozpoznał Mistrza Taro. Nie sięgnęli po widmową broń, tak jak Martin się spodziewał. Po prostu stali, poruszając wyciągniętymi przed siebie dłońmi, jakby trzymali w nich krzyżaki marionetek. W pierwszym momencie trudno było zrozumieć, co się dzieje i co zamierzają w ten sposób osiągnąć. Dopiero gdy niebo wypełniło się ciemnymi, przypominającymi wielkie ptaki kształtami, Martin zrozumiał. Demony! Obaj Mistrzowie przyciągali do siebie ukrywające się w mieście jesienne demony, zmuszając je do ataku na golema. Próbował odszukać wśród nich Kościanego Jacka za maską z czaszki drapieżnika, nie było go jednak wśród przybyłych na wezwanie.

Istoty z Cienia otoczyły glinianego potwora, łopocząc na wietrze szatami, wyjąc i zawodząc. Natarły na niego z całą pasją i furją, jaką Mistrzowie Marionetek zdołali w nich wzbudzić. Orały glinianą powierzchnię pazurami, próbowały szarpać i uderzać. Nie miały jednak na celu go pokonać – zaledwie odwrócić uwagę od wspinającego się po dachu Podróżnego. Manipulator z zaskakującą zręcznością przeskoczył na ramię wciąż odganiającego się od demonów golema.

– Co on robi? – wykrztusiła Freddie.

Martin uświadomił sobie, że zna odpowiedź. Teraz, kiedy nie musiał się już martwić zmiążdżeniem przez spanikowany tłum, wszystkie szczegóły legendy o golemie zaczęły do niego wracać.

– *Emet* – wyszeptał. Towarzyszka wytrzeszczyła na niego oczy. – Twórca golema musiał napisać mu na czole albo na przyczepionym do czoła pergaminie jedno słowo: *emet* – wytłumaczył. – Po hebrajsku *emet* znaczy „prawda”, ale jeśli zetrze się pierwszą literę, pozostaje *met*, czyli „śmierć”. Jeśli Podróżny zdoła zetrzeć pierwszą literę, golem się zatrzyma.

Golem najwyraźniej był zdolny krzywdzić pomniejszych demony. Miażdżył je pięścią i bez trudu rozdzierał ich widmowe ciała. Odganiając się od atakującej go chmary insektów, nie zwracał uwagi na zbliżającego się do celu Podróżnego. Taro i Dieter wciąż sterowali nielicznymi już Istotami Cienia, zmuszając je do coraz zajadlejszych ataków. Demony kwiliły i szamotały się w powietrzu, próbując opierać się manipulacji, jednak bezskutecznie. Miały przecież do czynienia z Mistrzami Marionetek.

Freddie przyglądała się spektaklowi z otwartymi ustami.

– To jest... – wyszeptała. – To jest niehumanitarne!
Martin nie mógł zaprzeczyć.

CHOCHLIK

– Ten cały Dieter... – powiedział cicho Martin, odrywając na moment wzrok od widowiska. – Dobrze się znacie – zauważył.

– Najwyraźniej wy też – odparła Freddie.

– Tej nocy, kiedy zginął Ned, byłem na mieście. Spotkałem go w metrze, gonił jakieś jesienne demony. Odeskortował mnie do Klementinum, bo było późno, a później został, bo wyszła ta sprawa z Nodem. To wszystko. – Zerknął czujnie na Freddie.

– Czepiał się, że go nie poinformowałaś, chociaż właśnie biegałaś to zrobić, na dodatek po tym, jak sami powstrzymaliśmy przynajmniej jedną trzecią tych ludzi przed stratowaniem się nawzajem. Dlaczego?

– Dużo ode mnie wymaga. Od nas wszystkich – odparła, wzruszając ramionami.

– To znaczy że co, jest was więcej?

Wzniosła oczy ku niebu.

– Nie, trenujemy sobie indywidualnie, ja i on. Oczywiście, że jest nas więcej.

– Ktoś jeszcze z Kolegium?

– Nie wiem – przyznała. – Nie mam pojęcia, skąd mam wiedzieć? Nie spotykam się z nimi po treningach.

– Są z centrum czy z drugiej strony? – dopytywał Martin. Nie odpowiedziała. Popatrzyła w innym

kierunku. – Nawet tego nie wiesz, co? A może wiesz, tylko nie raczyłaś nikomu z nas powiedzieć że od poł roku chodzisz na treningi z Mistrzem Marionetek, który pracuje w Kolegium i z jakiegoś powodu zebrał sobie jakaś zaufaną grupkę... Co on, bojówkę organizuje czy jak?

– A jeśli nawet, to co ci do tego? – warknęła Freddie, biorąc się pod boki.

– A jeśli nawet, to powinnaś komuś o tym powiedzieć – odparł coraz bardziej poirytowany Martin. Z nieba zaczął padać miękki, biały śnieg. – Tak jak o tym, że to ty jesteś dzieckiem z Trollowego Mostu, a nie Kobold. Że to od początku byłaś ty! Nie sądzisz, że przynajmniej o tym mogłaś nas poinformować?!

Zmrużyła groźnie oczy.

– To była moja jedyna broń, Martin – odparła. – To, że nikt nie wiedział. Że wszyscy podejrzewali Kobolda. Naprawdę myślałaś, że złożę ją dobrowolnie?

– Podobno jesteśmy sojusznikami.

Westchnęła.

– To jest Chochlik – powiedziała, wyciągając w jego stronę dłoń w rękawiczce i rozprostowując ją. Leżała na niej niewielka, czarna kulka z żółtymi oczkami, wyglądająca jak stworzona z cienia. – Towarzyszy mi, od kiedy jako dziecko zawarłam z nim pakt. Potrafi przyjąć dowolną formę, ale taka jest dla nas obojga najwygodniejsza. To on mnie chronił, kiedy byłam w niebezpieczeństwie. To on dotrzymywał mi towarzystwa,

kiedy byłam samotna. To on przynosił wam pecha, kiedy mnie wkurzaliście.

– Przynosił pecha wszystkim, którzy zaczepiali też Kobolda albo mnie – uświadomił sobie Martin.

To nie Kobold chronił jego i Freddie przed zaczepkami. To Freddie i jej chochlik mścili się za całą trójkę.

– Cześć, Chochliku – powiedział Martin, uważnie przyglądając się kulce na dłoni Freddie. Kiedy spojrział na cień dziewczyny rzucony na rozświetloną świątecznymi dekoracjami ścianę, ze zdumieniem dostrzegł, jest dziwny. Jakby była ona i otulająca ją wielka, czarna postać. Ogromna zębata paszcza uśmiechała się. Martin wolał uznać, że to powitanie, a nie rozważania o tym, z jakim sosem go zjeść.

– Nie mów nikomu – poprosiła. – Wystarczy, że wiecie już ty i Dieter. To i tak za dużo.

Pokiwał głową.

– Ale powiesz Podróżnemu o Mistrzu Dieterze i waszych spotkaniach? – upewnił się.

Freddie uciekła spojrzeniem w bok.

– Przemyślę to – obiecała.

Cóż, lepsze to niż nic.

Eksplozja światła niemal ich oślepiła. Martin zamknął oczy, dodatkowo osłaniając twarz ręką. W niebo uniósł się krzyk dziesiątek demonów, przerażonych, dezorientowanych i wściekłych. Nie odważył się spojrzeć. Nie chciał wiedzieć, co Mistrzowie Kolegium zrobili z nimi, kiedy przestały być potrzebne. Czuł palce

Freddie zaciśnięte na swoim ramieniu, wiedział, że dziewczyna również nie ma odwagi spojrzeć na to, co dzieje się na rynku. Oboje przykleili się do ściany kamienicy. Czekali. Kiedy wreszcie wycie się uspokoiło, a blask przygasł, odważyli się spojrzeć. Golema nie było. W miejscu, gdzie stał jeszcze przed chwilą, unosiła się chmura czerwonego, glinianego pyłu.

Udało się. Pokonali go.

Aisling oraz jego koleżanki z roku siedzieli na bruku, opierając się o siebie i dysząc ciężko. Greem pochylał się nad nimi, najwyraźniej dopytując, czy wszystko w porządku.

Freddie i Martin zdążyli dobiec do Greema i Aislinga, kiedy dostrzegli, że z tumanu rdzawego kurzu ktoś się wyłania. Martin rozpoznał Podróżnego. Obok niego kroczyła Lotta, z drugiej strony Nel – obie pomagały mu coś podtrzymywać. Za nimi szli pozostali adepci. Martin poznał szczupłą postać z długim warkoczem. Inga. Mistrz Johan kroczył tuż za nią, mocno trzymając ją za ramię, jakby bał się, że mu ucieknie. Pochód zamykali Mistrz Taro i Mistrz Dieter, pogrążeni w rozmowie.

Dopiero kiedy podeszli bliżej, Martin dostrzegł, kogo niesie Podróżny. Z jego ramienia zwisała głowa Gusa, układająca się pod dziwnym kątem.

Taro ściągnął swój płaszcz i położył go na ziemi, podobnie postąpił Dieter. Położyli na nim ciało adepta.

– Golem go złapał i upuścił, kiedy nadciągnęły jesienne demony – wyjaśniła cicho Nel. Lotta swoim zwyczajem

milczała. – Spadł z wysoka, nie miał szans.

Aisling wstał nieco chwiejnie. Wyciągnął ramiona i Nel wpadła w nie, wtulając się mocno.

– Całe szczęście, że Lotta w porę zorientowała się, co się dzieje i przybiegła nas zawiadomić. – Taro westchnął.

– Dym. – Mortimer obejrzał się przez ramię na chmurę pyłu pozostałą po golemie. – Jak on zmienia rzeczywistość.

Jo, Ana i Victor stanęli nad ciałem Gusa. Po chwili dołączyli do nich też Martin, Freddie i Kobold. Walter stanął tuż obok Nel, delikatnie ściskając jej dłoń.

O ile śmierć Neda na początku semestru wszystkich podzieliła, śmierć Gusa sprawiła, że próbowali się zjednoczyć. Po raz pierwszy walczyli nie ze sobą, lecz z niebezpieczeństwem z zewnątrz. Po raz pierwszy naprawdę odczuli to, co w dzień rozpoczęcia roku powiedział im Morty.

„Nie musicie się przyjaźnić, ale musicie umieć na sobie polegać”.

Polegali na sobie. Jeden z nich zginął.

– Szczęśliwego nowego roku, Augustusie – powiedział Victor. Próbował okrasić wypowiedź typową dla siebie ironią, ale wyszło bardzo gorzko i smutno. Martin zorientował się, że nawet trochę mu współczuje. Gus został na rynku, by pilnować jego i Jo.

– Szczęśliwego nowego roku – powtórzył po nim Martin. Freddie i pozostali zrobili to samo. Inga obserwowała ich, wciąż przytrzymywana przez Mistrza

Johana. Odwróciła twarz i spojrzała gdzieś w ciemność.

ŻYCZENIA NOWOROCZNE

Początek nowego roku był dziwny. Praski zegar stanął. Czas przestał być odliczany i stracił na znaczeniu, chociaż tak naprawdę dopiero teraz zaczął pędzić ze zdwojoną szybkością. Coraz bliżej było końca semestru i momentu wskazania mordercy Neda.

Przed pierwszymi poniedziałkowymi zajęciami u Amy Dot Nel chodziła po sali wykładowej, rozmawiając ze wszystkimi po kolei. Pochylała się nad nimi, po czym odchodziła.

– Proszę, pomyśl życzenie – powiedziała, pochylając się nad ławką Martina. Długie jasne włosy, jak zwykle rozpuszczone, muskały drewno ławki. Poprosiła go, by wyciągnął przed siebie rękę i zawiązała mu na nadgarstku zieloną wstążeczkę.

Martin milczał przez chwilę, wreszcie uroczyście skinął głową.

– Gotowy? Świetnie. – Dokończyła wiązanie supła. – Ta wstążeczka symbolizuje ducha ziemi, z której ja i Aisling pochodzimy. To duch opiekuńczy i teraz, kiedy masz bransoletkę, będzie bronił też ciebie.

– To był jego pomysł, tak?

Odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem.

– Jeśli się przerwie... – Spojrzała mu prosto w oczy.

Stanie się coś złego – pomyślał. Znowu kogoś stracimy.

Znów kogoś stracę, tak jak Klarę, Canelle...

– Jeśli jakimś cudem się przerwie – kontynuowała Nel – to będzie oznaczało, że życzenie, które pomyślałeś, gdy wiązałam supeł, się spełniło.

– Nie przerwie się.

– Dlaczego tak mówisz? – Próbowwała się uśmiechnąć, ale efekt był dość żałosny. – Życzenia się spełniają, trzeba tylko...

– To się nie spełni.

– Czemu?

– Życzyłem sobie, żeby Gus nie był martwy.

I Klara – dodał w myślach. A także Canelle.

Nie poruszali już więcej tego tematu. Co jakiś czas Martin spoglądał na swój nadgarstek, zastanawiając się, czy to może się sprawdzić. Pozostali adepci pierwszego roku również dostali wstążeczki. Nikt nie odmówił, nawet Victor.

Lotta wciąż się nie pojawiała – nie widzieli jej od tamtej nocy, kiedy zginął Gus. Nigdzie nie było też Ingi, mimo że na korytarzach i w kuchni Martin mijał pozostałych adeptów drugiego roku. Nikt jednak nic nie wiedział, a Greem robił się wręcz opryskliwy, gdy chłopak próbował poruszyć temat jego dotychczasowej sojuszniczki. Jej udział w wydarzeniach tamtej nocy wciąż był niejasny, podobnie jak jej los po tym, jak Mistrz Johan zaprowadził ją do Klementinum.

Po ponurym wspólnym obiedzie wspięli się – jak zwykle w poniedziałek – do pracowni na strychu. Zajęli

swoje miejsca w kręgu. Marionetka Neda, Frej, wciąż leżała na jego pustym miejscu, tak jak za każdym razem, gdy tu przychodzili. Teraz jednak na krześle Gusa siedziała Marie Antoinette. Jej głowa była przechylona pod takim samym kątem jak głowa Gusa, kiedy Mortimer go niósł.

Podróżny się spóźniał. Kiedy wreszcie przyszedł, przywitały go zdumione spojrzenia adeptów.

– Witajcie, przyjaciele. – Mortimerowi brakowało jego zwykłej energii. – Na razie możecie odłożyć marionetki. Trochę nam się nazbierało spraw do obgadania, prawda? – Uśmiechnął się smutno. – Na początek chciałem wam bardzo podziękować za wasz wkład w to, co wydarzyło się w sylwestra. Cieszy mnie, że ktoś pomyślał o mieszkańcach Pragi i wpadł na pomysł, by usunąć ich z rynku jeszcze przed naszym przybyciem. – Spojrzał na Nel i Martina. – Cieszę się, że przynajmniej niektórzy z was dobrze zrozumieli ideały Kolegium. Chciałoby się rzec, że nawet lepiej niż samo Kolegium. – Zrobił dłuższą pauzę, podczas której uważnie przyglądał się swoim podopiecznym. Cokolwiek zamierzał, wciąż nie był całkiem zdecydowany. – Planowałem z wami o czymś porozmawiać, ale... Najpierw chciałbym, żebyście mi szczerze obiecali, że ta rozmowa nie wyjdzie poza drzwi tej sali. Że nie będziecie o tym rozmawiali z nikim innym ani nie będziecie o tym mówić w miejscach, gdzie możecie zostać podsłuchani. Obiecujecie?

Wymienili zdziwione spojrzenia, każde z nich skinęło

jednak głową. W milczeniu oczekiwali na ciąg dalszy. Podróżny splótł dłonie na plecach i zaczął przechadzać się po zewnętrznej stronie kręgu krzesel, za plecami adeptów.

– Musicie wiedzieć, moi przyjaciele, że zostaliście bardzo nieelegancko oszukani. I to przez kogo? Przez waszego opiekuna roku, czyli – skłonił się – przeze mnie. Dlatego już teraz, na samym początku, proszę was o wybaczenie.

– Co zrobiłeś? – zapytał Victor. Pokrewieństwo z byłą nauczycielką Kolegium chyba dodało mu odwagi.

Mortimer uśmiechnął się pod nosem i pokręcił głową.

– Nie chciałem tego ujawniać, ale robię to na wyraźną prośbę Loretty. To ona wymogła na mnie obietnicę, że to zrobię. Otóż... – zawiesił głos – Lotta nigdy nie przeszła egzaminów wstępnych do Praskiej Szkoły Lalkarzy. Nigdy nie była adeptką Kolegium i technicznie rzecz biorąc, nigdy nie była w waszej grupie. Od lat jest moją asystentką i wierną pomocnicą. Właściwie to od kiedy uwolniłem jej duszę z miejsca, w którym była uwięziona. Od tego czasu morduje tylko wtedy, kiedy ja dam jej na to pozwolenie. Nie otrzymała go tym razem, więc mogę was zapewnić, że nie ma nic wspólnego ze śmiercią Neda i Augustusa. Bała się, że będziecie ją o to oskarżać, bo wiecie, że jest demonem. Prosiła, żebym to ja wam powiedział.

– Ale... – Jo zmarszczyła brwi. – Dlaczego była w naszej grupie?

– Pilnowała was w moim imieniu. Cały czas miała na was oko i... Cóż, przyznaję, że informowała mnie o tym, co się u was dzieje. Oczywiście nie o wszystkim, bo szanowała waszą prywatność. Po prostu mówiła mi o wszystkim, co mogło stanowić dla was zagrożenie.

Martin i Freddie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Było tak, jak podejrzewali. Brali udział w grze w mafię i Lotta pełniła rolę policjanta. To miało sens. I wyjaśniało, dlaczego omijała tyle zajęć i wciąż uchodziło jej to płazem.

– Nie ufał nam pan? – zapytała Ana. Wyraźnie biła się z myślami i wciąż nie wiedziała, co sądzić o tej sytuacji.

– Ufam wam. Ufam, że jesteście zdolnymi, młodymi ludźmi. Ale jesteście też bardzo cenni i dlatego nie chciałem, żeby stała się wam krzywda. Jak powiedziałem na początku i jak sami już przekonaliście się na własnej skórze, to miasto nie jest bezpieczne. Nie mogłem pilnować was przez cały czas, ponieważ mam też inne obowiązki. Przeczuwałem jednak, że coś nadchodzi, dlatego czułem się spokojniejszy, wiedząc, że jest przy was ktoś, kto w ułamku sekundy potrafi mnie odszukać i wezwać pomoc. Tak jak ostatnio. Powiedzmy, że to... dodatkowy środek bezpieczeństwa, którego Kolegium nie jest świadome. Dlatego byłbym wdzięczny za dyskrecję.

Nel popatrzyła na niego pytająco.

– Ale... jak? Sama jestem Istotą z Cienia, dlatego... nie rozumiem, jak udało jej się to tak szybko!

Podróżny się roześmiał, najwyraźniej po raz pierwszy

szczerze rozbawiony.

– Ty jesteś irlandzkim demonem, owszem. Loretta to jednak stworzenie całkiem innego gatunku. Cień. Wspomnienie. Projekcja, która istnieje, dlatego, że ludzie w nią uwierzyli, powołali do życia. Jest w pewnym sensie o wiele mniej materialna niż ty. Potrafi stapiać się z cieniem i poruszać w nim, jakby była jego częścią. Dlatego przemieszczanie się z miejsca na miejsce to dla niej kwestia sekund. Potrafi też znikać i pojawiać się zupełnie niepostrzeżenie. Śmiem podejrzewać, że jest już z nami od jakiegoś czasu i przysłuchuje się naszej rozmowie. Prawda, Lotto?

Loretta wyłoniła się z cienia pod sceną, tak jakby stała tam już od samego początku. Odziana była w skromną, czarna sukienkę z kołnierzykiem. Długie jasne włosy opadały jej na twarz. Stała za krzesłem, spuszczając głowę. Milczała, ale właściwie to było dla niej całkowicie normalne. Nigdy zbyt wiele nie mówiła.

– Musicie wiedzieć, że Lotta naprawdę przejęła się tym, co się stało – ciągnął Morty. Stał obok niej i lekko położył dłoń na jej ramieniu. – Bała się, że stanie wam się krzywda i zmartwiła się śmiercią Gusa. Tak bardzo, że upierała się, że nie będzie w porządku dalej was oszukiwać. To na swój sposób... intrygujące, że Istota z Cienia, która uważa, że wszystkie boże dzieci powinny zginąć, zdołała się tak do was przywiązać – przyznał. – Tak bardzo, że postanowiła przyjść się pożegnać.

Adepci w milczeniu spoglądali to na Lottę, to na

Podróżnego. Martin zastanawiał się, ile dziewczyna tak naprawdę wie i ile w związku z tym wie Podróżny. Dlaczego ani razu nie interweniował? Czy wiedział o spotkaniach na Złotej Uliczce? O listach od Klary? Lotta mogła przecież przechodzić przez ściany, pojawiać się i zniknąć niepostrzeżenie.

Freddie wstała i podeszła do Lotty.

– Chciałam tylko powiedzieć, że byłeś dobrą współlokatorką. I będzie mi ciebie brakować.

Istota z Cienia popatrzyła na nią, wyraźnie zaskoczona tym wyrazem sympatii. Jo szepnęła coś Anie na ucho i zachichotała. Nel rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

– I przykro mi z powodu Gusa.

Lotta powoli pokiwała głową i popatrzyła znacząco na Mortimera. Wycofała się pod ścianę i oparła o nią plecami. Martin ze zdziwieniem patrzył, jak po prostu wtapia się w tło i znika bez śladu. Dokładnie w taki sposób musiała zniknąć wtedy, w sylwestra.

Mortimer klasnął w dłonie.

– No dobrze – powiedział nieco energiczniej. – Cieszę się, że to omówiliśmy. Z innych wiadomości: nie możecie od teraz opuszczać Klementinum, chyba że w towarzystwie Mistrza Dietera lub któregoś z naszych wykładowców. Coś jeszcze? – Rozejrzał się po sali. – Aha, zdajecie sobie sprawę, że zostały wam dwa tygodnie na rozstrzygnięcie tego, kto jest mordercą Neda, prawda? Mam nadzieję, że Lotta nie była waszym jedynym typem. – Uśmiechnął się złośliwie. – Życzę wam wszystkim

powodzenia. Przejdźmy do ćwiczeń, proszę.

Po skończonych zajęciach Martin ociągał się z opuszczeniem warsztatu. Obiecał sobie, że przycisnie Podróżnego do muru i wypyta o parę spraw. Nie zamierzał łatwo ustąpić.

– O, Martin – powiedział Mortimer, widząc, że pozostali adepci opuścili już pracownię. – Świetnie się składa. Prawdę mówiąc, jest coś, co chciałbym ci oddać. Zapraszam do mojego gabinetu.

Martin zarzucił torbę na ramię i posłusznie ruszył w ślad za wykładowcą. Wewnętrzными przejściami dotarli do drzwi oznaczonych tabliczką „M. Burton”. Martin spędził sporo czasu, koczując tutaj jesienią, tuż po śmierci Neda, nigdy jednak nie miał okazji wejść do środka. Podróżny wyciągnął z kieszeni swój komplet kluczy, wybrał jeden i otworzył drzwi.

– Zapraszam.

Adept aż wstrzymał oddech. Gabinet był jasny i przestronny, na planie ośmiokąta. Za wysokimi oknami roztaczał się doskonały widok na Londyn. Słońce zachodziło nad Tamizą, barwiąc niebo na czerwono i fioletowo.

– Jak wrażenia? – zapytał Podróżny. Jak gdyby nigdy nic usiadł za biurkiem i postawił na nim swoją fajkę wodną.

– Ma pan z okna widok na Tower Bridge.

– Owszem. – Podróżny wydmuchał z płuc smugę dymu.

– Oczywiście, że to jest Tower Bridge. Nawet nie wiesz,

ile czasu zajęło mi znalezienie mieszkania z takim idealnym widokiem.

– To znaczy, że... jesteśmy w Londynie? – upewnił się Martin. Właściwie nie powinno go to dziwić. Nie po metrze i nie po Rajdzie. Mimo tego na samą myśl, że jeszcze chwilę temu stał na korytarzu Klementinum, poczuł się nieco nieswojo.

– Bardzo cenię sobie komfort – odparł Podróżny. – Zgodziłem się objąć stanowisko wykładowcy zgodnie z propozycją przedstawioną mi przez Erikę Ekhart, pod warunkiem, że pozwoli mi utworzyć nowe przejście między moim gabinetem a Klementinum.

– I dlatego wykorzystywał pan Lottę, żeby nas szpiegowała? – zapytał Martin, odwracając się do niego. – Ponieważ ceni pan sobie komfort?

Podróżny bezradnie rozłożył ręce.

– Cóż poradzić, z naturą nie wygrasz. – Sięgnął po stojący na biurku dzwoneczek i zadzwonił. Dzwonek miał czysty, delikatny dźwięk. Po chwili drzwi uchyliły się, tym razem ukazując schody, prowadzące najpewniej w dół, do londyńskiego mieszkania Podróżnego. Stała w nich Lotta, w rękach trzymając dużego, rudego kota. – Pomyśleliśmy, że pewnie będziesz chciał go z powrotem.

– Odyn? – zdziwił się Martin. – Więc... jednak nie ma nic wspólnego z Widmokotem?

– Teraz już nie. – Podróżny skinął na Lottę, która podeszła do Martina i wcisnęła mu kota do rąk. Zwierzak prychnął ze złością i natychmiast zeskoczył na podłogę.

– A miał?

– Nawet więcej, niż mogłeś sądzić – odparł Mortimer. Lotta skinęła Martinowi ręką i zamknęła za sobą drzwi gabinetu. – W pewnym sensie... to był Widmokot we własnej osobie.

Martin wbił wzrok w kota, próbując odgadnąć, co tak naprawdę się wydarzyło i jak mogło do tego dojść.

– Jest w tym dużo mojej winy – odezwał się Mortimer. – Pamiętasz ten moment, kiedy uciekłeś z Canelle?

– Dał jej pan wtedy klucz – przypomniał sobie Martin.

Pamiętał to aż za dobrze. Chciał spytać o drzwi, które ten klucz otwierał, ale Podróżny nie dał mu okazji. Przez cały semestr trzymał dystans, wyręczając się Lottą.

– Owszem.

– Taki mały, srebrny. Jak do pamiętnika. Dokąd on prowadził?

Podróżny westchnął cicho. Sięgnął po węża fajki wodnej i przez chwilę palił w zadumie, z każdą sekundą wzbudzając w Martinie coraz większy niepokój.

– Do mojego dawnego domu – powiedział wreszcie. – Nie odwiedzałem go od pięciu lat. W pierwszym momencie pomyślałem, że to może być dla niej dobre schronienie, przynajmniej na jakiś czas. Kiedy jednak zajęliśmy się już tobą i umieściliśmy cię w Klementinum, coś mnie tknęło. Na wszelki wypadek wysłałem za nią Widmokota i to był ostatni raz, kiedy go widziałem.

– Co się stało?

– Kiedy później dotarłem do domu, nie było śladu ani

po Canelle, ani po Widmokocie. Były za to ślady walki. Widzisz, w tym domu mieszkają obecnie tylko mówiące lalki, takie jak Cathy. Próbowałem je przycisnąć, ale nie były w stanie mi powiedzieć, do czego tak naprawdę tam doszło. Nie pozostał żaden trop. Od tamtego czasu próbowałem odnaleźć i Canelle, i Widmokota. Poświęcałem temu każdą wolną chwilę, ale bezskutecznie. Przez jakiś czas pomagała mi Petra, ale również zniknęła.

– Pani Althan... zniknęła? – zdziwił się Martin. To, co mówił Victor, coraz mniej trzymało się kupy.

– Jej sklep już od jakiegoś czasu był zamknięty. Zauważyłeś, prawda? Wiem, że w wolnych chwilach jeździłeś na Dejvicke.

– Od Lotty?

Mortimer zignorował pytanie.

– Kiedy przyniosłeś tego kota i powiedziałaś, co podejrzewasz, musiałem to sprawdzić – podjął. – Zajmowałem się wtedy panią Nel, starałem się zrobić wszystko, żeby nie podzieliła losu swojego brata, dlatego też nie mogłem w od razu poświęcić temu całej uwagi. Ale gdy już poświęciłem... – Pstryknął palcami. – To był dobry trop. Jak zapewne wiesz, Widmokot jest szczególnym rodzajem demona. Przybiera różne formy, w zależności od potrzeb, nastroju i wygody. Wtedy kiedy poszedł odszukać Canelle i kiedy zniknęli, najwyraźniej postanowił być okazałym, rasowym kocurem, bo czemu nie? Coś go zaatakowało i poraniło tak mocno, że nie był

w stanie opuścić uszkodzonego ciała. Z jakiegoś powodu utknął w nim i nie potrafił nawet nikomu zakomunikować, że on to on. Dopiero ty go odnalazłeś. Nawiasem mówiąc – posłał Martinowi badawcze spojrzenie – mówiłeś, że był na cmentarzu?

Martin pokiwał głową.

– Grób Klary Berg. Bardzo ją lubił. Teraz, gdy o tym myślę... To chyba nic dziwnego, że przyszedł tam, kiedy był słaby i chory. To mogło być instynktowne.

– Pewnie tak – zgodził się Podróżny. – Niestety nie znam jeszcze jego wersji wydarzeń. Jest zbyt słaby, by opowiedzieć, co dokładnie się stało. Dopiero wczoraj, po wielu próbach, udało mi się zwrócić mu pełną wolność. Zaniósłem go Cathy, ona go pielęgnuje. Da mi znać, kiedy będzie bardziej komunikatywny. A jako że ten kot przeżył, pomyślałem, że możesz chcieć go z powrotem.

– Dziękuję. – Martin pogłaskał kota, który właśnie zaczął ocierać się o jego nogi. – Mogę trzymać go w Klementinum, prawda?

– Pewnie. Nie sądzę, żeby był w stanie rozpowiadać komukolwiek nasze sekrety. Chociaż może zachowywać się nietypowo, ostatecznie Widmokot był w nim uwięziony bardzo długo.

– Czyli nie wiadomo nic nowego na temat Canelle? – upewnił się Martin.

– Nie, przykro mi. Straciliśmy jej ślad, gdy zniknęła z tamtego domu. Prawdę mówiąc, jestem nieco urażony. Liczyłem na to, że moja prywatna rezydencja

zainteresuje ją na tyle, że spędzi w niej więcej niż pół dnia.

– Wiedział pan, że coś może ją tam zaatakować?

– Miałem nadzieję, że znajdziemy ją, zanim do tego dojdzie – odparł Podróżny, składając dłonie w piramidkę.

– Ale byłem świadomy pewnego zagrożenia. Ostatecznie... można powiedzieć, że dawno tam nie sprzątałem.

Martin popatrzył na niego czujnie.

– Ostatni raz był pan tam przed tym pojedynkiem z Królem Demonów, prawda? Czy mógłby pan powiedzieć, co dokładnie się wtedy wydarzyło?

– Ależ chciałbym, z całego serca – odparł Mortimer. – Ale niestety nie jestem w stanie. Nie pamiętam, co wydarzyło się pięć lat temu, Martinie. Po tamtym pojedynku ocknąłem się w innej części świata, wiele dni później. Właściwie od razu okazało się, że na miejscu jest coś, czym powinienem się zająć jako klucznik. I tak zaczęły się moje podróże. Dopiero kiedy Erika skontaktowała się ze mną, uznałem, że to dobry moment, żeby... odgrzebać przeszłość.

Martin przez chwilę gapił się na niego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Jak to? – wykrztusił. – Nic pan nie wie? Wmówił pan Radzie, że ja coś wiem, podczas gdy... już mniejsza ze mną, ale NAWET PAN NIE MA POJĘCIA?

Podróżny rozłożył ręce, dając do zrozumienia, że mimo najszczęśliwszych chęci nic nie może na to poradzić.

Nie wydawał się nawet szczególnie zmartwiony.

– Cóż, zdarza się najlepszym.

– Czy pan chce, żeby oni mnie zabili?!

– Bynajmniej, mój drogi Martinie! – Morty próbował go uspokoić. – Chcę, żebyś pomógł mi ustalić, co się wtedy stało. Zasadniczo i tak nie masz już innego wyboru, skoro Rada zakłada, że wiesz o wszystkim. Poza tym, jak pewnie zdołałeś zauważyć, Król Demonów szuka coraz to nowych sposobów, żeby powrócić, i mam przeczucie, że odkrycie tego, jak został pokonany ostatnio, może znacznie ułatwić powstrzymanie go teraz.

Martinowi opadły ręce. Przyszedł do Mortimera po tak długo wyczekiwane odpowiedzi. Wyglądało na to, że opuści to miejsce z kotem oraz całą masą nowych pytań.

– Nawiasem mówiąc, doszły mnie słuchy o waszych małych tajnych spotkankach w starej pracowni alchemików. Nie, nie od Lotty – dodał, uprzedzając pytanie Martina. – Mam też inne źródła.

Martin chciał go zamordować spojrzeniem.

– Czy pana źródła nie mogły przypomnieć panu, co zdarzyło się pięć lat temu?

Podróżny tylko się roześmiał.

– Niestety, nie można mieć wszystkiego. Ale wspomniano mi o waszych niezbyt rozsądnych planach. Pomysł nawiązania kontaktu z porywaczami Zegarmistrza był naprawdę lekkomyślny. Dobrze, że jednak ostatecznie z niego zrezygnowaliście. Chciałem prosić, żebyście na razie zawiesili działalność. Nie żeby

jakoś specjalnie leżało mi na sercu dobro Kolegium, ale dopóki nie znajdziemy sposobu, żeby naprawić zegar, ktoś musi bronić Pragi przed całym tym szaleństwem, jakie niesie druga strona. Ostatnio udowodniłeś, że zależy ci na mieście i jego mieszkańcach. Widziałeś, jakie zamieszanie wybuchło, gdy pojawił się golem, jak mało brakowało, by wszystko wymknęło się spod kontroli. Bez Kolegium miasto straci jedyną ochronę – ostrzegł wykładowca. – W każdej innej sytuacji macie moje pełne poparcie, bo lubię takie oddolne inicjatywy i niespecjalnie lubię Kolegium, ale... nie jestem fanem piłowania gałęzi, na której się siedzi. Zwłaszcza jeśli jeden z waszych spiskowców został opętany przez Króla Demonów i chyba stał się jego nowym wcieleniem.

Martin potrząsnął głową. Czuł, że nie nadaża. Dopiero po dłuższej chwili głaskania prychającego wściekle kota zrozumiał, o kim mówi Podróżny.

– Inga? – Stała mu przed oczami taka, jaką widział ją ostatnio. Na scenie, z piosenką Nohavicy na ustach, i później na dachu, podczas desperackiej walki z golemem. – Co się z nią stanie?

– Jeszcze nie podjęto decyzji – odparł Podróżny. – Na razie Mistrz Johan próbuje ustalić, jak bardzo jej umysł został opanowany. Wygląda na to, że to zaczęło się już latem i postępowało. Prawdopodobnie zawiniła jej własna duma i ambicja. Dlatego dała się zwabić w pułapkę, a ponieważ na co dzień nie jest zbyt przyjemna w obejściu, nikt nie zorientował się, że coś jest nie tak.

Wygląda na to, że w krytycznej chwili udało jej się jednak odzyskać kontrolę nad swoim ciałem, bo stanęła po naszej stronie. Nadal nie wiadomo jednak, w jaki sposób Król Demonów uzyskał do niej dostęp. Istnieje możliwość, że któryś z jej przyjaciół zostanie poproszony przez Mistrza Johana o pomoc. Możliwe, że przy kimś bliskim dziewczyna się otworzy i powie coś więcej.

Martin nie podzielał jego entuzjazmu.

– Pójdę już – powiedział. Wiedział, że tego dnia nie uda już mu się zdobyć więcej odpowiedzi. – Do widzenia.

Wziął kota na ręce i wstał z fotela. Jeszcze raz obejrzał się przez ramię na okna, za którymi widniał jasno oświetlony most nad Tamizą.

Myślał o tym, że zarówno koci demon, jak i Lotta cieszyli się ogromnymi względami Mortimera. Nel i Aisling byli irlandzkimi demonami, nikt jednak nie bronił im studiować w Praskiej Szkole Lalkarzy. Z drugiej strony był Dieter, nazywający demony robactwem i wykorzystujący je do walki z golemem, oraz Mistrz Taro, który również przyłożył do tego rękę. Od czego to zależało? To była bardziej kwestia konkretnych demonów czy raczej indywidualnego podejścia do nich?

Nie był pewien, czy Podróżny zdołałby odpowiedzieć na to pytanie. Musiał dojść do tego sam.

PAN PIEŚNI

– To kretyński pomysł – powiedział następnego dnia Greem, przemierzając korytarz. Martin, któremu Mistrz Johan zlecił przyprowadzenie go, ledwie mógł nadażyć. – Nie rozumiem, czemu...

– Podróżny mówił, że może przy tobie się otworzy. Że może powie, kto ją w to wciągnął.

– Niby dlaczego miałyby to zrobić? – Dziedzic alchemików wzruszył ramionami.

– Użył określenia „przy kimś bliskim”. Najwyraźniej się kwalifikujesz.

Greem tylko parsknął śmiechem.

– Inga nie traktuje mnie jak kogoś bliskiego. Prędzej Aislinga albo Walta, jeśli w ogóle kogokolwiek. Ona uważa, że nie potrzebuje przyjaciół.

– Ja nic nie wiem, ja tylko miałem ci przekazać, że Mistrz Johan każe ci iść tam i z nią pogadać – przypomniał Martin. Odyn plątał się pod jego nogami, prezentując dość nietypowe dla kotów przywiązanie. – A później Rada będzie chciała z tobą porozmawiać.

– Cudownie. – Greem westchnął. – Po prostu marzę o tym, żeby namawiać Ingę na zwierzenia tylko po to, żeby później powtórzyć to Radzie.

Martin wcale mu się nie dziwił. Też nie miałyby na to ochoty. Wtedy, w gabinecie Podróżnego, przez jeden

moment obawiał się, że ten zaszczyt przypadnie w udziale jemu. W głębi serca w bardzo niesportowy sposób cieszył się, że to jednak Greem okazał się bardziej odpowiedni do tej roli.

– Z jakiegoś powodu Mistrz Johan i Podróżny są przekonani, że ci się uda.

Adept nie odpowiadał, pochłonięty obserwowaniem leniwie spacerujących po dziedzińcu robotników.

– Dwa razy uratowała mi życie – wyznał z ociąganiem.
– Za każdym razem podczas egzaminów. Do tej pory nie mam pojęcia dlaczego. Od początku traktowała mnie z góry, jak łatwy cel do eliminacji. Na pierwszym roku... miałem dość nieciekawą sytuację.

– Byłeś najslabszym ogniwnem? – zapytał Martin. Greem zerknął na niego ukradkiem, ale nie dopytywał, skąd wie. Chyba się domyślił.

– Delikatnie ujmując. Z początku wydawało mi się, że mam przyjaciół. Że raczej jestem lubiany. W pewnym momencie wpakowałem się w dość głupią sytuację. Obiecywano mi, że nie będę sam, że będziemy nawzajem pilnować swoich pleców, że mnie nie wydadzą, takie tam. Sentymentalne głupoty bez żadnego pokrycia. Wszyscy, którzy to mówili, już nie żyją. Inga dopadła ich, kiedy zorientowała się, że próbują mnie wciągnąć w zasadzkę. Wyeliminować. Wtedy byłem jej za to wdzięczny. Zaprosiłem ją na Złotą Uliczkę, okazało się, że mamy kilku wspólnych znajomych. W wakacje trzymaliśmy się razem, później, od września, sam

widziałeś. Ale teraz, przed świętami...

– Znów cię uratowała?

Skinął głową. Martin go nie popędzał. Słuchał w milczeniu, opierając się o parapet.

– Nie spodziewałem się tego. Podczas testu podzielili nas na dwie grupy. Kiedy zobaczyłem, że jest w przeciwnej, byłem pewien, że już po mnie, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, jak często się ścinaliśmy w tym roku. Jednak kiedy przyszło co do czego, to ja ocalałem, nie Sonia. Inga nie pozwoliła mi dotknąć, mimo że kilka osób chyba miało na to ochotę.

Przełknął ślinę.

– Może to właśnie dlatego padło na ciebie? – zasugerował Martin. – Cokolwiek nią kierowało, uratowała ci życie, a Mistrz Johan o tym wie. Musiał o tym słyszeć, skoro to miało związek z egzaminami.

– Tak czy inaczej uważam, że to kretyński pomysł – burknął Greem. – Powinni wysłać Walta, on ma gadane.

Martin rozłożył ręce w geście bezradności. Nie uważał podważania decyzji Mistrza Johana za rozsądny pomysł, zwłaszcza w tych okolicznościach. Greem ruszył dalej, w stronę schodów prowadzących do podziemia. Zatrzymał się w pół kroku, obejrzał się za siebie i uśmiechnął.

– Martin... Planowałeś pójść tam ze mną, prawda?

– Chci... chciałem, ale... – Powoli pokiwał głową, czując się dość głupio. To były ich sprawy. Wiedział, że nie powinien się wtrącać.

Greem tylko pokręcił głową.

– Poradzę sobie – zapewnił. – Ale dzięki za dobre chęci.

Martin spędził następną godzinę przy schodach prowadzących w dół, bezmyślnie głaszcząc Odyna. Czekał na Greema. Chciał z nim pogadać chociaż przez chwilę, upewnić się, że wszystko w porządku i z nim, i z Ingą. Owszem, wciąż nie był całkiem pewien lojalności obojga, ale zdążył się do nich przyzwyczaić. Fakt, że to Inga dała sygnał do ataku i że została opętana przez Króla Demonów wstrząsnął nim bardziej, niż chciałby przyznać. Nie potrafił przestać myśleć, jak do tego doszło i jakim sposobem wszyscy to przeoczyli. On też nie miał nic na swoje usprawiedliwienie – owszem, miał z nią słabszy kontakt niż Greem, Walt i Aisling, ale czy przypadkiem Iskra nie prosiła go, żeby był czujny?

Westchnął cicho, przesuwając dłonią po miękkim futrze kota. Zwierzak mruczał, wyraźnie zadowolony z takiego obrotu spraw. Podróżny i Lotta dobrze się nim zajmowali – wyglądał o wiele lepiej niż wtedy, kiedy Martin przyniósł go do Kolegium.

W gruncie rzeczy mało wiedział o Indze. Dystansowała się od samego początku ich znajomości. Nigdy chyba nawet nie rozmawiała z nim na osobności i nie przegapiła żadnej okazji, żeby mu dogryźć lub udowodnić, że jest w czymś lepsza. Nawet nie próbowała dać się polubić. Mimo to dobrze pamiętał, że pokłóciła się z Petrą Althan, oburzona, że ta zatajała przed Martinem część informacji. Nieco inne były jej relacje z Greemem. Martin nie podejrzewał, żeby mogło ich łączyć

cokolwiek romantycznego. Wyczuwał raczej tę samą nić ostrożnego porozumienia, która zawiązała się w tym roku między nim i Freddie. Sojusz. Pakt mający zapewnić przetrwanie. Inga chyba naprawdę poważnie traktowała pilnowanie jego pleców.

Z tego wszystkiego wyłaniał się obraz osoby, której bardzo zależało na ludziach i która walczyła o nich z płomiennym zaangażowaniem, ale nie do końca potrafiła z nimi rozmawiać. Czy to dlatego stała się łatwym celem dla Króla Demonów? Ponieważ była ambitna i jednocześnie zdystansowana? I kiedy właściwie ją dopadł? Czy kiedy Martin ją poznał, była jeszcze sobą, czy już działała pod wpływem obcej siły? Czy mogła zdradzić Waltera?

Na zewnątrz zapadał zmrok, a nieobecność Greema się przedłużała. Dziedzic Alchemików najprawdopodobniej po prostu skorzystał z innego wyjścia z podziemi, więc dalsze czekanie nie miało sensu. Gdyby Greem miał ochotę na rozmowę, wróciłby tą samą drogą. Jeśli tego nie zrobił, prawdopodobnie po prostu chciał być teraz sam. Martin z westchnieniem podniósł kota i ruszył na piętro, do swojego pokoju. Dzisiaj też raczej nie dowie się już niczego nowego.

Jedność i wspólnota, którą odczuwali po śmierci Gusa, trwała jeszcze mniej więcej przez dwa tygodnie. Przynajmniej pozornie. Martin chodził jak na szpilkach,

coraz bardziej sfrustrowany. Wieczorami zasypiał przy wierszach pani Moravec, wpatrując się w grafiki Klary. Znał już książeczkę niemal na pamięć, nie znalazł jednak żadnej więcej wskazówki. Żadnej przepowiedni. Coraz częściej spoglądał na bransoletkę od Nel, zastanawiając się, co stanie się po jej rozerwaniu.

Freddie wciąż chodziła na zajęcia do Mistrza Dietera. Martin uświadomił sobie, że skoro mieszkała z Lottą, ta z pewnością wiedziała o jej eskapadach na treningi od samego początku, a co za tym idzie – Podróżny również. Skoro opiekun roku nie zabronił jej tego, kiedy zaostorzono reguły bezpieczeństwa, widocznie nic jej tam nie groziło. Albo miał w tym interes. Albo jedno i drugie.

Po ujawnieniu tożsamości Lotty ich relacje z wykładowcą znacznie się zmieniły. Z początku, owszem, instruował ich, uczył, jak pokonywać opór marionetek i poinformował ich o procedurach po śmierci Neda, ale obserwował ich głównie oczami Lotty. Teraz ten dystans znacznie się zmniejszył.

Za każdym razem niby od niechcienia i pozornie beztroskim tonem napomykał im o różnych ciekawostkach i plotkach krążących po Kolegium. Oczywiście natychmiast przepraszał, twierdząc ze mu się „wymknęło” i przypominał o dyskrecji. Warsztat na poddaszu stał się czymś w rodzaju kręgu zaufania, całkowicie i wyłącznie podległego Podróżnemu. Dzięki temu mieli jakiegokolwiek informacje o tym, co dzieje się w mieście. Pozostali wykładowcy nabierali wody w usta.

Zegarmistrz wciąż się nie znalazł.

Inga, która została opętana przez Króla Demonów, tak naprawdę nie narobiła zbyt wielu szkód i dostała pozwolenie na powrót do swojej grupy, chociaż pod starannym nadzorem. W rozmowie z przyjacielem ujawniła, że podczas wakacji otrzymała od jednej z ulicznych artystek flet. Nie pamiętała nic z tego, co się z nią działo od momentu, gdy zagrała na instrumencie po raz pierwszy. Poza tym nie miała żadnych informacji, zaś funkcjonariusze Kolegium podejrzewali, że poprzednia właścicielka fletu była powiązana ze zniknięciem Zegarmistrza.

Golemy zaatakowały jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem pracownicy Kolegium reagowali na czas, nie pozwalając, by powstały jakiegokolwiek szkody.

– Ale... podobno był tylko jeden – wyszeptał Martin, gdy się dowiedział o ponownym ataku.

– Wygląda na to, że ktoś je tworzy – odparł Podróżny, wydmuchując smugę pachnącego fiołkami dymu. – Cały czas.

– Czyli? – dopytywał Victor. – Wziął sobie taki typ Księgę Jecirah i zmajstrował golema? A później drugiego? Masowa produkcja?

– Mniej więcej. Ktokolwiek to robi, chyba naprawdę chce, żeby Pan Pieśni wrócił – przyznał w zadumie Morty.

– Pan Pieśni? – powtórzyła Freddie. Mortimer beztrudno zaczął wydmuchiwać ze swojej fajki wodnej

kółka dymu.

– Powiedziałem coś takiego? No i patrzcie, znowu się zagadaliśmy, czas wracać do pracy. Dym. – Westchnął po dłuższej chwili – Jak on cudownie zmienia rzeczywistość.

Pan Pieśni. Król Demonów. Jesienny demon śpiewający w metrze. Wszystko ostatnio kręci się wokół piosenek, prawda? Pan Pieśni i jego ptaki, sławiące go na ulicach i w podziemiach metra. Freddie chodząca na treningi do grupy pełnej innych osób z drugiej strony. Organizował je Mistrz Dieter, więc oczywiście nikt o nic nie pytał. Dieter ścigał ludzi, którzy porwali Zegarmistrza. Martin spotkał go w metrze, kiedy gonił za dziewczyną w różowej peruce i staruszką na jej smyczy.

Czy to mógł być Zegarmistrz? Tak dawno temu? W takim razie między jego zniknięciem a zepsuciem zegara upłynęłyby co najmniej dwa miesiące. Dlaczego Dieter nic nie zrobił? Dieter, który pracował zarówno w policji, jak i w służbach Kolegium?

Martin nigdy nie spotkał Ślepego Zegarmistrza, ale słyszał o nim. Był legendą, i to jedną z bardziej znanych i bardziej związanych z Pragą. Niemożliwe, żeby Dieter, jeden z kluczników, tak po prostu zaniechał pościgu. „Robactwo” – tak wtedy powiedział Martinowi. Zwykłe robactwo ściągające porządnych obywateli na drugą stronę. Więc może to rzeczywiście były przypadkowe demony? Przecież Mistrz Kolegium by się nie pomylił, nie w takiej sprawie.

– Taro! – Wszyscy drgnęli, kiedy Freddie wpadła do salki treningowej. Klęczący pod ścianą adepci wbili w nią zdumione spojrzenia. Wciąż miała na sobie zimową kurtkę, a śnieg topniał na jej intensywnie czerwonych włosach. Wyglądała, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. – Gdzie jest Mistrz Taro? Muszę z nim porozmawiać! Błagam, szybko!

Greem i Aisling popatrzyli na siebie pytająco. Kobold, Martin i Nel podnosili się już, by do niej podejść i jakoś ją uspokoić.

– Frederika Kruger – odezwał się Taro. Nie zauważyli nawet, kiedy wszedł. Po prostu niespodziewanie pojawił się za jej plecami. – Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek ujrzę cię przekraczającą próg tej sali. Coś się stało?

– Dieter... – jej głos się załamał. Przez moment nie mogła wykrztusić słowa. – Musisz... Musisz go znaleźć.

W oczach Taro błysnął niepokój.

– Ktoś go zaatakował? Ma kłopoty?

Pokręciła głową.

– Więc co się dzieje, dziecko? – dopytywał wykładowca. – Mów.

Przygryzła wargi.

– Bo ja... Ja cały czas brałam w tym udział, nic nie wiedziałam, naprawdę... Przepraszam, ja już wszystko powiem, tylko... – urwała, żeby zapanować nad drzeniem głosu. Była przerażona.

Mistrz zmusił ją, by odwróciła się w jego stronę, po

czym przesunął dłonią przed jej twarzą.

– Mów – powtórzył.

– Mistrz Dieter służy Królowi Demonów – powiedziała głośno i wyraźnie. Ewidentnie była pod wpływem Taro. – To jego ludzie uprowadzili Ślepego Zegarmistrza kilka miesięcy temu i gdzieś go ukryli. Torturowali go, żeby wyjawiał, jak zatrzymać zegar. Magpie, Jackdaw, Jay... Wszyscy chodzący na treningi to jego wspólnicy. Dieter wie, gdzie jest Zegarmistrz i tylko udaje, że prowadzi poszukiwania z ramienia Kolegium. To on to wszystko zaplanował. Chce obudzić Króla Demonów, przygotować Pragę na jego powrót. Zniszczyć... zniszczyć Kolegium.

– Już dobrze, dziecko – powiedział Taro, wycofując się.

Dziewczyna skinęła głową i opadła na kolana.

– Zajmijcie się nią – polecił Taro. – Greem – zwrócił się do adepta – idź i odnajdź Mistrza Mortimera, Mistrza Johana, doktora Barkera i profesor Amy. Niech czekają na mnie na dole, w hallu. Nie tłumacz im, o co chodzi, szkoda czasu. Po prostu powiedz, że proszę ich o spotkanie.

Następnego dnia nie było zwyczajnego treningu kondycyjnego z Taro. Z tego, co mówił Greem, Mistrz nie pojawił się także na żadnych zajęciach ze swoją grupą. Pierwszorocznym przypadły zajęcia z Amy oraz wykład o miejskich legendach z doktorem Barkerem. Mistrz Johan został na miejscu, by pilnować uczelni i nadzorować przebieg zajęć z tymi wykładowcami, którzy nie brali udziału w obławie. Pozostali wyruszyli w pogoń

za Dieterem tuż po wyznaniu Freddie. Martin nie był specjalnie zaskoczony. Dieter nie sprawiał wrażenia osoby, którą łatwo złapać. Jakby nie patrzeć – oszukiwał Kolegium przez dobre kilka miesięcy.

– Ciekawe, czy chociaż Podróżny będzie łaskaw się objawić – mruknął Kobold, kiedy w czwartek on, Freddie i Martin szli na górę, na zajęcia, które odbywały się na strychu.

Zajęli swoje miejsca w kręgu i czekali. Reszta grupy zbierała się powoli, bez specjalnej nadziei na to, że ćwiczenia się odbędą.

– Fajnie by było, gdyby przyszedł. – Ana westchnęła cicho, podchodząc do okienka na strychu i wyglądając przez nie. – Przynajmniej cokolwiek byśmy wiedzieli...

– Właśnie – poparła ją Nel. – On jeden nam tutaj cokolwiek mówi. Ciekawe, czy udało się typa złapać.

Dopiero kiedy to powiedziała, Martin uświadomił sobie, jak bardzo sam wyczekiwał tych zajęć. Jak wszyscy byli spragnieni informacji. Najbardziej zaangażowana w sprawę Freddie od poprzedniego wieczora snuła się jak w transie, jakby magia manipulatorów, za pomocą której Taro ją wtedy uspokoił, wciąż na nią działała. Nawet gdyby miała jakieś dokładniejsze informacje, nie byłaby w stanie ich przekazać.

Victor milczał, w zadumie bawiąc się swoją marionetką. Martin spostrzegł, że chłopak poczynił postępy. O wiele lepiej radził sobie z wprawianiem Cato w ruch. Cokolwiek zrobił, zasłużył na szacunek

marionetki. Czy to dlatego, że w sylwestra usiłował unieruchomić golema nicią manipulatorów?

- A dupa – powiedziała ponuro Jo, dołączając do grupy.
- Mamy zastępstwo, właśnie się dowiedziałam. I nie zgadniecie, z kim. Z Johanem.

Na ustach Victora błąkał się dziwny uśmiezek.

- Może to i nieźle się składa.

Ana odwróciła się od okna, przekrzywiając głowę.

- Co masz na myśli? – zapytała szczerze zdumiona.

Victor wstał. Zaczął przechadzać się za plecami siedzących na krzesłach uczniów, tak jak to zwykł robić to Podróżny.

- Zastanówcie się – zachęcił. – Może to dobry pomysł, żeby z tym skończyć?

Nel, która siedziała na krześle po turecku, podniosła głowę, żeby spojrzeć na niego, gdy przechodził za jej plecami.

- Z czym, Victor?
- Z tą zdradą – odparł adept.

Nel natychmiast usiadła normalnie, wyprostowana jak struna. Freddie poderwała głowę, jakby była marionetką, którą ktoś pociągnął za sznurek. Kobold przełknął ślinę.

- Czy wy naprawdę tego nie widzicie? Nie rozumiecie, co próbuje zrobić Morty? – dopytywał Victor. – Naprawdę jesteście aż tak głupi i tak bardzo daliście się omotać? Zastanówcie się przez chwilę!

– O czym ty mówisz? – Ana z niedowierzaniem pokręciła głową. Wciąż stała pod oknem. Zachodzące

zimowe słońce budziło w jej jasnych włosach czerwone refleksy. – Vic, o czym ty mówisz, czemu tak nagle...

– Co ty odwalasz, koleś? – zapytał nieco bardziej dosadnie Kobold.

Victor nawet nie zaszczylił ich spojrzeniem.

– Naprawdę nie rozumiecie? – Potoczył wzrokiem po zebranych. – Zniknął, po pięciu latach pojawił się niespodziewanie i wrócił na łono Kolegium, chociaż chodziły pogłoski, że różnie między nimi bywało. I od razu jakoś wszyscy mu zaufali, Erika Ekhart przyjęła go z otwartymi ramionami – wyliczał. – W tajemnicy przed władzami uczelni przemycił do naszej grupy szpiega, który inwigilował nas przez cały semestr i teraz nagle przyznał się do tego i poprosił, żeby trzymać to w sekrecie. Zbiera nas tutaj, opowiada o rzeczach, o których Kolegium najwyraźniej nie chce, żebyśmy wiedzieli, które... Tak naprawdę nie wiemy przecież nawet, czy są prawdziwe. Skąd możemy wiedzieć, że nie próbuje nastawić nas przeciw uczelni? To wygląda trochę jakby chciał sobie stworzyć własną grupkę, gotową sprzeciwić się Kolegium na jego rozkaz. Jakby... zbierał armię.

Martin przełknął ślinę. Odszukał wzrokiem Nel, która ostrzegawczo pokręciła głową.

„Nie patrz na mnie, nie pokazuj mu, że rzeczywiście coś jest na rzeczy”.

Miała rację. Dlatego też nawet nie próbował szukać

wzrokiem Waltera.

– On zwariował – stwierdził po prostu Kobold.

– Bardzo sprytnie to sobie umyślił – ciągnął Victor. Staął za krzesłem Jo i spoglądał na nią z góry. Dziewczyna była przestraszona, wyraźnie niepewna, co myśleć. – Sam biega po mieście, goniąc odszczepieńca, który chciał zniszczyć Kolegium, a tymczasem ma tutaj swoich wiernych ludzi, spijających z jego ust każde słowo, każdą zakazaną informację... To dość niebezpieczne. – Położył dłoń na ramieniu Jo. – Nie powinniśmy tego ciągnąć, zwłaszcza teraz. Praski zegar stanął, zdrajcy Kolegium i golemi rosną jak grzyby po deszczu... Nie powinniśmy jeszcze bardziej się osłabiać. I dlatego – mocniej zacisnął dłonie na ramionach dziewczyny – kiedy przyjdzie tutaj Johan, powiemy mu o wszystkim, o czym rozmawiał z nami Podróżny. Prawda, Jo?

Dziewczyna pokiwała sztywno głową.

– Victor! – Ana oderwała się od okna. Ruszyła w ich kierunku. – Victor, Jo, co was opętało? Przecież jeśli Johan się dowie... On jest tutaj coś jakby wicedyrektorem, jeśli powie Erice... Chcecie, żeby go wywalili?

– Może to nie byłoby takie złe – odparł Victor. Oderwał się od Jo i podszedł do krzesła, przy którym stała Ana. Dłonią uniósł jej podbródek. – Pozbyć się go stąd. Nie pozwolić mu więcej mącić, nie pozwolić mu zniszczyć Kolegium od środka, tak jak próbował zrobić to Dieter.

Martin dostrzegł, że Nel zaciska pięści.

– Ale oczywiście – ciągnął Victor – możecie mnie uciszyć. Jest was więcej, możecie nawet zwyczajnie mnie zakneblować i wsadzić do szafy, jeśli wasze umiejętności nie są jeszcze na tyle rozwinięte, by odebrać mi głos w bardziej subtelny sposób. – Zmrużył oczy. – Możecie dalej go słuchać, dalej dać mu się mamić. Tylko nie wiem, jak to się dla was skończy... Kto wie, czy nie tak, jak dla Żelaznego Dworu – dodał od niechcienia.

Walter drgnął. Żelazny Dwór. Miejsce ukryte głęboko, po drugiej stronie, które opuścił dawno temu i którego tron miał odziedziczyć.

– Co? – wyszeptał. – Żelazny Dwór?

– Dawno nie miałeś żadnych wieści z domu, co, Walt? – Victor uśmiechnął się do niego. – Dawno nie używałeś swojego smoka, żeby się skontaktować z bliskimi, a nawet gdy wysyłałeś go wcześniej, wracał bez żadnych wiadomości...

– Wiesz coś? – Księżę wstał. – Wiesz coś o moim kraju i nic mi nie powiedziałeś? – Podszedł do Victora i złapał go za bluzę.

– Walt, przyjacielu! – Victor uniósł dłonie w obronnym geście. – Powiedziałbym ci wcześniej, ale tak naprawdę... Sam dowiedziałem się od cici Petry dopiero podczas świąt, kiedy odwiedziła nas z Canelle. Miałem ci powiedzieć po powrocie do Klementinum, ale ta sprawa z Gusem...

– On kłamie – wtrącił Martin, zanim zdążył ugryźć się

w język. – Pani Althan...

– Mniejsza o to – uciał Walter. Cały czas trzymał Victora. Dłoń zaciśnięta na szarej bluzie adepta drżała. – Masz okazję powiedzieć mi teraz. No proszę. Co wiesz o Żelaznym Dworze, Vic? I co Podróżny ma z tym wspólnego?

– Dziwne, że jakoś nikt nie zastanawiał się, co działo się z Podróżnym przed tym, zanim łaskawie nam się tu objawił – powiedział Victor. Świdrował Waltera spojrzeniem lodowatych, błękitnych oczu. – Dziwne, że nikt nie sprawdził, co robił, gdzie się ukrywał. Dobrze, że moja ciotka, mimo współpracy przy rekrutacji, nie zaufała mu do końca. W tym semestrze dużo podróżowała, zwiedzała dalekie kraje... Podążała jego szlakiem i w swoich podróżach natknęła się na zgliszcza Żelaznego Dworu. Tak mi przykro, Walt. – Poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Gadaj, co wiesz! – warknął Walter. Pchnął Victora na jeden ze stołów i uderzył go pięścią w twarz. Reszta grupy natychmiast zerwała się z miejsc, by w razie czego ich rozdzielić. I żeby dobrze słyszeć. – Mów, co tam się stało! Mów, co z...

– Walter! – Nel złapała go za ramię. – Martin, Kobold, pomóżcie mi!

Wspólnymi silami odciągnęli Waltera od Victora. Walter wyprostował się, wciąż ciężko dysząc. Wpatrywał się w Victora, jakby znów zamierzał się na niego rzucić.

– Niech mówi. – Nel posłała Victorowi czujne,

wyczekujące spojrzenie. Adept otarł krew z rozbitej wargi. Na wszelki wypadek stanął za następnym stołem, by Walter nie mógł go dosięgnąć.

– Żelazny Dwór od dawna nie był niepodległą krainą – wyjaśnił zebranym. – Jak wszystkie ziemie ukryte w Cieniu, jak kraina Nel i Aislinga, jak wiele innych małych królestw, ma jedną zwierzchnią władzę. Podróżny jednak przyjechał tam, zaczął im opowiadać historie z innych miejsc, przekonywać ich, że wszystkie te krainy stopniowo się wyzwalają, że można odzyskać całkowitą niepodległość i, co za tym idzie, dawną świetność. Twoi rodacy usłuchali. Zaczęli planować spisek, chcieli obalić władzę, chcieli stać się wolni. Podróżny pomagał im, przekazywał informacje, dolewał oliwy do ognia, a później zniknął. – Pstryknął palcami. – Ot tak, jak miał to w zwyczaju. Czekali na niego. Czekali, aż powróci, aż da im znak do ataku, on jednak się nie pojawiał. Nie mógł, bo przecież był już w całkiem innym miejscu i czasie. – Uśmiechnął się szyderczo. – Zaatakowali sami. Za wcześnie, bez odpowiedniego przygotowania. Rozniesiono ich w pył.

– Nie – wyszeptał Walter. Jeszcze przed chwilą aż drżał z niecierpliwości, żeby rzucić się na Victora, ale teraz nagle zabrakło mu sił. – Nie wierzę ci. Kłamiesz! Nie wierzę, żeby...

Oparł się o blat i spuścił głowę. Osunął się na kolana.

– Przykro mi, Walt – powiedział jeszcze raz Victor, odwracając wzrok.

Martin rozglądał się uważnie po warsztacie. Walter klęczał na ziemi obok Nel. Ana wróciła na swoje miejsce pod oknem i obserwowała wszystkich wzrokiem spłoszonego zwierzęcia. Stojąca za plecami Victora Jo mierzyła ją pełnym politowania spojrzeniem. Freddie i Kobold spoglądali na siebie niepewnie, nie wiedząc, co myśleć.

Victor miał rację w jednym: zbyt łatwo zaufali Mortimerowi. Mimo tego, co mówiła o nim Stina, jego była asystentka, mimo tego, co mówił on sam. Zbyt łatwo założyli, że jest po ich stronie, mimo że tak naprawdę nie dawał im aż tak wielu powodów. Czyżby stosował na nich jakieś swoje sztuczki? Czy byli tylko jego marionetkami?

– Nie mamy innego wyboru. Dla własnego dobra musimy mu powiedzieć – odezwał się znów Victor, wracając na środek kręgu z krzesel. Martin nigdy nie był tak bliski przyznania mu racji. Przecież Mortimer sam powiedział, że po prostu nie pamięta, co się z nim działo po pojedynku z Królem Demonów. Mógł zniszczyć ojczyznę Waltera i nawet o tym nie wiedzieć.

Usłyszeli kroki. Mistrz Johan wreszcie znalazł czas, by odbyć swoje zastępstwo.

– Nie ma takiej opcji – powiedziała Freddie, posyłając Victorowi wyniosłe spojrzenie. Kroki na schodach były coraz bliższe. – Nie przekonałeś mnie. Nie pozwolę ci donieść na Podróżnego.

– Ach tak, zapomniałem. – Victor posłał jej

roztargnione spojrzenie. Jego usta wykrzywił szyderczy uśmiezek. – Przecież masz skłonność do zdrajców i odszczepieńców. – Stanął za nią i teatralnym szeptem dodał: – Dziecko z Trollowego Mostu.

Oczy wszystkich zwróciły się na Freddie. A zaraz później na Johana, który najwyraźniej wyczuwając napiętą atmosferę już od progu, zapytał:

– Co wy tutaj właściwie wyprawiacie?

Wszyscy milczeli, spoglądając na siebie niepewnie. Wreszcie Martin zabrał głos:

– Mistrzu Johanie. – Popatrzył wykładowcy w oczy. – Chciałbym prosić o zwołanie Rady Kolegium. Sądzę, że udało nam się znaleźć winnego śmierci Neda.

Johan popatrzył na niego pytająco, najwyraźniej nie wiedząc, o kim mowa.

– Irlandzkiego demona, Nuady – powiedziała cicho Nel, wstając z miejsca. – Adepta pierwszego roku. Mojego brata.

Mistrz Marionetek przez chwilę spoglądał na nich w zadumie. Wydawał się nieludzko zmęczony. Pod oczami miał cienie, a zmarszczka na czole się pogłębiła.

– Ach tak – mruknął. – Przyjąłem do wiadomości, przekażę.

Nie zadał żadnego pytania, najwyraźniej uznawszy, że na razie nie potrzebuje znać szczegółów. Martin nie zamierzał jednak odpuścić.

– Zabił go Victor Althan.

Ana pisnęła cicho, zaś Jo ze świstem wciągnęła

powietrze. Walt powoli podniósł się z podłogi, a Nel i Kobold wymienili zdumione spojrzenia. Jedynie Freddie uśmiechnęła się triumfalnie i dumnie uniosła głowę.

Mistrz Johan pokiwał głową.

– Rozumiem. Będziecie jednak musieli trochę poczekać. Na razie Rada zajęta jest Mistrzem Dieterem.

Freddie drgnęła. Uśmiech zniknął z jej twarzy.

– Złapali go?

– Właśnie go przesłuchują.

MISTRZ MARIONETEK

Czajnik na kuchence zagwizdał nerwowo, a Martin wstał od laptopa, żeby przygotować kolejny kubek herbaty. Johan powiedział, że proces odbędzie się najwcześniej jutro. Zależy, ile czasu będą potrzebować, by złamać Mistrza Dietera i zmusić go do wyjawienia, gdzie jest Zegarmistrz. Freddie plątała się po Klementinum jak ćma, próbując znaleźć pokój przesłuchań. Kobold chciał jej towarzyszyć, ale odprawiła go, tłumacząc, że jest przecież dzieckiem z Trollowego Mostu i nic jej nie zagraża. Walter nie mógł usiedzieć w miejscu. Ostatecznie poprosił doktora Barkera o asystę. Wraz z Nel, Aisligniem i wykładowcą udali się do Knajpy Morderców, by zdobyć jakiegokolwiek informacje o Żelaznym Dworze. Ana zamknęła się w swoim pokoju, zaś Jo siedziała piętro niżej, w kwaterach dochodzącej do zdrowia Ingi, najwyraźniej szukając pocieszenia.

– A więc jednak – powiedział Greem, wchodząc do kuchni. Martin omal nie poparzył się wrzątkiem, który właśnie próbował nalać do kubka. Od dnia, kiedy ostatni raz widzieli się z Ingą, Greem i Martin właściwie tylko mijali się na korytarzach. Martin nie był pewien, na ile był to skutek chaosu panującego obecnie w Klementinum, a na ile celowe działania starszego kolegi.

– Widzisz, wiedziałem, że to rozgryziesz. – Dziedzic alchemików się uśmiechnął. – Canelle na pewno jest z ciebie dumna.

Martin wzruszył ramionami i przypominał sobie ich rozmowę przed egzaminem wstępnym. Obiecał wtedy Greemowi, że dowie się, kto chciał zabić Waltera. I dowiedział się. Dowiedział się nawet więcej, niż chciał.

– Od początku wiedziałeś, że to on? – zapytał Greema, po czym upił łyk herbaty. – Powiedziałeś wtedy, że masz jakieś podejrzenia.

– Miałem nadzieję, że nie okażą się prawdą – wyznał adept, uśmiechając się krzywo. – Miałem nadzieję, że się mylę, bo jeśli nie...

Martin wpatrywał się w niego wyczekująco. Gdzieś w głębi serca czuł, że wie, co zaraz usłyszy. Zacisnął szczęki, przygotowując się na cios.

– Bo to oznacza, że to ja go zdradziłem – powiedział Greem. Jego głos był cichy i niemal całkiem wyprany z emocji. – Waltera. Spotkałem Victora, kiedy szedłem do ciebie. No wiesz, kiedy wróciłem od Waltera ze wsi i chciałem zanieść ci twoją torbę. Znamy się, ja, on i Walt, bo jest bratankiem pani Althan i wcześniej często u niej bywał.

Martin słuchał w milczeniu. Nie chciał mu przerywać, mimo że czuł, że narasta w nim gniew.

– Nie zdziwiłem się, kiedy zapytałem, gdzie jest Walt. Pomyślałem, że chce go po prostu odwiedzić na Złotej Uliczce, tak jak wiele razy wcześniej. Powiedziałem, że

byliśmy u niego w rezydencji i że Walt postanowił zostać tam nieco dłużej. Dopiero kiedy powiedziałaś mi, że zleceniodawca Ely wiedział od przyjaciół Waltera, gdzie go szukać, coś mnie tknęło.

– Rozumiem – powiedział Martin. Greem wyglądał jak ktoś, kto naprawdę czuje się winny. Był zamknięty w sobie, nieco dziwny i nieprzewidywalny, ale nie zaplanował tej zdrady z zimną krwią. W ogóle jej nie zaplanował. – Powiedziałbyś Victorowi, gdybyś wiedział, co on kombinuje?

Za odpowiedź musiało mu wystarczyć spojrzenie Greema, dobitnie sugerujące, że wątpi w intelekt i władze umysłowe rozmówcy.

– A ty? – zapytał wychowanek alchemików. Również wstał, aby zrobić sobie herbatę. – Jak właściwie na to wpadłeś? Walt mówi, że wyskoczyłeś z tym ot tak.

Martin się zawahał. Obiecał Freddie, że nie zdradzi nikomu jej tożsamości, ale to właśnie ona była kluczem do rozwiązania zagadki Victora.

– Pamiętasz, jak wypytywałem o dziecko z Trollowego Mostu? Morderca, z którym współpracowała Ely, powiedział, że dziecko z Trollowego Mostu zdało egzamin i zostało już zakwalifikowane do grona adeptów. Sam słyszałem. To znaczy, że musiał znać jego tożsamość. Victor przez długi czas upierał się, że to Kobold.

– Słyszałem kilka razy – potwierdził Greem.

– Ale to nie był Kobold. To nie mógł być Kobold, on

przecież został przeniesiony dużo później. Nikt nie wiedział, że trafi do nas, nawet Johan i Taro byli zaskoczeni decyzją Podróżnego. Od początku coś mi się nie zgadzało. – Martin wstał i oparł się o kuchenną szafkę. – Wszyscy inni to kupowali, to miało sens, ale ja... przecież wiedziałem, że to nie może być Kobold. I że druga osoba, która też o tym wie, rozmawiała z Ely w Knajpie Morderców. Wtedy na strychu, kiedy Victor próbował nas przekonać, żebyśmy powiedzieli Johanowi o tym numerze z Lottą i o tym, że Podróżny zdradza nam poufne informacje, trochę go poniosło. Niechcący ujawnił, że zna tożsamość prawdziwego dziecka z Trollowego Mostu. Nie wiedział, że ja wiem, więc czuł się bezpiecznie. Zaraz po tym, jak Vic się wygadał, wszedł Johan, pytając, co się u nas dzieje.

Greem przyglądał mu się w milczeniu. Jego blade, szare oczy błyszczały ciekawością i dumą, jednak tliło się w nich też poczucie winy. Martin nie był pewien, co oznacza to spojrzenie, ale poczuł się dość niepewnie.

– Myślisz, że... mówił prawdę? O Walterze i jego domu? O tym, że Podróżny...

Greem spoważniał. Blask w jego oczach nieco przygasł.

– Szczerze mówiąc? Nie mam pojęcia. – Westchnął. – Nikt nie wie, co Podróżny porabiał przez ostatnie pięć lat. A Walt naprawdę od dawna nie kontaktował się ze swoimi, tak więc... Nic dziwnego, że poszli z Nel na miasto powęszyć. Sam bym pewnie tak zrobił na ich miejscu.

Przez chwilę obaj pili herbatę w milczeniu. Nagle Martinowi przypomniało się coś jeszcze. Coś, co dręczyło go, od kiedy tylko spotkał Victora.

– Mówiłeś, że ty, Walt i Victor znacie się do lat – powiedział, mierząc rozmówcę uważnym spojrzeniem. – Wiesz, o co chodzi z nim i Canelle? Twierdzi, że cały czas są w kontakcie, ale Walt mówi, że to mało prawdopodobne. Dzisiaj Vic powiedział, że... – upił łyk herbaty, czując, jak gorzki płyn rozprowadza po jego gardle przyjemne uczucie ciepła – że to pani Althan zdobyła te wszystkie wiadomości o Podróżnym i o Żelaznym Dworze.

– Powiedział tak? – Greem wydawał się zaalarmowany. – Co jeszcze mówił? Kiedy to niby widział Petrę Althan? Martin wyteńczył pamięć.

– Przed świętami wspomniał, że wtedy się zobaczą – powiedział powoli. – I że pozdrowi ode mnie Canelle. Co? – zapytał, dostrzegając przerażenie w oczach Greema.

– Gdzie jest Daimon? – zapytał dziedzic alchemików. – Gdzie go zwykle trzymasz?

– U mnie w pokoju. Wisi na ścianie, na haku.

Greem wstał, nie troszcząc się o to, że stracił swój kubek z herbatą. Brązowy płyn rozlał się plamą na drewnianym parkiecie.

– Wracaj natychmiast do pokoju i schowaj go – polecił. – Ukryj gdzieś, najlepiej u Podróżnego.

– Co? Ale dlaczego? O co tu chodzi?

– Victor był ulubionym krewniakiem pani Althan oraz

przyjacielem moim i Walta aż do momentu, kiedy skontaktowała się z nim Praska Szkoła Lalkarzy – tłumaczył Greem, jednocześnie gestami przynaglając Martina do wyjścia z kuchni. – Wtedy poszedł do pani Althan i poprosił ją o Daimona. Uznał za naturalne, że ta marionetka należy się jemu, przecież są spokrewnieni, a lalka jest u niej. Nie zgodziła się, powiedziała, że nigdy mu jej nie odda. Próbował wtedy skrzywdzić Canelle. Petra przegoniła go w cholerę i zakazała zbliżania się do sklepu. Zaraz później obiecała Daimona tobie.

Martin nie musiał pytać o nic więcej. Pobiegł korytarzem do swojego pokoju. Victor chciał Daimona. Od początku uważał, że marionetka Podróżnego należy się jemu. Niemal słyszał, jak wali mu serce.

W pokoju było całkowicie ciemno. Koszyk kota był pusty – Odyn pewnie udał się na kolejną wędrowkę po Klementinum. Daimon wisiał na ścianie. Martin troskliwie zdjął go z haczyka. Wtedy poczuł na gardle chłodne ostrze noża.

Nie próbował się odwracać. Wiedział, kogo zobaczy.

– Odłóż broń.

– Ależ Martin! – Usłyszał głos Victora tuż przy swoim uchu. – Przecież ja wcale nie mam broni. Tylko spójrz.

Popatrzył w dół. Victor trzymał dłoń w pobliżu jego gardła i zaciskał ją tak, jakby trzymał w niej nóż, nic jednak nie było widać. Ręka wydawała się pusta. Niewidzialna broń.

Martin odwrócił się ostrożnie w stronę przeciwnika.

– Ty...

– Tak, ja – odparł Victor, prowokująco patrząc mu w oczy. – To od początku byłem ja. To ja nasłałem Ely na Waltera, to ja w październiku próbowałem go zabić i wrobić ciebie. Gdyby tylko Ned nie wszedł mi w drogę i gdybym wiedział, że wiesz o dziecku z Trollowego Mostu...

Martin pochwycił dłoń Victora i próbował ją wykręcić tak, jak uczył go Taro. Victor bez trudu zablokował chwyt. Sam wykręcił rękę Martina, przyciskając mu ją jego pleców. Popchnął go na łóżko i przycisnął kolanem. Wolną ręką przysunął do szyi adepta niewidzialny nóż.

– Czego... chcesz? – wykrztusił Martin, próbując go z siebie zrzucić.

– Nie udawaj, że nie wiesz. Myślałeś, że tak łatwo ci pójdzie? Myślałeś, że po prostu mnie zdemaskujesz i już będziesz miał mnie z głowy? Masz coś, co do mnie należy, Martin. Przyszedłem to odzyskać, zanim zniknę na dobre.

– Mogłeś go wziąć, kiedy mnie tu nie było – prychnął Martin. – Przecież zdołałeś wejść do mojego pokoju, ale... – nóż nieprzyjemnie nacisnął na jego szyję, zadrapując skórę – ale wolałeś na mnie czekać.

– Taka wielka nadzieja lalkarstwa, a tak mało wiedzy!
– Victor mocniej wygiął nadgarstek i tym razem Martin krzyknął. – Potrzebowałem twojej zgody na zabranie go. Inaczej nigdy by mnie nie posłuchał.

– I myślałeś, że ją dostaniesz? – Martin zahaczył nogę

Victora swoją stopą. Jednym szarpnięciem zrzucił go z siebie. Przygwoździł go do łóżka, przy okazji uwalniając też rękę. Z całej siły uderzył napastnika pięścią w twarz. – Daimon jest mój! Pani Althan dała go mnie, zasłużyłem na niego! Nigdy ci go nie oddam!

– Tak myślałem – syknął Victor. Zablokował kolejny cios Martina i znów zbliżył niewidzialny nóż do jego szyi. – Nie szkodzi, jest jeszcze drugi sposób. – Martin wzdrygnął się, czując na skórze chłód metalu. – Wystarczy, że cię zabiję, wtedy Daimon po prostu dostanie mi się w spadku.

Walczyli zażarcie, przetaczając się po łóżku, kopiąc wściekle, i wykręcając sobie nawzajem ręce w kolejnych bolesnych chwytach. Martin instynktownie starał się przyciskać brodę do klatki piersiowej, żeby unikać duszenia. Nie chodziło już tylko o drewnianą marionetkę. Victor naprawdę zamierzał go zabić, by otrzymać Daimona. Napastnik zrzucił go z łóżka i natychmiast wylądował na nim, mocno przyciskając kolanami do podłogi. Uderzenie o twarde deski pozbawiło Martina reszty powietrza w płucach.

– Dlaczego?! – wydyszał. Zakaszłał, unosząc lekko głowę. – Dlaczego Walter? Dlaczego jego próbowałeś zabić na egzaminie, a nie mnie?

– Bo wiedziałem, jak to zrobić. – Victor wybuchnął śmiechem. – Znałem go, wiedziałem o jego problemach z Ely, ale aż do egzaminów nie miałem okazji jej poznać, więc właściwie... wszystko miałem podane na tacy. Ty

byłeś nowym graczem, pojawiłeś się znikąd i nie mogłem cię dorwać bezpośrednio. Mogłem tylko wybić cię z rytmu, atakując ludzi, których lubisz. Zawsze działa.

– A Canelle? – pytał dalej Martin. Musiał zebrać siły. Musiał pozbierać się do dalszej walki, a jedyny sposób, jaki przychodził mu teraz do głowy, to zadawanie pytań. – Greem powiedział, że coś jej wcześniej zrobiłeś. Teraz też?

– Może tak, może nie – odparł Victor. Uśmiechnął się do niego nienaturalnie szeroko. – Może odnalazłem ją po tamtym rajdzie i ukryłem wraz z ciocią w piwnicy swojego domu? Może już nie żyją? Może przez cały rok mówiłem prawdę i po prostu porzuciły Obrzeża i żyją sobie gdzieś bezpiecznie?

Blefuje – przeleciało Martinowi przez głowę. Wie tyle, ile ja!

– Powiem ci – w jego oczach pojawił się pożądliwy błysk – jeśli oddasz mi Daimona.

– Po moim trupie – wycedził Martin. Znowś zdołał uderzyć go w twarz pięścią. Coś chrupnęło, ale Victor nie zwracał na to uwagi. Złapał Martina za włosy i mocno przyciągnął do siebie.

– Dokładnie! – wyszeptał.

Uniósł pięść. Martin pochwycił ją, próbując powstrzymać cios. Ostrze przecięło opaskę na jego nadgarstku i skaleczyło skórę. Później wbiło się w jego bok. Krzyknął. Czuł na przemian zimno i gorąco, powoli mieszające się w jedno uczucie dojmującego bólu.

– Powiedz, Martin – wyszeptał Victor, wyciągając ostrze z rany. Powietrze wypełnił metaliczny zapach krwi. – Powiedz, co teraz widzisz?

Zimne oczy Victora przeszywały go na wylot i przyszpilały do podłogi.

– Ciemność – podpowiedział napastnik. Kurczowo ścisnął w dłoni niewidzialny nóż, szykując się do zadania drugiego ciosu. – Ciemność, która rozdziera inną ciemność. Ciemność, która potrafi zatopić kły w karku tej ciemności, którą już poznałeś i rzucić nią o ziemię.

Trzask. Brzdęk pękających strun. Wściekłe miauknięcie. Krzyk Victora i następujący po nim odgłos ciała uderzającego o ziemię. Martin zamrugał i rozejrzał się zdezorientowany.

– Te czarne charaktery. – Kobold westchnął, od niechcienia szturchając butem leżącego Victora. – Zauważyłeś, że zawsze niepotrzebnie tak dużo gadają, zamiast od razu przejść do rzeczy?

W dłoni wciąż trzymał swoją gitarę. Gryf był złamany, całość trzymała się na jednej ocalałej strunie. Kot zeskoczył z twarzy nieprzytomnego Victora, pozostawiając na skórze chłopaka pięć szram.

– Tak – odparł Martin. Kręciło mu się w głowie, zdobył się jednak na uśmiech. Podparł się łokciami o podłogę, próbując niezgrabnie usiąść. – Zauważyłem. Co z nim?

– Chyba żyje – mruknął adept, zerkając na leżącego u jego stóp Victora. – Tylko go trochę ogłuszyło, nie waliłem mocno. A ty? – Zerknął na jego bluzę i pobladł. –

Martin. – Złapał go za ramię. – Martin, jak się czujesz?

Wszystko w porządku?

– W porządku – odparł Martin.

I zemdlał.

MŁODA

– Miałeś szczęście, że Kobold martwił się o Freddie i nie mógł spać – wyjaśnił mu później Greem. On i Kobold byli obecni, kiedy się obudził, więc teraz Martin wykorzystywał ich do uaktualnienia wiedzy. Kot spał w nogach jego łóżka. – Jeszcze trochę, a byłoby po tobie. Następna rana nie byłaby taka płytka.

Martin wzniósł oczy u niebu. Szczęście było kwestią względną. Przez dwa dni leżał półprzytomny. Victor o mało nie zabił go tylko po to, by zdobyć marionetkę, której nie chciała dać mu ciocia.

– Co się z nim stało? Z Victorem?

– To, że próbował cię zaatakować jeszcze przed spotkaniem z Radą, raczej mu nie pomogło – przyznał Kobold. – Poświadczyłem, że cię ranił i powtórzyłem część tego, co ci powiedział. Nie uwierzysz, ale on naprawdę przetrzymywał swoją ciotkę w piwnicy w jej własnym domu. Podróżny ją znalazł i zabrał tutaj.

– Naprawdę? – ucieszył się Martin. – Petra Althan żyje?

To była dobra wiadomość. Ciotka Canelle przez jakiś czas opiekowała się nim, dała mu dach nad głową. Miał do niej pewien sentyment i bardzo martwiła go jej przedłużająca się nieobecność.

– A Canelle?

– Przykro mi. – Greem westchnął. Unikał jego wzroku.

– Żadnych nowych wieści.

– Ale przynajmniej tamtego typu mamy już z głowy – próbował go pocieszyć Kobold.

– Zabili go?

– Wygnali – sprostował Greem. – Ale to prawie równoznaczne. Mają prawo zabić go przy pierwszej okazji. Równie dobrze możesz uważać Victora za martwego.

Martin pokręcił przecząco głową.

– On jest sprytny. I silniejszy niż większość z nas.

Kobold zmrużył oczy.

– Co masz na myśli?

Martin popatrzył na Greema.

– Wtedy podczas wakacji powiedział Ely, że jest kimś ze starszego rocznika i ona od razu mu uwierzyła. Musiał ją jakoś przekonać. Zresztą, ja sam cię wtedy pytałem o starszych adeptów – przypomniał mu. Podopieczny alchemików potwierdził. Martin mówił dalej: – Jego nici manipulatorów są silniejsze niż te, które robiła Jo, momentami prawie zatrzymywał tego golema. Nóż, którym mnie dźgnął, też nie był prawdziwy.

– Niewidzialna broń – mruknął Greem. – To rzeczywiście materiał z drugiego roku.

– Victor umie o wiele więcej niż my – ciągnął Martin. – Wie więcej niż my. Nie uwierzę, że jest martwy, dopóki tego nie zobaczę.

– To rozsądne podejście – przyznał Greem, kiwając głową.

Martin popatrzył mu w oczy. Wziął głęboki oddech.

– Powiedz Iskrze, że przystanę na jej propozycję, jeśli obieca mi, że tego dopilnuje. Jeśli zapewni mnie, że zobaczę Victora martwego.

Kobold popatrzył na niego ze źle skrywanym niepokojem. Podał mu kubek z wodą.

– Masz, napij się jeszcze. Są w tym jakieś witaminki na wzmocnienie, Podróżny zostawił.

Martin z wysiłkiem podniósł się do pozycji półleżącej i wziął kubek w dłoń. Starał się nie patrzeć na Greema, nie chciał widzieć, jakie emocje wzbudziła w nim jego decyzja. Pamiętał, co Podróżny mówił o znaczeniu Kolegium, ale pamiętał też, że Victor chciał skrzywdzić Canelle i miesiącami więził Petrę Althan. Niewidzialne ostrze przecięło też opaskę, którą Martin dostał od Nel. Opaskę, która nie mogła się przerwać, bo wtedy spełnią się jego życzenia. Gus. Canelle. Klara.

Poczuł ucisk w gardle.

– Co z resztą grupy?

– Jo i Ana się pożarły, a Walter i Nel wyjechali – odparł Kobold. – Zrobili sobie ferie zimowe.

– Nie dowiedzieli się niczego konkretnego w mieście – sprostował Greem. – Walt chciał osobiście sprawdzić, co się dzieje w jego ojczyźnie. Wykorzystali przerwę międzysemestralną. Podróżny wyraził zgodę, tak jak w przypadku naszych wyjazdów do domu na święta.

– Walt pojechał sam z Nel?!

– No wiesz. – Kobold popatrzył na niego znacząco. –

Teraz, kiedy już wiemy, kto zabił Neda, jest chyba trochę mniej narwana.

– A co z Freddie?

Kobold odwrócił wzrok.

– Na dobre zamieszkała pod gabinetem Taro. – Westchnął. W zadumie spoglądał za okno. Wydawał się zmartwiony.

– Bo widzisz, Dieter jeszcze nic im nie powiedział. Cały czas próbują go do tego zmusić.

Poddali się ostatecznie po dwóch tygodniach. Bez względu na to, czego nie zrobiliby pracownicy Kolegium, Dieter odmawiał przyznania się do zdrady. Nie powiedział też, kto wydawał mu rozkazy, gdzie są jego ludzie ani gdzie ukryli Zegarmistrza. Freddie знаła tylko pseudonimy pozostałych członków grupy, więc tak naprawdę nie mogła wiele pomóc. Żeby jakoś rozładować napięcie, coraz częściej pojawiała się na treningach u Taro. Mistrz kontynuował je głównie po to, by oderwać się od prób porozumienia się z Dieterem. Według Kobolda był drażliwy i nerwowy, zaś Freddie utrzymywała, że „przypominał konsystencją rozgotowany budyń”.

Martin, który ze względu na odniesioną ranę nie brał udziału w treningach, uznał, że prawdopodobnie to kwestia perspektywy. Freddie była przyzwyczajona do innej szkoły. Stopniowo jednak – jeśli wierzyć Koboldowi

i Greemowi – przystosowywała się do nowego rygoru. Nawet zaczęła wyrażać się o Taro z większą sympatią. Do czasu aż Erika Ekhart podjęła decyzję.

– Postawiła mu ultimatum – wyjaśnił Podróżny, przysiadając na krawędzi stołu. Wciąż ćmił fajkę wodną, tym razem o zapachu winogron. W kręgu krzeseł zasiadali Freddie, Kobold, Martin, Ana i Jo. Lotta siedziała na scenie, obserwując ich z bezpiecznej odległości. Na prośbę Mortimera wróciła, by czuwać nad dawnymi kolegami z grupy.

– Ultimatum? – powtórzyła Freddie. – Jakie ultimatum?

– Przyszła do niego osobiście i powiedziała mu: „Albo powiesz mi, w imię kogo i czego zdradziłeś Kolegium i naraziłeś na niebezpieczeństwo moje dzieciaki, albo ja wydam rozkaz, żeby te dzieciaki cię zabiły”.

Martin prychnął pogardliwie. Wiedział, że Erika Ekhart nigdy nie powiedziałaaby czegoś takiego. Zmieniła reguły naboru i egzaminów na brutalne, krwiożercze i bezlitosne. Bez mrugnięcia okiem zabiła Klarę i pozwoliła na to, żeby Victor, który próbował zabić Martina, uszedł z życiem.

– I co powiedział? – zapytała Freddie, spoglądając niepewnie na Podróżnego. Zacisnęła pięści.

– Dzisiaj rano Erika Ekhart przedstawiła listę osób, które będą z nim walczyć. Oni będą mieć broń, on nie. Będą atakować do skutku.

– Do skutku – powtórzyła Freddie. – Czyli...

– Frederiko Kruger. – Podróżny podszedł do niej i

położył jej dłoń na ramieniu. – Jesteś na tej liście.

Freddie ostrożnie uchyliła drzwi do sali gimnastycznej, w której zwykle odbywały się treningi z Taro. Odruchowo się skłoniła, spoglądając na ścianę. Zdjęła buty. Tak jak się spodziewała, Dieter klęczał pośrodku pomieszczenia, ze spuszczoną głową i dłońmi opartymi o matę. Medytował, przygotowując się do czekającej go walki.

Zastanawiała się, o czym tak naprawdę myśli. Przyjmuje do wiadomości porażkę? Odczuwa skruchę? Dalej trwa przy swoim? Przesząpiła z nogi na nogę, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Chyba raczej nie chciał, żeby ktoś mu przeszkadzał. Zwłaszcza ona. Będzie jedną z tych, których Erika Ekhart wyznaczyła do atakowania go.

– Będziesz tak stać i się gapić? – zapytał, nawet nie patrząc w jej stronę. – Właż, skoro już tu przyszłaś.

Skinęła głową. Podeszła do niego w ciszy i opadła na kolana po jego prawej stronie. Oddała mu szybki pokłon i wyprostowała się, kładąc dłonie na kolanach. Dieter skwitował to sarkastycznym uśmiechem.

– Widzę, że ktoś wreszcie nauczył cię, jak się porządnie kłaniać.

– Tak, Mistrzu – odparła, pochylając głowę. Przez chwilę klęczeli obok siebie. Freddie wpatrywała się w ścianę, mając nadzieję, że znajdzie tam jakąś

podpowiedź, bo nie miała pojęcia, jak się zachować.

– Zdrajczynie przyszła pomedytować przed walką? – zapytał po dłuższej chwili Dieter.

– W tym momencie trudno mi rozsądzić, które z nas jest większym zdrajcą – odparła. Nie spojrzała mu w oczy. Po prostu klęczała obok w całkowitym bezruchu. Drgnęła, dopiero gdy usłyszała cichy, ponury śmiech Dietera.

– Trudno jest pojąć koncept zdrady i lojalności komuś, kto zmienia strony jak chorągiewka i porzuca swojego Mistrza, bo uważa, że jest zbyt wymagający.

Zacisnęła zęby. Spokój. Nie wolno zakłócać spokoju medytacji. Tyle zdołano jej wbić do głowy na zajęciach, na które przez ostatnie dwa tygodnie chodziła wraz z Koboldem, Greemem i Ingą.

– Nie odeszłam dlatego, że byłeś dla mnie surowy... Mistrzu – dodała niechętnie, widząc jego uniesioną brew.

– Ani dlatego, że sądziłam, że Mistrz Taro potraktuje mnie łagodniej niż ty. – Zamknęła oczy. Przez chwilę oddychała spokojnie. – Ufałam ci – przyznała. – Wierzyłam w ciebie. Wierzyłam, że wiesz, co robisz i podejmujesz słuszne decyzje. Że nas obronisz, że złapiesz tego, kto porwał Zegarmistrza, że tylko ty możesz to wszystko zakończyć i przywrócić równowagę. A ty próbowałeś zniszczyć Kolegium od środka. Zdradziłeś. Zawiodłeś mnie.

– Przyszłaś, żeby mi powiedzieć, że mimo wszystko mnie lubiłaś? Rozczulające.

– Przyszłam ci powiedzieć, że to się nie musi tak kończyć – odparła, patrząc na niego prosząco. – Nie musisz się zgadzać na walkę.

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Lepiej od razu powiedz, że boisz się ze mną zmierzyć – zakpił.

– Chciałbyś. Z przyjemnością dokopię ci za te wszystkie treningi – odparła wyniośle. Była pewna, że mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Po prostu nie chcę, żeby to tak się kończyło – wyznała. – Nie chcę, żeby cię tam zabili, na oczach wszystkich. Wciąż możesz się ukorzyć, przyznać się do zdrady. Powiedzieć, że wypierasz się Króla Demonów, że już nie będziesz działał na szkodę Kolegium. Jesteś jednym z najlepszych śledczych! Wiem, że Taro też nie chce tego robić.

Tym razem Mistrz roześmiał się naprawdę. Dumnie, wyniośle, szyderczo. Tak, jak tylko on potrafił. Poczula, jakby z całej siły cisnął nią o podłogę.

– Paradoksalnie wciąż jestem bardziej lojalny od ciebie – odparł, gdy wreszcie się uspokoił. – Ja się nie wycofuję. Ja nie zostawiam mojego Mistrza, kiedy robi się pochyło. Ja ciągle śnię o tym, że kradnę ptakom pieśń i składam ją w ciszy u jego stóp.

Tym razem to było tak, jakby złapał ją za gardło. Jakby dusił ją nagłym przyływem szczerości.

– Więc... nie ugniesz się? Nie zamierzasz się ukorzyć przed Eriką, wyznać, gdzie jest Zegarmistrz i prosić o

łaskę?

– To nie wchodzi w grę – przyznał, wciąż uśmiechając się pogodnie. – I nie ma żadnej dyskusji. Wracaj na zajęcia, Młoda. Zdaje się, że twoi koledzy będą mieli jakieś bardzo ciekawe przedstawienie do obejrzenia.

Miała ochotę krzyczeć. Protestować. Powtarzać, że nie chce oglądać, jak go zabijają. Nie chce być tylko niemym świadkiem. Zamiast tego tylko znów się przed nim pokłoniła, dotykając dłońmi maty. Wstała. Z pochyloną głową ruszyła do wyjścia.

– Młoda... – Zatrzymała się w pół kroku, słysząc to miano. Odwróciła się i popatrzyła na niego ze zdziwieniem. – Już ci to kiedyś mówiłem, ale... jesteś szybka. Masz predyspozycje. Jedyne, czego ci brakuje, to technika. Atakuj szybko. Nie wahaj się. Nie zastanawiaj. Może to właśnie tobie uda się zadać ostateczny cios.

Ponownie opadła na kolana i podziękowała mu ukłonem. Za pochwałę. Za dobre słowo. Za wszystko. Nie odwracając się już więcej, wybiegła z sali, porywając po drodze swoje buty, i pobiegła korytarzem Klementinum, jakby coś ją goniło.

– Freddie... – Martin odkaszlnął, spoglądając na nią z troską. Siedzieli na wykładzie profesora Septima i znudzeni słuchali o japońskim teatrze kabuki. Innym razem Martinowi temat wydałby się fascynujący. Teraz wydawał mu się makabrycznie ironiczny. – Freddie. –

Szturchnął ją w ramię.

– Co?!

– Nic, po prostu... Jesteś blada jak ściana – zauważył z troską. – Wszystko w porządku?

– Nic mi nie będzie. – Zbyła go niecierpliwym ruchem ręki. Spojrzała na zegar. Czas płynął nieznośnie wolno. Teraz pewnie już po niego przyszli. Pewnie dali mu już nową, czystą szatę, w którą ma się przebrać przed walką.

Martin westchnął i oderwał kawałek kartki ze swojego zeszytu.

„Rozmawiałaś z nim?” – napisał pospiesznie.

Pokiwała głową, krzywiąc się.

„Zgodził się okazać skrucę?” – padło następne pytanie.

Tym razem nawet nie musiała nawet ruszać głową. Wyraz jej twarzy mówił wszystko.

Nasłuchiwała hałasów z za drzwi. Kroków z korytarza. Rozmów, dyskusji. Zaciskała pięści, wbijając paznokcie w dłonie. Pewnie pozwolili mu jeszcze chwilę pomedytować. Ukłonić się swoim dziwnym bogom, w których wierzył. Pożegnać. Pewnie właśnie w tej chwili prowadzą go do Lustrzanej Sali. Drgnęła, słysząc skrzypienie drzwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam, panie profesorze – powiedział Greem, stając w progu. Martin ściągnął brwi, zaś Freddie, o ile to możliwe, pobladła jeszcze bardziej. – Przyszedłem, żeby zabrać Frederikę Kruger do Mistrza Taro. Musi się przygotować.

Profesor Septim obdarzył go przelotnym, roztargnionym spojrzeniem.

– A tak, tak, jasne. – Machnął ręką.

Freddie wyrwała dłoń z dodającego otuchy uścisku Kobolda i wstała, zbierając swoje rzeczy.

– No cóż. – Profesor przejrzał swoje notatki i poprawił okulary. – Została nam jeszcze chwilę do końca zajęć, ale... Poświęćmy może ten czas na omówienie historycznego aspektu widowiska, którego już wkrótce będziemy świadkami – zaproponował.

Martin westchnął. To było chyba nawet gorsze od japońskiego teatru.

Oczywiście wykład przeciągnął się tak bardzo, że cała grupa była spóźniona. Kiedy Martin i Kobold weszli do Lustrzanej Sali, nie mieli już szans na znalezienie miejsca. Adeptów była zaledwie garstka, znacznie liczniejszą grupę stanowili pracownicy Kolegium. Większości z nich Martin nawet nie znał. W pierwszym rzędzie, na eleganckim, obitym czerwonym aksamitem fotelu siedziała Erika Ekhart. Tak samo spokojna, zimna i przypominająca lalkę jak na początku roku i jak za każdym razem, kiedy Martin widział ją gdzieś kątem oka na korytarzu. Znów miała na sobie szarą suknię z rozcięciem. Po jej prawej stronie zasiadał Mistrz Johan, a po drugiej Mortimer. Tuż obok niego przycupnęła na krześle Petra Althan, która wróciła do siebie na tyle, by

pojawiać się publicznie.

Taro stał z boku podestu. Przed nim rozpościerało się zaimprovizowane pole walki. Po lewej stronie klęczał Mistrz Dieter. Jak zawsze surowy i wyniosły. Zdecydowany, gotów do obrony. Niemal dało się dostrzec grające na jego szyi żyły. Szeptał coś do siebie, przymykając oczy. Można by pomyśleć, że się modlił. Albo próbował utkać jakąś iluzję. Albo po prostu poprzysięgał wszystkim zemstę. Po prawej stronie klęczeli obok siebie Aisling, Marco, Inga, Greem i Freddie. Poza nimi było też trzech wykładowców kolegium, którzy czasem przychodzili na treningi, ale których Martin nie znał. Przed nimi leżała broń. Prawdziwe, ostre miecze, nie drewniane atrapy, których używali na treningach. Mistrz nie miał nic. Na tym właśnie polegało okrucieństwo sytuacji. Martin niemal cieszył się, że został ranny. Przynajmniej zwolniono go z treningów oraz – tym samym – z udziału w egzekucji. Miał przeczucie, że Erika chętnie widziałaby go tam, na scenie. Chętnie patrzyłaby, jak przykładą rękę do śmierci człowieka, którego znał i który osobiście nigdy nie wyrządził mu krzywdy.

– Mistrzu Dieterze – przemówił Taro. – Ponieważ odmówiłeś okazania skruchy i wyznania swoich zbrodni, spotka cię sprawiedliwość z rąk tych, których twoje postęпки dotknęły najbardziej. Chciałeś zdradzić Kolegium i narazić życie jego adeptów. Niech oni pozbawią cię twojego. Będą cię atakować jedno po

drugim, aż wreszcie padnie ostatni cios. Wtedy walkę uznam za zakończoną. Jeśli stanie się tak, że bez użycia broni zabijesz wszystkich moich uczniów i zdołasz ująć z życiem, wedle panującego zwyczaju zostaniesz wygnany, ale nie będziemy cię ścigać. – Uśmiechnął się smutno. – Niestety dobrze wiemy, że takie sytuacje nie mają miejsca. Jeśli przechwycisz broń i użyjesz jej przeciw komukolwiek na tej sali, zabiję cię osobiście. Zaczynajcie – rozkazał.

Martin był pod wrażeniem tego, jak szybko Dieter poderwał się z klęczek. Rzucił się na atakującą go Inge. Przeszedł pod jej ramieniem, boleśnie wykręcając rękę, w której trzymała miecz i błyskawicznie powalił dziewczynę na ziemię. Równie szybko uporał się z atakującym go starszym uczniem Taro.

Martin przyglądał się walce jak zahipnotyzowany. Tak naprawdę nigdy wcześniej nie widział Dietera w akcji. Widział tylko, czego nauczył Freddie – szybkich, brutalnych ataków, zmierzających do natychmiastowego unieszkodliwienia przeciwnika. Niesportowego wykręcania rąk i podcinania nóg. Walki, żeby unieruchomić, obezwładnić, udusić. Skręcić kark.

Atakowali go kolejno, jedno po drugim. Jedyne Freddie przez cały czas unikała swojego ruchu. Klęczała z pochyloną głową, ściskając w dłoni rękojeść miecza. Co jakiś czas podrywała się, jakby chciała skoczyć do ataku, za każdym razem jednak rezygnowała.

Jej dawny mentor walczył. Słysząc było świst broni.

Krzyki uczniów. Głuche odgłosy upadania na kamienną posadzkę. Ataki były coraz bardziej brutalne, coraz bardziej natarczywe.

Dieterowi z coraz większym trudem przychodziło unikanie ciosów. Męczył się. Potykał. Mylił kroki.

Pierwszą krew przelał Greem. Zdołał dosięgnąć Dietera i ciął go lekko przez ramię. Oczywiście przypłacił to bolesnym upadkiem i kilkoma kopniakami w głowę.

Mistrz wyprostował się, patrząc, jak pobity napastnik wraca na swoją pozycję. Freddie otworzyła usta w wyrazie protestu i pokręciła głową. Później szło im już coraz łatwiej. Dieter był ranny. Krwawił z rozciętego ramienia. Jego obrona nie była już tak skuteczna. Do jednego cięcia po jakimś czasie dołączyły następne. Inga, Aisling i Marco osłabiali go, wykrwawiali. Kobold siedział obok Martina, zaciskając dłonie na oparciu krzesła.

– Niech to się skończy – mamrotał pod nosem. – Niech go już zostawią, to przecież żalosne. Niech to się skończy

Dieter był przez krótką chwilę także jego nauczycielem. Na początku, kiedy Kobold chodził uczyć się walki wraz z Freddie.

Krzyk Greema był alarmujący, pełen zaskoczenia. Wszyscy natychmiast spojrzeli się w jego kierunku. Chłopak leżał na posadzce, opierając się na łokciach i próbując wycofać. Mistrz Dieter pochylał się nad nim, mierząc w niego ostrzem miecza. Stało się to, co wszyscy przeczuwali od początku – postanowił zignorować

przedstawione przez Taro reguły i sięgnąć po broń. A Dieter, nawet ranny i osaczony, z bronią w ręku był śmiertelnie niebezpieczny. Jak w zwolnionym tempie patrzyli, jak unosi miecz nad głowę i opuszcza go, celując w szyję Greema.

Nagle znieruchomiał. Ze zdumieniem spojrzął na ostrze miecza wbite we własną pierś. Podniósł wzrok. Freddie stała przed nim, obiema rękami ściskając rękojeść i wpatrując się w twarz swojego dawnego nauczyciela z ponurą determinacją.

– Ty. – W kąciку ust Dietera zaczęła zbierać się krew. – Wiedziałem, że to będziesz ty... Jesteś szybka.

Zamrugła i potrząsnęła głową, spoglądając na swoje zakrwawione ręce i szatę.

– Dziękuję, Mistrzu – odparła i przekręciła ostrze.

– Dość – zdecydował Taro.

Odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia na korytarz. Nikt nie próbował go zatrzymać.

Erika Ekhart wstawiała niespiesznie. W asyście nieodłącznego Mistrza Johana podeszła do podestu. Johan i Podróżny taktownie, aż stanowczo wyprosili Aislinga, Greema i pozostałych z pola walki. Mortimer ujął Freddie za ramiona i powiedział coś do niej, a następnie poprowadził ją w kierunku widowni. W kierunku Kobolda, Martina i pozostałych adeptów pierwszego roku. Wciąż ścisnęła w dłoni swój miecz.

Martin wpatrywał się w broń. Czuł, jak przepływają przez niego kolejne fale nienawiści. Erika stała na

podeście, plecami do niego. Widział jej szczupły kark. Idealny cel. Mógłby podbiec i ściąć jej głowę, tak jak demonstrował im kiedyś Taro. Nikt by go nie powstrzymał, teraz wszyscy skupieni byli na zwłokach Dietera. Mógłby ukarać Erikę za to, co zrobiła Freddie, co zrobiła im wszystkim. Za Klarę.

Wyciągnął rękę, żeby wyjąć miecz z dłoni Freddie. Nie stawiała oporu. Zacisnął dłoń na rękojeści i ruszył w stronę dyrektorki. Erika skończyła już oględziny zwłok i zmierzała do wyjścia na korytarz, eskortowana przez Mistrza Johana. Nie dbał o to. Co najgorszego mogą mu zrobić? Zabiją go? Rozkażą adeptom, by go zabili? Zostawią na pierwszym roku?

Przemknął się przez tłum i wybiegł na korytarz w ślad za nimi. Stukot obcasów niósł się echem po całym hallu. Przyspieszył kroku i przyjął pozycję do ataku. Krew pulsowała mu w skroniach, umysł był jednak jasny i czysty. Wiedział, co chce zrobić i niewiele go obchodziło, co wydarzy się później.

I nagle znieruchomiał.

Nie mógł zrobić kroku, nie mógł nawet poruszyć palcem. Czuł zaciskające się na przegubach cienkie, naprężone do granic możliwości żyłki. Miał wrażenie, że zaraz przetną mu skórę. Dłonie zsiniały i osłabły, nie miał już siły utrzymać broni. Miecz upadł na posadzkę. Stukot obcasów przybliżył się.

Erika i Johan stali teraz tuż przed nim. Pierwszy raz widział tę kobietę z aż tak bliska. Jej rysy i porcelanowa

cera były bez skazy, ciemne oczy patrzyły gdzieś w dal, poza niego. Była idealna. Nieludzko idealna.

– A więc jednak. – Mistrz Johan pochylił się i podniósł miecz. Ostrożnie zważył go w dłoni. Kącik jego ust drgnął nieznacznie, w oczach nie było jednak nawet cienia uśmiechu. – Jednak się zdecydowałeś? Wy wszyscy, zdrajcy Kolegium, jesteście tacy sami. Wystarczy dać wam broń do ręki, a już biegniecie na oślep, żeby odciąć rękę, która was karmi.

– Puszczaj – warknął Martin. Wciąż nie był w stanie się poruszyć, magia manipulatorów zupełnie go sparaliżowała. Żyłki zacisnęły się mocniej, na prawym nadgarstku pojawiła się krew. – Pozwalasz na to? – warknął, spoglądając na Erikę. – Jesteś tu dyrektorką, do cholery! Powinnaś o nas dbać, przecież rzekomo tak bardzo troszczysz się o nasze bezpieczeństwo! – zakpił. – Właśnie kazałaś nam własnymi rękami zabić człowieka, który rzekomo nam zagrażał, a teraz pozwalasz, żeby twój pupilek mnie trzymał na sznurkach jak jakąś marionetkę?

Nie odpowiedziała. Nawet nie był pewien, czy go usłyszała. Na jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień, spojrzenie wciąż było tak samo odległe. To tylko bardziej go rozwścieczyło.

– Nie ignoruj mnie! Nie masz prawa mnie ignorować, nie po tym wszystkim! Dobrze wiesz, kim jestem i dlaczego tu jestem! Dobrze wiesz, co zamierzam! Ja nie zapomniałem! Zabiłaś moją przyjaciółkę i pewnego dnia

za to zapłacisz! Kiedyś, kiedy jego nie będzie w pobliżu.

Mistrz Johan zaśmiał się cicho i zacisnął pięść. Żyłki krępujące nadgarstki Martina zacisnęły się jeszcze bardziej, ostatecznie odbierając mu możliwość jakiegokolwiek ruchu. Mógłby w ten sposób pozbawić go dłoni. Gdyby tylko zechciał. Erika położyła dłoń na ramieniu swojego ochroniarza, zachęcając, by się nad nią nachylił. Przez chwilę szeptała mu coś na ucho.

– Masz szczęście, szczeniaku – powiedział wreszcie Johan, nieco zwalniając więzy. Martin wciąż był unieruchomiony i nie mógł się na nich rzucić, ale przynajmniej zaczął odzyskiwać czucie w dłoniach. – Pani dyrektor najwyraźniej zaimponowała ta twoja mała błazenada. Nie zostaniesz wydalony z uczelni, chociaż jak dla mnie powinienes być już martwy. – Johan lekceważąco wskazał na drzwi do sali, gdzie wciąż spoczywało jeszcze ciało Dietera. – Będziemy obserwować twoje dalsze poczynania. Uważaj.

Gdy Mistrz skończył mówić, oboje z Eriką odwrócili się i odeszli.

Martin klął pod nosem, wściekły, że wciąż jest unieruchomiony i nie może za nimi pobiec. Odzyskał zdolność ruchów, dopiero gdy oboje zniknęli za zakrętem korytarza. Zaczął iść w kierunku, w którym się oddalili, zawahał się jednak. To, z jaką łatwością go rozbroili, uświadomiło mu, jak mizernym był dla nich zagrożeniem i jak bardzo nierówna byłaby walka. Nie zamierzał odpuścić, ale wiedział już, że nie ma szans

pomścić Klary samodzielnie. Następnym razem spróbuje już ramię w ramię Iskrą.

– Martin, zaczekaj! – krzyknął ktoś za jego plecami. Głos był znajomy. Zbyt znajomy. Na moment znieruchomiał. Popatrzył na swoją dłoń, na rysę w miejscu, w którym Victor przeciął opaskę.

Jeśli kiedykolwiek się przerwie, twoje marzenie się spełni.

Chciałbym, żeby Gus, Canelle i Klara nie byli martwi.

– Martin! Martin!

Odwrócił się w samą porę, by złapać w ramiona biegnącą ku niemu Canelle. Dziewczyna wtuliła twarz w jego bluzę. Cała dygotała, gwałtownie łapiąc powietrze. Jej cynamonowe włosy sięgały teraz ramion, częściowo opadając na twarz. Ubranie było w strzępach. Wokół niej radośnie fruwał miniaturowy smok o czarnych, skórzastych skrzydłach. Martin rozpoznał go natychmiast.

– Atramentowy smok – szepnął. Stworzenie przysiadło na grzbiecie dłoni, którą uspokajająco głaskał Canelle po włosach. Patrzyło na niego, wysuwając maleńki, rozdwojony języczek. – A więc dostałaś tamtą wiadomość? Udało ci się?

– Martin! – Spojrzała na niego. Poczul ucisk w klatce piersiowej. Spoglądało na niego jedno brązowe oko, pełne złocistych iskierok determinacji. Drugie zakrywał świeży, przesiąknięty krwią opatrunek.

– Canelle... – Z niedowierzaniem dotknął jej policzka. –

Co ci się...

– Zostaw – syknęła, strząsając jego rękę. Była blada, zbyt blada. – Martin, posłuchaj – wyszeptała. – To ważne, to cholernie ważne. Musisz mnie wysłuchać.

Pokiwał głową. Korytarz wciąż był pusty, wiedział jednak, że Johan i Erika zamierzają go obserwować. – Mów – wyszeptał, rozglądając się niespokojnie na boki.

Canelle wczepiła się rękami w jego bluzę i stanęła na palcach, by dosięgnąć ucha.

– Cokolwiek planowałeś do tej pory – wyszeptała – nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci. Nie wolno ci zabić Eriki Ekhart. Nie wolno ci zniszczyć Kolegium. Nie po tym, co... Cholera, Martin, obiecaj, że tego nie zrobisz!

Zachwiała się, więc Martin przysiadł delikatnie, pozwalając jej opaść na kolana. Cały czas mocno go trzymała. Jakby obawiała się, że się jej wyrwie i zrobi coś głupiego.

– Canelle – wyszeptał, odgarniając włosy z jej twarzy. Tym razem nie zaprotestowała. – Gdzie byłaś? Czego się dowiedziałaś?

– Opowiem ci – obiecała głosem człowieka, który przeszedł przez piekło i teraz nic już nie jest mu straszne. – Och, bądź pewien, że wszystko dokładnie ci opowiem.

KONIEC TOMU DRUGIEGO